

Andre Norton

Lawendowa magia

**Tłumaczył Włodzimierz Nowaczyk
Tytuł oryginału Lavender — Green Magic**

*Dla pani Leny May Lanier,
która dzięki swym opowieściom
wprowadziła mnie w świat Wade'ów.*

I

Dimsdale

Deszcz z wściekłością walił w okna autokaru, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek na zewnątrz. Ostre podmuchy wiatru raz po raz wstrząsały potężnym pojazdem.

Wewnątrz szyby zupełnie zaparowały. Powietrze było stęchłe. Holly doskonale wyczuwała słodkawą woń banana jedzonego przez chłopca na przednim siedzeniu i nieprzyjemny zapach przemoczonej odzieży ludzi, którzy wsiedli na ostatnim przystanku. Duchota i ludzki smrodek.

Holly cierpiała. Było jej niedobrze, ale nie zamierzała się poddawać. Tylko maluchy chorują w autobusach. Zaciśnęła usta i nieustannie przełykała ślinę. Uciskając dłońmi żołądek, miała żal do całego świata.

Nie bez powodu zresztą. Wszystko naprawdę było okropne. Nie tylko ta wichura, ale i sam autobus, powody, dla których w nim siedzieli, cały świat, który niespodzianie rozpadł się tak, że już nigdy nie będzie bezpieczny i szczęśliwy jak kiedyś. Znow przełknęła ślinę. Nie, na pewno nie zwymiotuje. Nie będzie też beczeć jak Judy, która od tej strasznej chwili, od czasu do czasu dawała upust łzom.

Crock, Crockett Wade, jej brat siedzący obok, optymistycznie starał się wyrzeć na drogę, przecierając szybę niecierpliwymi ruchami dłoni. Zniechęcony bezskutecznymi wysiłkami opadł na oparcie fotela i uważnie przyjrzał się siostrze.

— Co z tobą? — spytał.

Dała mu kuksańca, uderzając przy tym łokciem o poręcz dzielącą siedzenia.

— Nic! — Ostrzegawczym gestem wskazała fotele z tyłu zajęte przez mamę i Judy. — Zupełnie nic.

Nie odrywał oczu od jej twarzy, aż wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi.

— Jasne — mruknął. — Chyba już dojeżdżamy do Sussex.

Holly nie była pewna, czy ta uwaga miała dodać otuchy jej, czy też jemu samemu. Mniejsza o to. Najważniejsze, to pokonać mdłości. Holly Wade nie była przecież maluchem.

Za sobą usłyszała głos mamy, ale bała się odwrócić, żeby mama nie dostrzegła jej wysiłków. Miała dość własnych problemów, aby martwić się jeszcze o córkę, która była już w szóstej klasie i powinna umieć troszczyć się o siebie.

— Holly, Crock, wysiadamy na następnym postoju. Mam nadzieję, że deszcz się trochę uspokoi.

Nagle Holly zapragnęła, aby to nie był już następny przystanek, chciała, aby ta podróż się nie kończyła, bo kiedy już wysiądą, zostaną tam na zawsze. Nie będą już w domu, lecz w miejscu, z którego nigdy się nie wydostaną.

Wszystko zaczęło się od telegramu.

Holly zaciśnęła powieki. Nie wolno jej płakać i nie wolno wymiotować. Nie mogła jednak zapomnieć o telegramie. Kiedy go przyniesiono, mama natychmiast usiadła na kanapie i przez chwilę trzymała go w dłoni, jakby bała się otworzyć kopertę. Kiedy już to zrobiła... nie, Holly nie chciała pamiętać wyrazu jej twarzy w tym momencie.

“Sierżant sztabowy Joel Wade zaginął podczas akcji” — to wszystko. Mama zapadła się w fotel Jakby wypełniło ją nieszczęście”, jak mawiała ciocia Ada. Potem dzwoniła do Czerwonego Krzyża, do ludzi, którzy mogliby coś wiedzieć. Tyle, że nikt nie mógł jej nic powiedzieć.

W końcu mama stwierdziła, że trzeba coś postanowić. Musi znow być pielęgniarką. Dostała pracę w Domu Spokojnej Starości Pine Mount. To nie było w Bostonie, w którym mieszkali od wyjazdu taty do Wietnamu, ale gdzieś na wsi, na

północy stanu.

Tylko Judy odważyła się zadać pytanie, które dręczyło ich wszystkich: — Czy my również tam zamieszkamy?

Podczas całej rozmowy mama uśmiechała się do nich, jakby starała się, żeby uwierzyli, że to dobra praca i należy się cieszyć. Uśmiech nie zgasł na jej twarzy nawet wówczas, gdy pokiwała przecząco głową i wyjawiała im resztę swego straszego planu.

— Nie. To miejsce dla starszych ludzi, Zajączku. (Tato nazwał Judy Zajączkiem, ponieważ przyszła na świat na Wielkanoc kiedy, jak mówił, zajac zapomniał koszyčka z jajkami i zamiast niego przyniósł im ją).

— No to co będzie z nami? — spytał Crockett. Holly stała jak posąg, czując w środku przeraźliwy chłód.

— Zamieszkacie z dziadkiem i babcią Wade w Sussex. To dość blisko Pine Mount, więc będę do was przyjeżdżać w wolne dni.

— Nie! — Holly nie była w stanie się powstrzymać. — Nie!

Kiedy mama spojrzała na nią, uśmiech zgasł na jej twarzy. Wyglądała spokojnie, jak zawsze kiedy któreś z nich sprawiło jej zawód. Mimo to Holly, trzęsąc się z zimna, które nią zawładnęło, nie potrafiła się opanować. Mama musi być z nimi! Jeśli ich opuści, może także zostać uznana za “zaginioną”.

— Zrozum, Holly — powiedziała mama. — To najlepsze wyjście dla nas wszystkich. Będę miała dobrą pracę. Pine Mount ma kłopoty ze znalezieniem pielęgniarek. To zbyt spokojne miejsce dla dziewcząt, które po pracy potrzebują rozrywki. Dlatego pensja jest tam wyższa, niż mogłabym się spodziewać tu, w mieście. Wiem też, że u babci i dziadka będzie wam dobrze. Już się cieszą, że do nich przyjedziecie.

Holly miała ochotę znów zaprotestować, ale zabrakło jej odwagi. Stłumiła kolejne “Nie!” cisnące się na wargi, tak jak teraz przełykała ślinę. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie: wynajęcie domu Elandom (Wade’owie nawet nie zabrali swoich mebli, a jedynie odzież i takie rzeczy jak kolekcja znaczków Crocka, karton ścinków Judy i najukochańsze książki Holly) i podróż w nieznane. Teraz niemal już dojeżdżali do jej straszego kresu, a towarzyszył im płacz deszczu, zawodzenie wiatru i własny lęk.

Holly nawet nie pamiętała jak wyglądają babcia i dziadek. Zanim tatuś nie wyjechał do Wietnamu, mieszkali w pobliżu baz wojskowych, a te znajdowały się zbyt daleko od Sussex, aby można było się odwiedzać. Tato mówił, że dziadek z babcią nie nawykli do podróżowania. Zeszłego lata chciał zabrać całą rodzinę do Sussex, ale wysłano go za ocean i nic z tego nie wyszło. Holly pamiętała tylko niewyraźną fotografię pokazywaną przez ojca — zdjęcie dwojga zupełnie obcych ludzi.

Nigdy nie dostali listu od dziadka, ale babcia pisywała do nich regularnie raz w tygodniu. Duże litery na kartce papieru z liniami jak na szkolnej tabliczce. Niewiele w nich było interesujących wiadomości. Głównie opisy pracy nad szyciem nowej kołdry, robieniem zapasów na zimę i tak dalej.

Na gwiazdkę zawsze dostawali paczkę wypełnioną równie dziwacznymi rzeczami. Zestaw naczyń dla lalek w całości wyrzeźbionych w drewnie dla Judy, maciupęńki koszyczek ze skorupy orzecha. Dla Crocka żołnierzyki i drewniany piesek. Holly dostała torbę na ramię zszytą z jaskrawych skrawków materiału. Najpierw pomyślała, że to dość głupie i starała się ją gdzieś schować, jednak mama wymogła, żeby zabrała torbę do szkoły. Wówczas wszystkie dziewczęta w klasie koniecznie chciały się dowiedzieć, gdzie ją kupiła i w końcu wyszło na to, że to świetny prezent. Mama dostała mnóstwo maleńkich buteleczek wypełnionych zaszuszonych liśćmi i płatkami

kwiatów. Niektórych używała do gotowania, inne wkładała do szafy, żeby bielizna pięknie pachniała.

Wszystko to było zupełnie niepodobne do wszystkiego, co Holly oglądała w bostońskich sklepach. Była pewna, że Sussex to zupełnie inny świat, miejsce, w którym zdecydowanie nie chciała zamieszkać.

Autokar zwolnił. Holly z całego serca pragnęła, aby to jeszcze nie był ich przystanek. Jednak pragnienia rzadko się spełniają, zwłaszcza kiedy cały świat rozpadł się na kawałki. Założyła płaszcz przeciwdeszczowy, zapięła wszystkie guziki i naciągnęła na głowę plastikowy kapelusz, ciasno wiążąc tasiemki pod brodą.

Kiedy schodzili po stopniach autobusu potężny podmuch zapał im dech w piersiach. Ruszyli biegiem w kierunku drzwi sklepu, przed którym był przystanek. Na szczęście nie musieli martwić się o bagaż (mama wysłała go wcześniej), a mimo to Holly czuła się, jakby ktoś wylał jej za kołnierz szklaną wodę, drugą chlusnął prosto w twarz, a wszystko spłynęło do kaloszy.

— Wchodźcie, wchodźcie. — Jakaś kobieta otworzyła drzwi na ich widok i wpuściła ich do środka. Stała z boku, potrząsając głową tak mocno, że grzywa siwych włosów zasłoniła jej twarz i otoczyła głowę niczym dmuchawiec.

Była dużo niższa od mamy, na ramiona narzuciła rozpięty sweter, pod którym miała wielki biały fartuch. Jak tylko wszyscy znaleźli się w sklepie zatrzasnęła drzwi i nadal energicznie kręciła głową, spoglądając przez szybę za oddalającym się autokarem.

— W taką pogodę i kaczka utonie — oznajmiła odwracając się. Spojrzała na nich tak, jakby to właśnie oni byli kaczkami. — Aleście przemokli. I to przez tych parę kroków. Niech pani tego nie robi — zwróciła się do mamy, która zatrzymała się tuż przy progu i gestykując usiłowała przyciągnąć dzieci jak najbliżej siebie. — Nie szkodzi, że troszkę nakapie. W taki dzień przez drzwi wlewają się całe fale. Tych parę kropli, które wnieśliście, nie zrobi żadnej różnicy.

Sięgnęła ręką za filar, na którym wisiał pęk długich mioteł i kalendarz, i wyciągnęła mopera. Zdecydowanymi ruchami zaczęła przecierać podłogę przed wejściem, przez które rzeczywiście sączyła się strużka wody.

— No dobrze, co mogę dla was zrobić? Ktoś ma po was przyjechać? A może chcecie, żeby Jim Bachus gdzieś was podrzucił taksówką? Nie liczyłabym na to osobiście. Ciągłe go ktoś wzywa. Patrzcie na to. — Wskazała na ścianę z telefonem. Obok aparatu wisiała kartka papieru niemal w całości pokryta pospiesznie nagryzłymi słowami i numerami. — Wszyscy, dokładnie wszyscy z tej listy dzwoniли po Jima, a ten nie odzywa się już od ponad godziny. Nie zanoszą się na to, żeby był wkrótce wolny.

Holly rozglądała się po sklepie. Zagracone pomieszczenie w niczym nie przypominało supermarketu, do którego w Bostonie mama często wysyłała ją po zakupy. Trudno byłoby jednoznacznie stwierdzić, czy to sklep spożywczy, sądząc po wystawionych puszkach i kartonach, przeszklonych ladach z mięsem i serami oraz wielkiej pacy z ziemniakami, czy też coś innego. Pod jedną ze ścian stał wieszak ze zwisającymi smętnie sukienkami, jakby zawstydzonymi, że je tam umieszczono, stół zarzucony flanelowymi koszulami, rząd topornych gumiaków zupełnie innych niż te, które dostała na urodziny. Były tak ogromne i wysokie, że jeśli nie ona, to Judy na pewno mogłaby w nich schować całe nogi. Na półkach leżały bele materiału, a w przeszklonej szafce umieszczono guziczki, koraliki i zamki błyskawiczne jak w sklepie z pasmanterią.

Powietrze przesycone było mieszaniną najrozmaitszych zapachów, wśród których rozpoznawała jedynie kawę i sery. W głębi stała znajoma skrzynia z charakterystycznym znakiem nad prostokątnym okienkiem: Urząd Pocztowy Stanów

Zjednoczonych.

W porównaniu z temperaturą na zewnątrz, sklep wydawał się ciepły, lecz nie był tak przegrzany i duszny jak autobus.

Kobieta ostatni raz machnęła moperem, odłożyła go na miejsce i jeszcze raz spytała:

— Chce pani złapać Jima?

— Mój teść ma po nas przyjechać. Pan Wade, Luther Wade. — Mama uśmiechała się uprzejmie, jak zawsze do obcych, ale Holly wyczuła, że coś jest niezupełnie tak, jak powinno. Mama miała na sobie lśniący czerwony płaszcz przeciwdeszczowy kupiony przez tatusia (żeby była wesoła w szare dni) i czerwone kalosze, takie same jak Holly. Właśnie zdjęła kaptur, więc jej kruczoczarne włosy znów lśniły pełnym blaskiem. Była naprawdę ładna z gładką brązową skórą i włosami upiętymi na czubku głowy. Kosmetyczka nazywała tę fryzurę “zmodyfikowanym afro”. Holly westchnęła. Chyba jeszcze długo nie będzie mogła nosić włosów w ten sposób.

Nie, mama zdecydowanie wyglądała w porządku. Crock też się nieźle prezentował w swych wyjściowych spodniach i płaszczu. A Judy? W porządku. Z dołeczkami w policzkach, starannie zaplecionymi warkoczykami, w brązowej pelerynie i kaloszach. Holly ubrana była w żółty płaszcz i również była starannie uczesana. Wszyscy pasowali do tego, co tatuś określał jako “odpowiedni, zadbany wygląd”.

— Ach tak — powiedziała kobieta. — Więc to wy jesteście krewniakami starego Lutka. Wszyscy tu zamartwimy się, od kiedy usłyszeliśmy, że jego syn zaginął taki szmat drogi stąd. Ale, ale — przecież się wam jeszcze nie przedstawiłam. Jestem Martha Pigot, wdowa. Jethro, mój świętej pamięci mąż przejął to imperium — tak właśnie nazywał ten sklep przez ponad pięćdziesiąt lat — po swoim ojcu. Kiedy się zmarło biedakowi, nie pozostało mi nic innego, jak tylko pchać dalej ten wózek. Człowiek musi się przecież czymś zająć.

— Ja nazywam się Pearl Wade. — Uśmiech mamy stał się bardziej zwyczajny, ciepły i przyjazny. — To Holly, nasza najstarsza.

Holly zdołała się uśmiechnąć, wiedząc doskonale, że w takich chwilach mama oczekuje od nich dobrych manier. Zebrała wszystkie siły i dość uprzejmie wykrztusiła z siebie: “Dzień dobry”.

— Crockett — mama wskazała Crocka skinieniem głowy, a on zareagował podobnie jak Holly — i Judy, bliźnięta.

Zawsze to powtarzała nowo poznanym, chyba dlatego, że wcale nie byli do siebie podobni. Crock był wysoki, chyba już o cal wyższy od Holly, co stale jej wypominał bo była o rok starsza. Z kolei Judy była malutka, pulchna i nie wyglądała na swój wiek. Jednak doskonale wiedziała jak się zachować i choć z natury nieśmiała przywitała się uprzejmie.

— A to mi dopiero wspaniała rodzinka. — Pani Pigot promieniała uśmiechem. — Jethro i ja nie dorobiliśmy się dzieci, ale jakoś nam ich nie brakowało. Dzieciaki z sąsiedztwa upatrzyły sobie nasz sklep, więc czasami więcej z nimi przebywam niż ich rodzice. Chodźcie tu bliżej, do grzejnika. Na pewno przemarzliście do szpiku kości w taką pogodę. Właśnie zagotowała się kawa, a mam też spory półmisek piernika pani Symmes. Przyniosła mi go rano, zanim jeszcze zaczęło tak lać. Jest dumna ze swoich pierników. Zawsze piecze wielką blachę na kościelne wieczorki i kiermasze dobroczynne w remizie.

Tak więc już po chwili Wade’owie znaleźli się w pokoiku na zapleczu sklepu. Mama na krześle, dzieci na szerokiej ławie, z solidnymi kawałkami wilgotnego, pachnącego piernika w jednej ręce i dymiącym kubkiem w drugiej. Mama dostała kawę, a dla dzieci znalazło się mleko.

Crockett szturchnął Holly w bok. — Nie jest źle — wymamrotał z ustami pełnymi

ciasta.

Jednak Holly nie mogła pozbyć się niepokoju. Rzeczywiście, pani Pigot wydawała się miła i ładnie ich przywitała, ale co z resztą miasta? W Bostonie było wielu takich jak oni, dlatego kolor ich skóry nie był niczym szczególnym. Tu może być zupełnie inaczej. Nawet pani Pigot nazwała dziadka “starym Lutkiem”, a nie “panem Wade”. Holly nie była tym zachwycona. Mama z początku też zachowywała się nieco dziwnie, jakby spodziewała się, że pani Pigot może nie być zbyt miła. Holly chciała, żeby dziadek się pospieszył, przyjechał jak najszybciej i zabrał ich wreszcie do... nie, nie potrafiła nawet w takiej chwili pomyśleć o tym miejscu jak o domu. Piernik nagle stracił smak i z trudem przechodził przez gardło.

— Stąd jest szmat drogi do dawnej siedziby Dimesdale’ów. — Pani Pigot nie usiadła z nimi do stołu. Stała oparta o framugę i nie przestawała mówić. — W taki deszcz Lutek musi jechać bardzo ostrożnie. Nie zdziwiłabym się, gdyby ta stara ciężarówka zaczęła mu płać figle. Długo zamierzacie zostać na wysypisku?

Wysypisku? Holly przestała jeść i wpatrywała się w panią Pigot szeroko otwartymi oczami, “Stary Lutek”, a teraz “wysypisko”!

— Dostałam pracę w Pine Mount — wyjaśniała mama pogodnie. — Dzieci zostaną u dziadków.

Pani Pigot pokiwała głową ze zrozumieniem. — Wiele dzieciaków z miasteczka będzie im zazdrościć. Nie znam ani jednego chłopaka, który nie lubiłby tam poszperać, kiedy tylko nadarzy się okazja. Dla nich to prawdziwe skarby, przynajmniej tak im się wydaje. Sama tak uważałam w ich wieku. Oczywiście wtedy interes dopiero się rozkręcał. Lutek i Mercy byli młodym małżeństwem. Stara panna Elvery Dimsdale umarła, kiedy zaczynali drugi rok pracy u niej. Potem pojawiły się kłopoty, problemy prawne ze spadkiem, choć Bogiem a prawdą niewiele po niej zostało.

Duży dom spłonął tuż przed śmiercią panny Elvery. Coś jej się w głowie pomieszało i chodziła po nim przez całe noce. Nigdy nie założyła elektryczności, więc świeciła sobie lampą lub świecą. Kiedyś wreszcie potknęła się i upadła. Lutek cudem ją uratował. Nafta z lampy rozlała się po podłodze i cały dom, a miał ponad dwieście lat, spłonął jak zapałka. Ludzie znów zaczęli gadać o klątwie Dimsdale’ów, kiedy panna Elvery tak się poparzyła, że zmarła w cztery miesiące później, a z domu zostały tylko zgłiszcza. Była ostatnią z Dimsdale’ów, przynajmniej tak to ustalili prawnicy, nie licząc jakiejś dalekiej kuzynki bodajże z Kalifornii.

Nie mogli sprzedać posiadłości, bo coś było nie tak w papierach, a miasto nie znalazło innego sposobu wykorzystania terenu, więc zrobiono tam wysypisko. I tak to się zaczęło.

— Co to za klątwa? — zdołał wtrącić Crockett, kiedy pani Pigot przerwała na moment, żeby zaczerpnąć oddech.

— To klątwa, jaką czarownica rzuciła na cały ród Dimsdale’ów będzie ze dwieście lat temu, synku. To taka stara historia, że nikt już nie wie, co jest prawdą, a co zmyśleniem. No, może panna Sarah z biblioteki. Dzieje miasteczka to jej hobby i być może dokopała się do czegoś na ten temat. Dawno temu bywały tu czarownice. Nie wieszano ich tak jak w Salem. Dimsdale’owie musieli jedną czymś tak rozzłościć, że obłożyła ich klątwą. Coś w tym musi być, bo trzeba przyznać, że pech prześladował tę rodzinę. Nieraz tak bywa. Zresztą nie ma ich już wśród nas. A Lutek to dobry człowiek, tak jak i Mercy. Nie przeszkadzało im coś, co się stało zanim przyszli na świat.

— Czarownica? Z domku z piernika? — Judy spojrzała na ostatni kęs ciasta w dłoni, jakby pochodził właśnie z tej strasznej budowli tak dobrze znanej wszystkim dzieciom.

— To tylko taka historyjka — powiedziała szybko Holly, żeby wszyscy od razu wiedzieli, co sądzi o czarownicach i magii. — Kiedyś ludzie wierzyli w takie rzeczy, ale teraz już nie.

Pani Pigot pokiwała głową. — Tak jest, to zwykłe ludzkie bajdurzenie. Nie lubili samotnych staruszek, które nie miały do kogo ust otworzyć, nie licząc kota. Nazywali je czarownicami i miały z tego masę kłopotów. Ale nie bój się, kochanie, nie ma czarownic w Dimsdale, a tylko pełno ciekawych rzeczy, które na pewno ci się spodobają.

W tej chwili drzwi sklepu otworzyły się z hałasem, a deszcz i wichura niemal wepchnęły do środka niewysokiego mężczyznę w mokrym deszczowcu i kaloszach takich, jakie stały na półce. Głowę chronił mu wielki rybacki kapelusz mocno zawiązany pod brodą, bo inaczej spadłby przy pierwszym podmuchu. Mężczyzna zmagął się z ciasnym węzłem, aż wreszcie odsłonił twarz.

— Tato Wade! — mama natychmiast wstała i ruszyła mu na powitanie.

Tatusz był mężczyzną słusznego wzrostu, lecz dziadek wydawał się niższy od mamy. Uśmiechał się szeroko, pokazując szczyrby po zębach. Przywitał mamę głębokim basem: — Pearl, jesteś piękniejsza od swego imienia. Mercy ma twoje zdjęcie na ścianie, ale w rzeczywistości jesteś ze dwa razy ładniejsza.

Wydawał się zaskoczony, kiedy mama pocałowała go w oba policzki. Potem złapał ją za ramiona i przycisnął do siebie w ostrożnym uścisku, jakby się bał zrobić jej krzywdę.

— A to dzieciaki! — Odwrócił głowę, żeby się im przyjrzeć, ale mamy nie puścił.

— Chyba mnie oczy nie mylą?

— Dziadek! — Judy zdecydowała się natychmiast. Podbiegła do niego tak, jakby biegła przywitać się z tatusiem — z otwartymi ramionami. Dziadek uwolnił mamę i objął Judy. Z Crockettem wymienili uścisk dłoni — dziadek doskonale wiedział, że przytulaniu są dla dziewczynek i kobiet, mężczyźni witają się inaczej. Holly zbliżyła się do niego ostatnia.

Małeńki staruszek w pocerowanym swetrze i kombinezonie pod wyświechtanym płaszczem — nie potrafiła przywitać go tak serdecznie jak Judy. Jak mama pocałowała go w policzek i nie opierała się, kiedy przygarnął ją do siebie, mimo że aż zmarszczyła nos, czując jego dziwny zapach. Miała wrażenie, że nigdy jeszcze nie była równie daleko od tego, co zawsze kojarzyło się jej z ciepłem i bezpieczeństwem.

Przed sklepem czekała na nich niewielka ciężarówka. Mama i Judy zmieściły się z dziadkiem w kabinie, ale Holly i Crck musieli wejść na platformę, chowając się pod wypłamioną brezentową płachtą. Kiedy ruszyli, ze smutkiem wpatrywała się w oświetlone okna imperium pani Pigot, które teraz wydawało się ostatnim przyczółkiem cywilizacji.

— Jak myślisz, gdzie będziemy mieszkać? — spytała Crocketta. — Pani Pigot powiedziała, że dom się spalił.

— Na pewno jest jeszcze jakiś — odpowiedział bez większego zainteresowania.

— Może dziadek zbudował nowy dom. Przecież mieszkają tam już kopę lat. Tatusz się tam urodził.

— Na wysypisku! — Holly dała upust swej złości. — Będziemy mieszkać na starym, brudnym wysypisku śmieci, Crock. Nie mogę w to uwierzyć! Mama na pewno nie zdawała sobie z tego sprawy, inaczej nie pozwoliłaby nam zostać w takim miejscu!

— Poczekamy, zobaczymy. — Najwyraźniej Crockett niewiele się tym przejmował. Chłopcy nigdy nie zaprzatają sobie głowy takimi sprawami.

— Będziemy musieli tu chodzić do szkoły. — Przypomniała mu. — Chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, że mieszkasz na śmietniku?

— Pani Pigot mówiła, że dzieciaki z miasta lubią przychodzić do Dimsdale. To musi być fajne miejsce.

— Może i fajne — powiedziała bez przekonania Holly — o ile nie trzeba tam mieszkać. Mama musi nas stąd zabrać. Musi! — podniosła głos, ale umilkła, kiedy Crock ścisnął jej rękę tak mocno, aż zabołało.

Patrzył na nią ze złością — Holly Wade, daj mamie spokój! Ani się waż teraz narzekać! Zrozumiałaś!

Wszystkie zgryzoty, jakie były jej udziałem od chwili nadejścia telegramu, skumulowały się nagle w jej duszy. Wyrwała się bratu. — Nie będziesz mi mówił, co mam robić!

— A właśnie, że będę! Zwłaszcza kiedy chodzi o mamę. Ona już dość przeżyła. Myślisz, że jesteś taka mądra, bo masz dobre stopnie w szkole i jesteś starsza niż ja i Judy, ale tak naprawdę jesteś wyjątkowo głupia. Nie dociera do ciebie, że mamie trzeba teraz pomagać. Jesteś podła i w ogóle się z nią nie liczysz! Tatuś wstydziłby się za ciebie!

Holly miała ochotę wrzeszczeć, dopaść Crocka i z całych sił stłuc tę jego wredną gębę, ale to świadczyłoby o dziecinnym braku opanowania, tak jak wymiotowanie w autokarze. Nie, nie da mu poznać jak bardzo jej dokuczył. Nigdy, przenigdy! W głębi duszy i tak doskonale wiedziała, że mama ich stąd nie zabierze, bez względu na to jak mocno by ją błagała. Trudno, będzie musiała stać się nową Holly Wade, taką, która mieszka na śmietniku, jeździ starą ciężarówką, kryjąc się przed deszczem pod brezentową płachtą, żyje w miejscu, gdzie jakaś wiedźma rzuciła klątwę na całą rodzinę...

Rzuciła klątwę... Ciekawe, jakie to uczucie: być czarownicą z bajek i móc spełniać swoje życzenia? Holly nie miała najmniejszych wątpliwości, jakie byłoby jej pierwsze życzenie: telegram miał w ogóle nie przyjść, mieli nadal mieszkać w Bostonie, wszystko miało być po staremu. Gdyby została czarownicą zaczęłaby od tego.

Dodawala coraz to nowe szczegóły do swoich marzeń, kiedy ciężarówka zjechała na boczną drogę. Otoczyły ich drzewa i krzewy, pogłębiając mrok i sprawiając, że dzień wydawał się jeszcze bardziej ponury.

II Skarbczyk

W Dimsdale stał jednak dom, choć była to dość niezwykła budowla. Właściwie Wade'owie nie bardzo mieli okazję go obejrzeć, ponieważ szybko przebiegli z ciężarówki wprost do obszernego wnętrza. Dopiero tam Holly mogła zsunąć kaptur i rozejrzeć się dookoła.

Znajdowała się w wielkiej sali, której narożniki niknęły w mroku, albowiem jedynym oświetleniem była lampa stojąca na centralnie usytuowanym stole. Z jednej strony stromo wznosiły się schody, a część pomieszczenia była poprzedzielana przepierzeniami sięgającymi Holly do brody. Wyglądało to jak rząd szaf bez drzwi ustawionych pod ścianą. Przegrody były ciasno wypełnione najróżniejszymi przedmiotami. Dwie miały półki zastawione stosami talerzy, półmisek, spodeczków, a na jednej stał równy szereg elektrycznych testerów. W pewien sposób przypominało to zagracony sklep pani Pigot, z tym, że wszystko było jeszcze ciaśniej upakowane.

Za stołem Holly dostrzegła ogromny kominek, nigdy dotąd nie widziała większego. Jego wnętrze było tak obszerne, że w bocznych ścianach znajdowały się siedzenia, by ludzie mogli tam wejść ogrzać stopy i dłonie.

I te zapachy, te dziwne wonie, jedne ostre, inne przypominające pieczone ciasto i jeszcze inne, których Holly nie potrafiła nazwać. Mimo postanowienia, że będzie widzieć wyłącznie złe strony mieszkania w domu na wysypisku, musiała przyznać, że pachniało znakomicie. Nikt ich nie witał. Dziadek odprowadzał ciężarówkę do garażu, którego nie udało się jej zlokalizować, ale gdzie babcia?

Obok lampy na stole leżały rozpostarte gazety chroniące obrus w czerwono-białą kratę. Stały na nich rozbite naczynia: filiżanki bez uszek, pęknięte talerze. Czyżby dziadek i babcia byli aż tak... aż tak biedni, że to właśnie była ich jedyna zastawa? To przypuszczenie tak wstrząsnęło Holly, że zapomniała o własnym nieszczęściu. Zanim jednak zdążyła zapytać o to mamę, w najdalszym końcu sali otworzyły się drzwi i weszła babcia.

O ile dziadek okazał się dużo mniejszy niż Holly sobie wyobrażała, to babcia była wyższa. Była chuda i chodziła lekko pochylona do przodu, jakby tak bardzo się spieszyła, że głowa zawsze wyprzedzała resztę ciała. Włosy zaczesywała ku górze, gdzie spinała je w mały koczek dwoma grzebieniami wysadzonymi lśniąco kamieniami, jeden czerwonymi, drugi zielonymi. Na nosie miała okulary w jaskrawo czerwonych oprawkach, których boki ostro wznosiły się w górę. Ponieważ niezbyt dobrze się trzymały, babcia nieustannie je poprawiała. Choć pomieszczenie było dobrze ogrzane przez ogień na kominku i duży piec z boku, tak że Wade'owie musieli od razu porozpinać płaszcze, babcia miała na sobie dokładnie zapięty sweter. Na nim i na jasnej spódnicy w kratę nosiła ogromny fartuch tak pokryty różnokolorowymi plamami, że trudno było stwierdzić, czy kiedyś był rzeczywiście biały.

— Dzięki Panu za jego łaskę! Jesteście tu cali i zdrowi. Jestem szczęśliwa, że znów cię widzę, córeczko! — Wyciągnęła ręce ku mamie, która weszła w jej objęcia tak chętnie, jakby niczego bardziej od dawna nie pragnęła.

— Bóg nam sprzyja, dziecko. — Głowa marny zupełnie zniknęła w ramionach babci. Holly poczuła ukłucie dziwnego lęku, kiedy zobaczyła, że mama, tak zawsze silna, płacze jak dziecko. — Wierz w Jego dobroć. W swoim czasie wszystko dobrze się skończy. Z nami też tak będzie. Luther i ja przeżyliśmy wiele czarnych chwil, ale zawsze dobry Bóg zsyłał nam pocieszenie. Nie wierzę, że Joel nie żyje. Nie

dopuszczaj tej myśli ani do głowy, ani do serca! Joel to wojownik, nie da się pokonać, nie on!

— Siadajcie. — Podprowadziła mamę do ławy z wysokim oparciem stojącej przy kominku. — Dziś taki dzień, że chyba sam diabeł chce ukarać wszystkich, którzy muszą wyjść z domu. Siądź tutaj, córeczko, odpocznij i uspokój się. Jesteś tu bezpieczna, a i Joel tu do nas wróci, kiedy Bóg tak postanowi.

Mama zaczęła się uśmiechać, choć jej policzki nadal lśniły od łez. — Ty wiesz, jak mi dodać otuchy, mamó.

— Mercy, nazywaj mnie Mercy, córeczko. W naszych stronach to milej brzmi. Oto i dzieciaki. — Poklepała mamę po ramieniu i odwróciła się do wnucząt. Starannie poprawiła okulary na nosie. — Holly — skinęła głową — Crockett i Judy.

— Tatusz nazywa mnie Zajączkiem — powiedziała Judy. Uśmiech pogłębił zmarszczki na twarzy babci.

— Naprawdę? On zawsze lubił wynajdować różne przezwiska. Zawsze trafiał w samo sedno. Spójrzcie na zegar. Luther zaraz będzie miał ochotę wziąć coś na ząb. Wy też?

Crock wciągnął nosem powietrze. — Coś tu świetnie pachnie. — Uśmiechnął się do babci. — Pieczesz piernik? Pani Pigot, ta ze sklepu, poczęstowała nas piernikiem.

— Nie, to nie piernik. Ale jeżeli jesteście podobni do waszego ojca, na pewno zasmakuje wam moje nowe ciasto z odrobiną miodu. — Pochyliła się nad stołem. — Trochę tu posprzątam i uszykuję stół dla całej rodzinki. — Chociaż naczynia rozstawione na gazecie były potłuczone, przenosiła je na półkę za jednym z przepierzeń, jakby to były prawdziwe skarby.

— Są potłuczone — zauważyła Judy.

— Jasne, że tak. Dlatego tu trafiły. — Szerokim gestem wskazała zagracone półki. — Tylko tu można im pomóc. Jeśli tylko mam ochotę, potrafię wyczarować prawdziwe cudenka z tych starych skorup. Wszystko z odzysku. Zdumiewające, czego to ludzie nie wyrzucają, zdumiewające! To, co dla jednych jest śmieciem, może być skarbem dla innych. Luther ma złote rączki, naprawdę, i naprawia mnóstwo rzeczy, które tu trafiają.

Nie przerywając mówienia, szybko uprzątnęła stół, starannie złożyła gazety i położyła na stosiku przy szafce. Z wysokiej skrzyni wyjęła inne naczynia, tym razem już całe.

— Chodź tu, Holly. — Skinęła głową tak energicznie, że okulary znów się zsunęły i musiała je poprawić. — Ty i Judy możecie nakryć do stołu. Miseczki do zupy, reszta...

Holly ochoczo zabrała się do pracy. Żadna z rozstawianych misek nie pasowała do pozostałych, ale przynajmniej nie były popękane, a jedna lub dwie, ozdobione kwiatkami i ptaszkami, naprawdę się jej spodobały. Talerze też były różne, tak samo jak i widelce, łyżki i noże, które starannie rozkładała Judy. W sumie była to dość dziwna zastawa stołowa. Mama wstała, żeby doglądać ich pracę, wzięła w ręce jedną z misek, odwróciła ją do góry dnem i zdumiona powiedziała:

— Ma... Mercy, przecież to Minton!

Babcia zaśmiała się z zadowoleniem. Stała przy piecu, zaglądając pod pokrywki garnków i wachając wydobywającą się z nich parę, jakby mogła jedynie po zapachu ocenić ich zawartość.

— Znalazłam ją wśród różnych skorup. Pewnie nie uwierzysz, że była na pół pęknięta. Potrzeba wiele czasu i cierpliwości, żeby to tak naprawić. Czasu mi nie brakuje, a cierpliwości stale się uczę. Staram się jak mogę. Ale oto i Luther. Teraz możemy usiąść do stołu. To coś do czego cierpliwość nie jest wcale potrzebna. Wystarczy dobry apetyt.

Kiedy jedli gulasz babuni — nazywała go zupą, choć bardziej przypominał gulasz z jarzynami — i jej świeżo upieczony chleb (to chleb indiański, powiedziała mamie — mąka kukurydziana i żytnia pieczone przez całą noc w staroświeckim piecu z ociupinką melasy i innych dodatków dla lepszego smaku) szczerze posmarowany ziołową galaretką lub miodem, babcia nie przestawała opowiadać. W ten sposób wiele się dowiedzieli o Dimsdale.

Babcia tylko tak nazywała to miejsce. Ani razu nie użyła słowa “wysypisko”. Opowiadała o wszystkim, co ich otaczało, co przechowywała w budynku, który kiedyś był stodołą, a odtąd miał stać się ich domem. Mówiła o tym wszystkim w taki sposób, jakby oboje z dziadkiem rzeczywiście byli strażnikami jakiegoś skarbcza. Wszystko co trafiało na wysypisko, starannie sortowano. Złom trafiał do punktu skupu w miasteczku, jednak reszta niepodzielnie należała do babci i dziadka. Rzeczy sfloczone w przegrodach, które kiedyś służyły koniom, czekały na naprawę.

— Lem Granger wrócił z Korei bez nóg, ale on na pewno nie z tych, co się poddają nieszczęściu. Co to to nie! — Babcia postawiła na stole nowy półmisek z pajdami chleba. — Poszedł do jakiejś szkoły prowadzonej przez weteranów i nauczył się naprawiać urządzenia elektryczne. Kiedy tylko kończy zamówienia i ma wolną chwilę, wpada tu, żeby się rozejrzeć. Na przykład te tostery — wskazała brodą rząd wypełniający jedną z półek. — Na pewno zabierze je do siebie i tak odnowi, że będzie mógł je u siebie sprzedawać.

Letnicy nie lubią zawracać sobie głowy, kiedy coś się zepsuje, po prostu to wyrzucają. Wszyscy bylibyście zdumieni, widząc co można znaleźć w ich śmieciach pod koniec sezonu. Od czasu gdy pobudowali te nowe osiedla za rzeką, nie ma dnia, żeby ktoś się u nas nie zjawił z pełnym workiem.

Tutejsze stare rodziny, których jest już coraz mniej, urządzają wyprzedaże po śmierci krewniaków. Czego nie da się sprzedać, przywożą do nas, stąd mamy masę dziwnych rzeczy. Jest tu taki miły młody człowiek, nazywa się Correy, który wraz z żoną założył sklep ze starociami w starej kuźni. Często przyjeżdża do nas na łowy. Odkładamy dla niego rzeczy ze starych domów. To on nauczył mnie kleić porcelanę. Teraz mówi, że jestem w tym lepsza od jego nauczycielki.

Dostajemy też mnóstwo starych książek i wtedy dzwoniemy po pannę Sarah, która prowadzi bibliotekę. Skauci szukają zabawek, w ogóle wydaje mi się, że dzieciaki lubią i tu grzebać. Naprawiają je, malują, a potem wszystko trafia na Blazedale Farm — do sierocińca. Miasto płaci troszkę Lutherowi za pilnowanie tu porządku, ale ledwo można z tego wyżyć. Mamy swój ogród, zioła, sprzedajemy, co się da naprawić i wszystko razem daje nam całkiem niezłe dochody. Kiedy czytam w gazetach o tym, co się teraz dzieje na świecie, wiem, że nam się w życiu poszczęściło!

Dziadek odłożył łyżkę obok pustej już miseczki. — Mercy kocha czytać — ma tu prawdziwą bibliotekę. Zawsze też jest gotowa czegoś się nauczyć, na przykład klejenia porcelany.

— Daj spokój, Luther, pod tym względem jestem taka sama jak ty, Przecież to ty naprawiłeś te wszystkie stoliki i krzesła, które potem pan Correy sprzedał od ręki w swoim sklepie. Płacił nam po sto dolarów za stół i dziesięć za krzesło, tak dobrze je Luther odnowił! A krewniak starego pana Appelby sądził, że nadają się już tylko na podpałkę.

Holly miała wrażenie, że wysypisko ma nieco inny charakter niż początkowo przypuszczała. Poczuli to po raz pierwszy, kiedy mama podniosła miseczkę Mintoną i uważnie ją oglądała.

— Nie widzę tu śladu po klejeniu, Mercy. To czary!

— Jak te, czynione przez czarownice — wtrąciła wówczas Judy. — Babciu, czy widziałaś kiedyś czarownicę, tę, o której pani Pigot powiedziała, że tu kiedyś

mieszkała?

Dłoń babci sunęła właśnie do góry, żeby poprawić okulary, ale zamarła w połowie drogi.

— Czarownica! — powiedziała niemal gniewnie. — Ludzie, co mają za mało roboty, lubią bez potrzeby rozpuszczać języki. Nie ma żadnych czarownic. Mieszkamy tu z Lutherem od czterdziestu lat i nigdy ich nie widzieliśmy. Czarownice żyły w dawnych, złych czasach — teraz nie zwracają ludziom głowy. Opowiadano takie bzdury o pannie Elvery, bo lubiła żyć sama i nie była zbyt miła dla tych, co wpadali dowiedzieć się jak się miewa. Zawsze tak było: ludzie, którzy nie mówili wszystkiego, co wiedzieli i nie otwierali drzwi na oścież przed byle Tomem, Dickiem czy Harrym, byli bohaterami wszelkich plotek. Panna Elvery była dobrą, bogobojną kobietą, która przez większą część życia miała pecha. Nie była żadną wiedźmą!

Siła, z jaką babcia to powiedziała, uciszyła Judy. Tyle, że pani Pigot nie mówiła, że panna Elvery była czarownicą, lecz że ona — czy też jej rodzina — byli ofiarami rzuconej klątwy. Holly jednak uznała, że nie jest to najlepszy moment na wyprowadzenie babci z błędu. Było aż nadto widoczne, że babcia nie chce rozmawiać na ten temat.

Babunia chyba pragnęła, aby zaraz po kolacji wszyscy zeszli jej z oczu i położyli się spać. Zagoniła ich prędko na górę, żeby pokazać im dawne mieszkanie stangretów i strych stodoły, które teraz zamieniono na szereg niewielkich pokoi. Każdy mógł pomieścić jedynie łóżko, krzesło i wysoką drewnianą skrzynię z drzwiami. Mama wyjaśniła im, że to szafa na odzież, mebel pospolity w czasach, zanim pojawiły się wbudowane garderoby. Przy żadnym pokoju nie było łazienki z bieżącą wodą. Holly sceptycznie patrzyła na miskę i stojący w niej dzbanek z wodą w pokoju, który miała dzielić z Judy i poczuła nawrót fali sprzeciwu. Cóż to za dom, gdzie trzeba się myć w wodzie noszonej do góry i na dół. Już, już miała wybuchnąć, lecz spojrzała na zmęczoną twarz mamy, przypomniała sobie ostrzeżenie Crocka i pohamowała się.

Pokój jej i Judy musiał być jednym z większych. Był przeraźliwie zimny, więc rozebrały się błyskawicznie i naciągnęły ciepłe piżamy rozłożone przez babcię na łóżkach. Na komódce stała lampa naftowa, której mama nie pozwoliła im dotykać. Powiedziała, że sama po nią przyjdzie.

— Podoba mi się to wysypisko — stwierdziła Judy, kiedy skończyły modlitwę i usadowiły się wygodnie pod starymi ale miękkimi kołdrami. — Polubiłam babcię i dziadka i cieszę się, że tu przyjechaliśmy.

Holly nie odzywała się. Nasłuchiwała zawodzenia wiatru, które tu na górze było znacznie wyraźniejsze niż na dole, przy kominku. Słyszała przeróżne tajemnicze skrzypienia i szmery. Uważała, że to normalne w starym domu, stodole właściwie, która miała sporo ponad sto lat, jak mówił dziadek. Jednak nie chciała spać w starej stodole, pragnęła być w domu, we własnym łóżku, w swoim łóżku... Mimo wiatru, skrzypienia i ponurych myśli usnęła niespodziewanie szybko.

Rano mama wniosła na górę wielki miedziany dzban gorącej wody i pilnowała, aby się dobrze umyły. Powiedziała, że od tej chwili będzie to obowiązkiem Holly, ponieważ sama wyjeżdża najbliższym autobusem do Pine Mount. Holly starała odsuwać od siebie myśl o nieuchronnym wyjeździe mamy, łudząc się, że mają jeszcze sporo czasu. Teraz właśnie ta chwila nadeszła. Założyła jeansy i sweter, posłała łóżko i pomogła Judy ułożyć pościel w nadziei, że gdy będzie zajęta, nie będzie myślała o wyjeździe mamy.

Kapy na łóżkach były z kolorowych latek, które w oczach Holly rozjaśniały pokój jak lampa wieczorem. Za oknem było tak szaro i chłodno, jakby czas skoczył naprzód o dwa miesiące i już nadeszła zima, choć nie było śniegu.

Na dole babcia stała przy piecu, fachowo podrzucając naleśniki.

— Nie ma jak stara patelnia — mówiła do mamy. — Te wszystkie elektryczne nowinki zawsze się psują lub przypalają. Z taką patelnią nie ma żadnych kłopotów, o nie!

Naleśniki były takie jak należy. Babcia ustawiła pełen półmisek obok dużej szklanej karafki ze szczupłą rączką i szyjką rżniętą tak, że lśniła jak diamenty.

— To prawdziwy syrop klonowy — powiedziała. — Żaden tam kupny ze sztucznymi dodatkami. Mamy go prosto od Hawkinsa. Luther często pomaga mu przy nocnym warzeniu.

Nie było płatków ani soku pomarańczowego, które Holly zawsze jadła na śniadanie, ale bekon, naleśniki i duża szklanka mleka. Choć dręczyła się myślą o wyjeździe mamy, jadła z apetytem.

— Nie ma sensu, żebyście dziś szli do szkoły — ciągnęła babcia. — Zostały dwa dni do końca tygodnia. Nie zaszkodzi, jak zaczniecie od poniedziałku. Autobus zabierze was z podjazdu. Luther rozmawiał z Jimem Backusem, kierowcą. Powiedział, że macie tam czekać w poniedziałek. Luther ma sprawę do załatwienia w miasteczku, kiedy odwiezie waszą mamę. Trzeba zabrać resztki z wyprzedaży w domu Elkinsów, Boże, wydaje się, że stare rody zaczynają coraz szybciej wymierać. Elkinsowie zakładali to miasto razem z Dimsdale'ami, Pigotami, Noyesesami i Oaksami. Dobrze przynajmniej, że nie zburzą ich domu. Ktoś z zewnątrz go kupił i ma odnowić, żeby wyglądał jak dawniej. Jest na liście zabytków. Luther ma wywieźć wszystko, co tam zostało i na pewno przydadzą mu się pomocnicy. Może moglibyście mu pomóc?

Uśmiechała się, jakby to był jakiś szczególny zaszczyt. Holly chciało się wyć, ale zabrakło jej odwagi. Choćby nie wiem co, było to wysypisko, śmietnik. Dziadek objeżdżał miasto rozwalającą się ciężarówką i zbierał to, co ludzie wyrzucali. Jak śmieciarz w Bostonie. Teraz oni mieli z nim jeździć — pomocnicy śmieciarza! Wszystkie dzieci ze szkoły ich zobaczą. Holly aż skurczyła się w sobie, patrząc na wybrudzony syropem talerz. Żałowała, że w ogóle jadła — teraz było jej niedobrze.

— To super! — Crock przełknął ostatni kęs i głośno dawał upust radości.

Judy chwyciła mamę za rękaw. — Nie chcę, żebyś wyjeżdżała! — Słysząc było drżenie w jej głosie. Holly doskonale ją rozumiała. Mama usiadła przy niej i objęła ją ramieniem.

— Posłuchaj kochanie, tydzień minie, zanim się obejrzysz i znów tu będę. Będziemy miały sobie mnóstwo do powiedzenia. Zapisuj wszystko, co się wydarzy w dzienniczku, to o niczym nie zapomnisz. Możesz też do mnie pisać, a ja na pewno odpowiem na twoje listy. Możesz wziąć moje czerwone pióro i masz przecież papeterię, którą Lucy podarowała ci na urodziny, tę z kotkami.

— Jeśli mowa o kotkach... — w drzwiach pojawił się dziadek. Trzymał w rękach małego kota, który nie mógł mieć więcej niż dwa miesiące. Zupełnie przemoczony, leżał bezwładnie na dłoniach dziadka z na wpół przymkniętymi powiekami. Kiedy jednak poczuł ciepło bijące od kominka wydał z siebie cichy pisk, który nie był jeszcze miauknięciem.

— Znów to zrobili! — Dziadek delikatnie dotykał kotka, szukając rany czy złamania. Zwierzątko drżało, lecz nie próbowało go udrapnąć.

— Przyniosę jakiś koszyk, Luther. Trzymaj go przy ogniu, niech trochę obeschnie. Nie łatwo mnie rozgniewać — większość ludzi ma powody, żeby być podłymi. Jednak ani ja, ani Luther nie możemy pogodzić się z podłością wobec bezbronnych zwierzątek.

Weszła do jednego z boksów po sporych rozmiarów koszyk z urwanym pałakiem. Wystąpiła go najpierw gazetami, a na wierzch włożyła spłóciwą poduszczykę, moszcząc w ten sposób wygodne gniazdko.

— Co za ludzie! — rzuciła gwałtownie. Poprawiła okulary na nosie tak energicznie, że Holly pomyślała, że czerwone oprawki zaraz pękną. — Potrafią być gorsi od wszystkich złośliwych skrzatów i diabłów, jakie zesłał na nich szatan. Ponieważ tu jest wysypisko uważają, że nie ma nic złego w tym, żeby porzucać tu te biedne istotki, które nie

zrobiły im nic złego! — Spojrzała na dzieci zgromadzone wokół koszyka z kotkiem i powstrzymała się. — Nie, nie będę przy dzieciakach opowiadała, co już tu widywaliśmy. Luther, postaw kosz i nalej mu trochę mleka na spodek. Zostawmy go na razie w spokoju. Jeżeli sam nie dojdzie do siebie i nie napije się, przygotuję mu butelkę ze smoczkiem.

— Czy mogę go pogłaskać? — Judy zawsze pragnęła mieć kota, ale mama twierdziła, że w mieście, przy całym tym ruchu ulicznym, może to być dla zwierzęcia niebezpieczne.

— Za chwilę. — Dziadek ułożył kodaka na poduszczyku. — Jest jeszcze dziki i myśli, że cały świat jest przeciw niemu. Zresztą słusznie, po tym, jak go potraktowano. Trzeba będzie się z nim powoli zaprzyjaźnić.

Tuż przed wyjazdem do miasteczka deszcz przestał padać, ale dzień nadal był szary i ponury. Holly i Crock usiedli na stosie worków na pace. Mama i Judy wsiadły do szoferki. Tym razem Holly mogła lepiej przyjrzeć się drodze dojazdowej do szosy. Przez luki w otaczającej ją ścianie drzew i krzewów widziała właściwy teren wysypiska. Im więcej widziała, tym mniej się jej to podobało.

Wyjechali z wyboistego podjazdu na gładki asfalt i skierowali się w stronę miasta, napotykając po drodze coraz więcej domów. Było tak ciemno, że w niektórych świeciły się lampy. Również w sklepie pani Pigot, przed którym się zatrzymali, wszystkie światła były włączone.

Mama miała bilet, a autobus powinien przyjechać lada moment. Holly nie cierpiała takiego oczekiwania. Nie można w nieskończoność powtarzać “do widzenia” i “pamiętaj o tym i o tamtym”. Wkrótce nie było już o czym mówić i pozostawał jedynie nieznośny ucisk w gardle i przemożna chęć, żeby ze wszystkich sił wołać, że mama musi zostać, że trzeba wrócić do domu, żeby wszystko było jak dawniej. Bojąc się, że nie zapanuje nad sobą, Holly starała się nie patrzeć na mamę.

Wkrótce autokar wjechał na przystanek. Dziadek z Crockiem wnieśli walizki mamy. Pocałowała Holly i Judy, przeszła na drugą stronę i szybko wspięła się po schodkach, jakby i ona nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Autobus warknął i już go nie było. Holly podniosła rękę i pomachała trochę, choć wiedziała na pewno, że mama na nich nie patrzy. Ręka bezwładnie opadła.

— Robi się chłodniej — powiedział dziadek, prowadząc ich do ciężarówki. — Wejdźcie wszyscy do szoferki. Nie chcę, żebyście zamarзли przez drogę.

Crock wcisnął się na miejsce tuż przy dziadku, Judy usiadła na kolanach Holly. Zasłoniła tym samym prawie cały widok. Holly była z tego zadowolona. Nie płakała, ale wymagało to wielkiego wysiłku. Ciężarówka kołysała się, skręcając w kolejne uliczki, aż wjechała na podjazd i tyły dużego, ciemnego domostwa. Tu też stała stodoła, choć nie tak wielka jak w Dimsdale. Wrota były zamknięte, a okna pozabijane deskami. Obok drzwi stały jednak różne beczki, pudła i stare, ogromne skrzynie, wyszczerbione, z połamanymi zawiasami.

— Jesteśmy — rzucił wesoło dziadek. — Mam nadzieję, że nic nie będzie dla nas za ciężkie.

Crock od razu zabrał się do przenoszenia. Judy i Holly stanęły z boku. Holly nie miała najmniejszej ochoty dotykać tych zakurzonych, brudnych rzeczy. Judy pewnie odczuwała to samo. Jednak dziadek sprawiał wrażenie, że liczy na ich pomoc, więc zabrały się do pracy.

Holly trafiła na skrzyneczkę zasłoniętą przez solidny kufer. Upuściła ją w drodze do ciężarówki — była okropnie niewygodna w niesieniu — i wtedy na ziemię wypadła poduszka. Była mała, jak poduszka dla niemowlaka, czy raczej dla dużej lalki, a na jej poszewce był wyszyty dziwny wzór, który nie próbował niczego przedstawiać — po prostu koła w nieregularnych odstępach. Podniosła ją pośpiesznie i poczuła jej zapach, dziwną woń, która przypominała jej... nie, właściwie Holly nie miała pojęcia, co przypominał jej ten zapach. Wsunęła poduszczkę pod kurtkę, a ten zapach dochodził do niej przy każdym poruszeniu. Taka dziwna rzecz, ale w jakiś sposób ważna. Dlaczego? Na to Holly nie potrafiła odpowiedzieć.

III

Tomkit i poduszka marzen

Wnieśli skrzynki i dwa kufry do szopy. Dziadek powiedział, że później przejrzy ich zawartość. Holly nie wierzyła, że którakolwiek z tych rzeczy może się do czegoś przydać. Jednak Crock i Judy zdawali się wierzyć, że pod wierzchnimi warstwami śmieci paki kryją w sobie prawdziwe skarby. Przez całą drogę z miasteczka dziadek opowiadał im o cudenkach, jakie czasami znajdował.

— Czasami — mówił — ludzie sami nie wiedzą, co mają. Chcą uporządkować strych albo piwnicę, więc wyrzucają wszystko bez oglądania. Mówią, że nie mają czasu albo, że na pewno nic wartościowego tam nie wstawiano. Weźmy na przykład ten kufer...

— Jest cały połamany — wtrąciła Holly. Przez to, że Judy siedziała jej na kolanach i przyciskała się do niej, zapach wydobywający się z poduszeczki był silniejszy niż przedtem. Nie była nawet pewna, czy można uznać go za przyjemny. Zaczęła żałować, że nie wrzuciła jej do jakiejś paczki zanim ruszyli.

— Jasne, że tak. — Dziadek nie przejął się jej uwagą. — Ale można go naprawić. Dziś wielu ludzi zapłaci niezłe pieniądze za stary kufer. Pan Correy sprzedał już trzy takie, a dwa z nich były w jeszcze gorszym stanie. Elkinsowie to stara rodzina, mieszkali tu od początku, oni i Dimsdale'owie. Trzeba się więc dobrze przyjrzeć tym gratom. Nigdy nic nie wiadomo.

— Będziemy mogli ci pomóc, dziadku? — dopytywał się Crock.

— Jasne. Przydadzą mi się młode, bystre oczy.

Nawet Holly poczuła ukłucie ciekawości.

Dziadek mówił dalej: — Nie będziemy mogli zabrać się do tego już dziś. Pani Dale ma przyprowadzić do nas swoje zuchy. Chcą wyszukać zabawki, które będą się nadawały do naprawy, na kiermasz w przyszłym miesiącu. Zawsze mają z tego niezłe zyski, a resztę zanoszą do sierocińca.

Śmieci, czy też skarby, z domostwa Elkinsów złożono w szopie i wszyscy wrócili do stodoły, łakomie patrząc na to, co babcia stawiała na stole. Odsunęła żeliwne drzwiczki w ścianie kominka i za pomocą specjalnej szufli z długą rączką wyciągała brązowy gliniany garnek.

— Od samego zapachu człowiek nabiera apetytu. — Dziadek powoli odwijął z szyi długi szal.

— Fasola z wieprzowiną — powiedziała babcia. — Pożywne. Udało ci się zwieźć wszystko za jednym razem?

— Tak. Miałem dobrych pomocników — gestem głowy wskazał na dzieci.

— Woda i mydło są tam. — Babcia poprawiła okulary i podprowadziła ich do ławy pod ścianą. Stały na niej trzy miednice i talerzyk z dziwnym, nieregularnym kawałkiem mydła. Na końcu stała spora konew wody.

Dziadek porzlewał wodę do misek. — Trzeba się umyć zanim Mercy dopuści nas do stołu.

Crock natychmiast zabrał się do mycia. Judy miała zdziwiony wyraz twarzy, ale posłusznie ruszyła ku ławie. To było coś zupełnie innego niż bieg na górę do łazienki na prośbę mamy. Holly znów poczuła potrzebę powrotu do domu, gdzie wszystko było na swoim miejscu i takie jak trzeba. Rozpięła suwak i powoli ściągnęła kurtkę. Mała poduszka upadła tuż przed babcią, która niosła właśnie talerz z kromkami chleba na stół.

Holly podniosła poduszkę z ziemi. Teraz pachniała zbyt intensywnie. W dotyku nie

przypominała też zwyczajnej puchowej poduszki, miało się wrażenie, że była wypchana kawałkami liści lub trawą.

— Wypadła z małego kuferka, kiedy ładowaliśmy ciężarówkę — powiedziała szybko Holly. — To poduszczyk, przynajmniej tak mi się wydaje. — Widząc ją teraz w pełnym świetle, zwątpiła, czy pierwsze wrażenie było słuszne. Na pewno była zbyt mała, by pochodzić z normalnego łóżka, z kolei nie była dość ładna, by ozdabiać kanapę.

Materiał poszewki był szorstki i żółty. Wyszywany wzór tworzył poprzerywane koła, jakby miejscami szew puścił. Jednak nie można było tego uznać za wzór miły dla oka, jak na przykład liście paproci, które mama wyszywała w zeszłym roku na poduszkach.

Mama wyszywała... Dłonie Holly mocniej zacisnęły się na brzydkiej poduszce. Znów poczuła ucisk w gardle. Mama odeszła jak reszta tamtego życia, które było bezpieczne i szczęśliwe.

Babcia postawiła chleb na stole. Wyciągnęła rękę i Holly podała jej poduszkę. Była zadowolona, że pozbyła się tej brudnej staroci. Babcia obracała znalezione w dłoniach, uważnie oglądała brakujące fragmenty zaglądając pod spód, wsadziła paznokciec pod wyszyte kręgi. Potem uniosła ją do twarzy i długo wachała.

— Melisa, złocien. — Jeszcze raz pociągnęła nosem. — Płatki róży, mięta, goździki i coś jeszcze, czego nie potrafię nazwać. — Kolejny raz powąchała poduszkę. — Nie, nic z tego. Nie mogę określić, co to jest. Jeśli zaś chodzi o resztę, to ziołowa poduszka, Holly. Robili takie dla ludzi, którzy nie sypiali dobrze po nocach. Panna Elvery miała podobną. Używała jej przy bólach głowy. Kiedyś pokazała mi, jak to się robi. Potrzeba mięty, balsamu pszczelego i troszkę kłacza kosaćca. Ta poduszka jest bardziej interesująca niż na pierwszy rzut oka. To płótno jest naprawdę stare, nie zdziwiłabym się wcale, gdyby tkano je ręcznie, przynajmniej tak wygląda. No i bardzo dobrze się trzyma. — Ścisnęła ją mocno w dłoni. — W środku jest pewnie tylko proszek, ale to — przejechała palcem po wzorze — to mi coś przypomina. Tyle że sama nie wiem co. Mój Boże, fasola stygnie. Połóż to na półce, Holly. Muszę się nad tym zastanowić, co mi chodzi po głowie.

Holly położyła poduszkę na wolnym miejscu na półce ze skorupami i poszła się umyć. Mimo dziwnego wyglądu mydło miało miły, korzenny zapach. Kiedy siadała do stołu, Judy wskazywała na niezwykle przedmiot zbudowany ze stojących na podszewce metalowych rurek połączonych ze sobą jak piszczałki w organach. — Co to, babciu?

— Dzięki temu zarabiam na swoje kieszonkowe, Judy. Pan Correy pozwala mi czasem coś wystawić w swoim sklepie. W tym urządzeniu robię świece ziołowe. Ludziom podoba się ich zapach, więc je kupują. Ta forma jest chyba tak stara jak to miasto. Luther, możesz zmówić modlitwę?

Holly posłusznie zamknęła oczy i słuchała słów dziadka o jedzeniu, które dał im dobry Bóg. Dodał też coś o mamie i tatusiu. Chciałaby móc umieć zamknąć uszy na tę chwilę, bojąc się, że może się rozbeczeć.

Szybko wsadziła do buzi łyżkę fasoli. Była pyszna, równie dobra jak wczorajszy gulasz. Mimo wszystko Holly była głodna.

— Babciu! — Judy przełknęła ostatnią łyżeczkę deseru nazywanego przez babcię szybkim budyniem i podawanego z syropem klonowym. — Dlaczego nie macie tu prawdziwego światła, jak u nas w domu?

— No cóż, panna Elvery nie miała pieniędzy, żeby zapłacić za przyciągnięcie tu linii, kiedy wprowadzili elektryczność. A gdy miasto przejęło Dimsdale, zakład oczyszczania nie chciał za to zapłacić. Oni nie wydadzą centa więcej, niż naprawdę muszą. My z Lutherem zawsze używaliśmy lamp naftowych i świec. Dla nas to coś

naturalnego. Tak samo jak czerpanie wody ze studni i inne rzeczy dziwne dla miastowych. Moja mamusia, Judy, była naprawdę biedna. Pragnęła z całego serca, żeby jej dzieci miały lepiej i tak się stało. Mój brat, Jas, poszedł do pracy na kolei i dobrze się urządził. Missy i Ellie May znalazły pracę w dużych miastach przy dobrych rodzinach, które bardzo je sobie cenią.

Mnie i Lutherowi także się powiodło. Nie jesteśmy na żadnym zasiłku i mamy swój dom. Luther ma tu dobrą pracę.. Wasz tatuś również zawsze szedł naprzód. Bez problemów skończył szkołę średnią i zaciągnął się do armii. Mówił, że tam się można wiele nauczyć. Na komisji poborowej powiedzieli mu, że mimo służby może zdobyć dobry, cywilny zawód. Był dobry w tym, co tam robił — coś przy radiostacjach. Tak dobry, że — babcia zamyśliła się na moment — sam pułkownik chciał, żeby pojechał z nim do Wietnamu. Mówił, że na nim może polegać. Sądzę, że i Joel w pewnym sensie był zadowolony, że tam jedzie. Zawsze ciągnęło go w świat. Nie można było go oderwać od National Geographic, ciągle je czytał i czytał. Zmuszał mnie i Luthera, żebyśmy z nim czytali.

My z dziadkiem niewiele chodziliśmy do szkół. Musieliśmy pracować. Tato Luthera zmarł, kiedy ten był w wieku Holly, więc poszedł do pracy w tartaku w Riverton. Jego mamie przydawał się jego zarobek. Ale potrafił już czytać, liczyć i pisać, a przecież można się samemu uczyć, jeśli się nie jest leniwym. Chodźcie no i spojrzcie na to...

Gwałtownie odwróciła się od stołu, ciągnąc ich za sobą. Poszli za nią w chłodniejszą część pomieszczenia, z dala od ciepłego pieca. Ostatnia przegroda była wypełniona półkami ciasno poustawianych książek. Niektóre z nich były podniszczone, bez okładek, ale stały równo, a babcia delikatnie gładziła ich grzbiety.

— Biblioteka. Mamy tu swoją bibliotekę. Oboje przeczytaliśmy każdą z tych książek. Oczywiście, dwa razy w miesiącu przyjeżdża bibliobus, ale staje przy podjeździe, więc zimą nieraz trudno się do niego dostać. Szosa jest odśnieżana, ale podjazd już nie. Jednak nigdy nie brakuje nam książek, nawet kiedy nie dostaniemy się do bibliobusu.

Crock przyglądał się półkom. — Niektóre są naprawdę stare, prawda?

— Tak sądzę. Panna Sarah bierze do biblioteki te, które się tam nadadzą, ale dużo zostaje. Również czasopisma. Stąd nasza biblioteczka. Dobrze mieć coś takiego na zimowe wieczory, kiedy nie ma wiele do roboty. Kiedyś znalazłam całą paczkę książek o ziołach. Trzymam je zawsze pod ręką i korzystam z przepisów, wiele z nich zostało już dawno zapomnianych. Są tu też książki dla dzieci. Tylko pamiętajcie — traktujcie je jak należy. Książki to prawdziwe skarby. Wiele przemyśleń i ciężkiej pracy trzeba, żeby je pisać.

— No, dobrze. — Wróciła do stołu. — Pani Dale przyprowadzi tu po szkole swoje zuchy, więc musimy trochę posprzątać. Luther, ty i Crock możecie rzucić okiem na boks z zabawkami i trochę je rozłożyć, żeby dzieciaki łatwiej poznajdowały, czego im trzeba. My posprzątamy naczynia.

Trochę przez zaskoczenie Holly znalazła się przy cynowej balii, wycierając ściereczką ciepłe talerze, kubki i miseczki myte przez babcie. Podawała je Judy, która odkładała je na właściwie półeczki.

— Razem szybko nam idzie — powiedziała babcia. — Dobrze, że pani Dale dziś tu przychodzi, będziecie mogli ją poznać. Uczy piątą klasę w dużej szkole.

— Ja jestem w piątej klasie — powiedziała od razu Judy. — Czy będzie moją panią?

— Tak jest. Ty, Holly, będziesz pewnie miała panią Finch. Jest dużo starsza od pani Dale. Niektórzy mówią, że jest surowa. Ale jest sprawiedliwa i traktuje uczniów jak należy, chce jedynie, żeby uczciwie się starali.

— W zeszłym roku Holly dostała świadectwo z wyróżnieniem — powiedziała Judy. — Mama pozwoliła jej samej wybrać nagrodę, a ona wybrała wspólne wyjście do kina. Obejrzelśmy film Disneya. Nie był nowy, ale przedtem nie widzieliśmy go w całości, tylko kawałki w telewizji. Był świetny, o małym jelonku.

— Naprawdę? Może ci się poszczęści i zobaczysz tu prawdziwego jelenia. Luther ma dobre serce dla zwierząt. W ostre zimy dokarmia je sianem. W zeszłym roku mieliśmy tu jelenie.

— Babciu — Judy spojrzała na puste miejsce przy kominku. — Kotek, co się stało z kotkiem?

— Podjadł sobie, umył się i poszedł rozejrzeć się po domu. Gdzieś tu musi się kręcić. Koty to lubią, są ciekawskie, chcą wszystko wiedzieć o miejscu, gdzie zamierzają się osiedlić. O, widzisz — pewnie usłyszał, że o nim mówimy.

Szary kot wyłonił się z cienia i podszedł do paleniska. Usiadł tuż przed dużą, wypolerowaną kamienną płytą. Kiedy zauważył, że na niego patrzą, otworzył pyszczek jakby miauczał, lecz Holly nic nie usłyszała. Nie wyglądał już tak żałośnie jak na rękach dziadka, ale był straszliwie wychudzony.

— Znów pora karmienia? — Babcia pokręciła głową, ale nalała mleka do miseczki i pokruszyła pajdę ciemnego chleba. — Wydaje się, że ten chleb mu smakuje. Niektóre koty mają dziwne upodobania.

— Zatrzymacie go? — chciała wiedzieć Holly. Kot nie przypominał tych, które oglądała w albumach przynoszonych z biblioteki. Miała nadzieję, że kiedyś będzie miała prawdziwego syjamczyka czy persę. Ten zaś przypominał dachowce, jakie czasami widywała w mieście.

— Jeśli zechce tu zostać, proszę bardzo — powiedziała babcia. — Koty same wybierają sobie dom, nie zostaną z ludźmi, którzy im się nie spodobają ani w miejscu, które nie wyda im się odpowiednie. Zobaczmy, co postanowi.

— Jak go nazwiemy? — dopytywała się Judy.

— Tomkit! — Holly sama była zaskoczona swoją reakcją. Zaproponowała takie głupie imię. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek je słyszała. Skąd jej to przyszło do głowy?

— Tomkit — powtórzyła Judy. — Ach, jak Tom Kitten, o którym mama nam czytała, ten z opowieści Roly–Poly. Prawie o nim zapomniałam. Czytaliśmy to, kiedy byłam bardzo mała.

— Tomkit — powtórzyła babcia w zamyśleniu. — W porządku, niech będzie Tomkit.

Szary kotek przestał pochłaniać zawartość miseczki i spojrzał w górę. Holly była pewna, że na nią. Zupełnie, jakby słyszał już to imię. Może rzeczywiście zapamiętała je z bajek, choć trudno jej było w to uwierzyć. Mimo wszystko pasowało do znajdy.

Obie z Judy pomagały babci w uporządkowaniu domu–stodoły, jak go Holly nazywała w myślach. Potem poszły obejrzyć rzeczy, które dziadek z Crockiem wyciągnęli z końcowego boksu. Były wśród nich dwa rowery w dość opłakanym stanie, wózek bez kół, jakieś wypchane zabawki, część zestawu kolejki. Większość tak zniszczona, że zdaniem Holly do niczego się nie nadawały. Nie miała ochoty zajmować się tym bałaganem. Powiedziała babci, że chce napisać list do mamy i poszła na górę po papier i długopis.

Już miała je w rękach i była gotowa zejść na dół, kiedy usłyszała hałas i domyśliła się, że pani Dale i jej zuchy już przybyli. Wszyscy mówili jednocześnie, a była ich setka lub przynajmniej dziesiątka. Holly przysiadła na łóżku. Nie miała serca, żeby zejść i stawić im czoło. Śmietnik — cóż oni sobie myślą o Wade'ach mieszkających na śmietniku i pomagających w zbieraniu śmieci z miasteczka? To przecież był śmietnik, a oni mieszkali w starej stodole po brzegi wypełnionej śmieciami...

Rzuciła się na łóżko i zacisnęła zęby na kołdrze. Nie, nie rozplacze się! Mamo! Nie chciała do niej pisać, chciała ją zobaczyć, tu i teraz, w tym pokoju. Żeby weszła i powiedziała, że to nieporozumienie, że wracają do domu i że wszystko będzie jak dotąd.

— Holly?

To była Judy. Nie chciała na nią spojrzeć, ale bała się, że siostra pójdzie do babci i powie, że ona płacze, czy coś takiego.

— Czego chcesz? — spytała ostrym tonem.

— Nie zejdiesz, Holly? Babcia daje nam pączki, a pani Dale jest taka miła. Chodź, Holly.

Judy chyba miała rację. Tylko czy ona zupełnie już zapomniała o mamie? Czy nie chciała wrócić do domu? Holly zeskoczyła z łóżka.

Jeżeli nawet Judy umyła się przed obiadem, to teraz nie była zbyt czysta. Pokrywał ją kurz i miała oleiste plamy na bluzce. Jeden z warkoczyków rozplótł się i włosy opadały na oczy. Odgarniając je zostawiała ciemną smugę na czole.

— W porządku. — Holly miała ochotę zostać w pokoju, ale bała się, że babcia tu wejdzie i sama sprowadzi ją na dół.

Pani Dale była naprawdę miła. Holly musiała to przyznać, choć niełatwo się poddawała. Chłopcy przekopując się przez stertę zabawek przywitani ją od niechcenia, nie odwracając głowy. Chłopcy są zawsze tacy sami. Zauważyła jednak, że wszyscy byli biali.

Co będzie, jeżeli okaże się, że są jedynymi czarnymi w szkole? Z kim się będą przyjaźnili? Nie lubiła się wpychać tam, gdzie jej nie chciano. Będzie musiała uważać na Judy, żeby tego nie robiła. Rozmawiając uprzejmie z panią Dale, tak jak ją mama uczyła, Holly nie przestawała się martwić. Nie potrafiła jednak zebrać się na odwagę i zadać wprost dręczącego ją pytania. Dałaby wiele, żeby już teraz znać na nie odpowiedź.

Myśli o szkole nie opuszczały Holly przez cały weekend. W niedzielę pojechali do kościoła, ale kościół był za miasteczkiem, za rzeką, w budynku, w którym kiedyś mieściła się jednoizbowa szkoła. Spotkali tam przyjaciół babci i dziadka. Wszyscy byli równie starzy jak oni. Zresztą nie było ich zbyt wielu, a ksiądz, nazywany bratem Williamsem, był chyba najstarszy. Żadnych dzieci, nie licząc niemowlaków i kilku nastolatków uważających się już za dorosłych. Holly miała wrażenie, że to bardzo dziwny kościół, a poza tym brakowało w nim mamy.

Nie mając nic lepszego do roboty, po południu zbadali zawartość domowej biblioteczki. Rzeczywiście były w niej stare książki dla dzieci. Judy przypięła się do powieści Nancy Drew bez połowy okładki i ze stronami pozlepianymi taśmą. Crock znalazł stos magazynów National Geographics. Tylko Holly, znudzona i nieszczęśliwa, wyciągała książkę za książką bez większego zainteresowania. Znalazła wreszcie podniszczony tom, który wyglądał jak trzy razem oprawione magazyny. Na wypłamionej oprawie z trudem zdołała odczytać tytuł: "Święty Mikołaj". Strony wewnątrz były brudne i wielokrotnie naprawiane, a ilustracje wydały się jej bardzo dziwne. Książka musiała być bardzo stara, bo wewnątrz okładki znalazła datę 1895. Przewróciła kilka kartek, starając się ich nie podrzeć. Nadszedł czas kolacji.

W poniedziałkowy poranek wstali z łóżek, gdy było jeszcze ciemno. Trzęsąc się z zimna przeszli przez podjazd, do szosy, żeby czekać na szkolny autobus. Czekali tak długo, że Holly zaczęła mieć nadzieję, że kierowca o nich zapomniał i kolejny dzień im się upiecze.

Jednak autobus w końcu przyjechał. Był zatłoczony i nie pozostało im nic innego jak przepychać się na sam koniec pojazdu, narażając się na ciekawskie spojrzenia nieznanym. Crock zobaczył jednego z zuchów, który kiwał do niego, wskazując

wolne miejsce. Holly i Judy musiały jednak dotrzeć na sam koniec. Holly miała pewność, że jej najgorsze koszmary się spełniły — w autobusie nie było żadnych czarnych dzieci poza nimi.

— Judy. — Mocno chwyciła siostrę za łokieć i ścisnęła go, żeby mieć pewność, że ta ją słyszy. — Bądź ostrożna...

— Jak to, ostrożna, Holly?

— Nie widzisz? Tu są sami biali, może nas nie lubią.

Staraj się nie naciskać, zaprzyjaźniaj się jedynie z tymi, którzy zrobią sami pierwszy krok. Bądź dobra i się nie narzucaj. Inaczej zaczną o nas gadać...

— Co mogą gadać?

— No, że mieszkamy na śmietniku i że jesteśmy inni, coś w tym stylu.

Z twarzy Judy zniknął zwyczajny blask. Wyglądała na zaniepokojoną. — Ale ten chłopak, on sam prosił Crocka, żeby usiadł przy nim.

— Z chłopcami, to coś innego — powiedziała Holly. — Staraj się nie dawać powodu tym białym dziewczynom, żeby myślały, że są lepsze od nas, żeby się z nas wyśmiewały. Po prostu bądź ostrożna i czekaj, jak się będą zachowywać.

— Holly, czy ty się boisz?

To była właśnie ta rzecz, do której Holly nigdy by się nie przyznała. Zwłaszcza wobec Judy, młodszej o cały rok i czasami zachowującej się jak dziecko.

— Nie. Chcę jedynie, żebyś była ostrożna.

— W porządku, Holly — głos Judy był bardzo cichy. Usiadła wygodniej, patrząc na swój tornister na kolanach. Kanapki przygotowane przez babcię tworzyły wyraźne wybrzuszenie.

Holly była ostrożna, bardzo ostrożna. Odzywała się jedynie wtedy, kiedy ją o coś pytano, sama nie włączała się do rozmowy. W klasie nie zgłaszała się na ochotnika nawet wtedy, gdy znała odpowiedź. Podczas przerw i lunchu nie próbowała dołączyć do innych dziewczynek tylko szukała Judy. Cały czas poruszała się bardzo ostrożnie, czekając aż ktoś powie “śmietnik”, czy “czarna” lub też rzuci inną obraźliwą uwagę. Z początku niektóre uczennice próbowały ją zagadywać, ale chłodno potraktowane, zostawiły ją w spokoju. Była z tego nawet zadowolona. Nie będzie się pchała gdzie jej nie chcą.

W całej szkole była oprócz nich jedynie trójka czarnych dzieci i to wszystkie w niższych klasach. W czwartek Judy nie wyglądała na szczęśliwą, kiedy Holly odnalazła ją w przerwie na lunch.

— Debbie prosiła, żebym z nią zjadła. Debbie jest miła. Dlaczego nie mogę z nią usiąść?

— A, idź sobie. — Holly wstała, ściskając w dłoniach torbę zjedzeniem. — Idź sobie do niej! Niech się z ciebie śmieją za plecami, jeśli tego chcesz!

— Zaczekaj, Holly, proszę. — Judy chwyciła ją za rękaw. — Zostań. Debbie usiadła przy Rum i Berty. Chyba naprawdę mnie nie chcą.

Holly czuła się jednak trochę głupio, kiedy wróciła do stołu. Wiedziała, że zrobiła Judy przykrość. Może ta Debbie rzeczywiście była inna, jak dziewczynki w domu. Tyle, że... Nie mogła przełknąć pasztecika z dna torby, więc dała go Judy.

Kiedy wieczorem wróciły do domu, znalazły Tomkita wyciągniętego na ulubionym miejscu przy palenisku na poduszeczce, o której Holly zdążyła już zapomnieć. Wyciągnęła ją spod niego, nie zwracając uwagi na pełne niezadowolenia mruczenie, i lekko ścisnęła. Zapach nic nie stracił ze swej mocy. Babcia powiedziała, że zrobiono ją dla ludzi, którzy mieli kłopoty ze snem. Jak jednak mogła podziwiać na sny?

Sny! Ostatniej nocy nawiedził ją koszmar. Obudziła się z płaczem i tak wystraszyła Judy, że ta niemal do niej dołączyła. Potem przyznała się jej, że także śniła o mamie i tatusiu, którzy gdzieś zginęli i nie mogła ich odnaleźć.

— Posłuchaj, Judy, pamiętasz, co babcia mówiła nam o tej poduszce, że pomaga usnąć? Być może odpędza także złe sny. Gdybyśmy mogły to wypróbować...

— Nie możemy obie spać na takiej małej poduszeczce — zaprotestowała Judy.

— Jasne, że nie. Zróbcie to po kolei — wtrącił się Crock.

Holly mocno przyciskała poduszeczkę. Tak bardzo jej pragnęła, że chciała krzyczeć, że jest tylko jej. W końcu to ona ją znalazła. Musiała jednak przyznać, że Crock ma rację. Tatuś zawsze powtarzał, że wszystko należy robić sprawiedliwie. Trzeba tylko wylosować kolejność.

Czekając aż Crock odwróci się do nich, trzymając w zamkniętej dłoni dwa paski papieru stanowiące losy, Holly starała się zrozumieć, dlaczego tak bardzo chciała mieć tę poduszkę. Było to dziwne uczucie, ale nie przerażało jej, zupełnie jakby poduszka nie tylko do niej należała, ale i była jej potrzebna. Tak samo czuła się przed wielu, wielu laty, kiedy nie mogła położyć się spać, nie tuląc swego misia Puchatka.

— Gotowe, ty pierwsza, Judy. — Crock odwrócił się do dziewczynek.

— Masz trzy paski — zdziwiła się Holly.

— Jasne, mogę się chyba przekonać, o co tu chodzi, nie? Ty pierwsza, Judy — powtórzył.

Dość długo? się zastanawiała, w końcu sięgnęła po środkowy pasek. Holly wybrała prawy, zostawiając ostatni Crockowi. Kiedy je porównali, okazało się, że wygrała Judy.

Holly oddała jej poduszkę z niechęcią przekonana w głębi duszy, że los znów ją krzywdzi.

IV

Furtka labiryntu

Choć tej nocy nie dręczyły jej koszmary, Holly zbudziła się wcześniej niż zwykle. Pokój, który dzieliła z Judy, miał tylko jedno niewielkie okno, przez które przeciskało się niewiele światła. Kiedy usiadła na łóżku, żeby rzucić okiem na Judy, dostrzegła długie, futrzane ciało Tomkita wyciągniętego jak struna. Głowę miał tuż przy twarzy Judy tak, jakby wspólnie korzystali z poduszeczki snów. Holly wyraźnie wyczuwała zapach ziół unoszący się w całym pokoju.

Zrzuciwszy z siebie kołdrę, zadrżała z zimna. Szybko założyła ciepłe, wybite futerkiem pantofle i zawołała siostrę.

Judy nie poruszyła się. Holly podeszła do jej łóżka i usłyszała cichutki szmer. Wargi siostry poruszały się, jakby coś mówiła, lecz słowa były tak ciche, że nie można było ich zrozumieć. Nawet kiedy Holly pochyliła się nad śpiącą.

Było coś przerażającego w tak głębokim śnie i szeptaniu Judy.

— Judy! — Tym razem krzyknęła głośniejszym głosem i dotknęła dłonią policzka siostry.

Odpowiedział jej przenikliwy syk. Dostrzegła łapę z rozczapierzonymi pazurkami. Spojrzała na Tomkita. Przynajmniej on się obudził. Siedział i wpatrywał się w nią wąskimi szpareczkami oczu. Jego uszy ciasno przylegały do małej czaszki. Jeszcze raz prychnął ostrzegawczo.

— Ty kocurze! — wybuchła Holly. — Zmykaj! — Mimo groźby widocznej w jego postawie odważyła się wyszarpnąć poduszkę spod głowy Judy i odrzucić ją w nogi łóżka.

Judy odwróciła głowę i otworzyła oczy. Czaił się w nich dziwny blask. Choć skierowała głowę w stronę siostry, można było odnieść wrażenie, że jej nie widzi, że patrzy na coś stojącego obok niej.

— Panna Tamar — powiedziała zaspanym głosem. Potem usiadła, odrzucając kołdrę i koce. — Poduszka, gdzie jest poduszka? — Kiedy dostrzegła ją na końcu łóżka gwałtownie rzuciła się, żeby ją chwycić.

— Judy — powiedziała ostro Holly. — Co się z tobą dzieje?

Siostra obracała poduszczkę w dłoniach, uważnie oglądając jej wzór. Nie odpowiedziała od razu. Wydawała się całkowicie pochłonięta przesuwaniem czubka palca po przerywanych kręgach: dookoła, dookoła, aż trafił na środek. — To tu! — Pokiwała głową, jakby nagle uzyskała całkowitą pewność, że jej przypuszczenia się potwierdziły. — Właśnie tu to znajdziemy!

— Co znajdziemy!? — dopytywała się Holly. — Coś w poduszce? — Wyciągnęła rękę, żeby odebrać ją Judy i samej sprawdzić, ale młodsza siostra nie pozwoliła na to.

— Ja sama! Ja to znajdę! Panna Tamar powiedziała mi jak tam trafić.

— Dokąd trafić? — Zniecierpliwienie Holly narastało błyskawicznie. — I kim jest, ta panna Tamar?

— Trafić do skarbu w labiryncie — odpowiedziała Judy pospiesznie, jakby dziwiła się głupocie siostry, która nie pojęła od razu, o co chodzi. — Panna Tamar to... to... — na jej twarzyczce zaczął malować się niepokój. — Holly, ja nie wiem, kim ona jest. Ale ona chce, żebyśmy do niej przyszli, do labiryntu.

— Jakiego labiryntu? — Holly była zdumiona. Co to takiego ten labirynt. Miała niejasne pojęcie, że to jakiś rodzaj zagadki. Nagle zrozumiała dziwne zachowanie Judy.

— Miałaś sen. Sama wiesz, jakie dziwne rzeczy potrafią się przyśnić.

Judy powoli pokręciła przecząco głową. Przyciskała poduszkę do piersi. — To nie

był sen, Holly, to się działo naprawdę. Labirynt istnieje, a panna Tamar chce, żebyśmy ją tam odwiedzili. Pokazała mi drogę, nie mogę się zgubić. Możemy iść tam dzisiaj, jest sobota, mama nie przyjedzie, bo ma jakieś zebranie więc mamy czas.

Było jasne, że Judy święcie wierzyła, że jej sen był prawdą. Holly wzruszyła ramionami i zaczęła się ubierać. Wiedziała, że nie ma sensu spierać się z siostrą, kiedy była w takim nastroju. Zazwyczaj słuchała bez szemrania, jednak od czasu do czasu na jej twarzy pojawiał się ten szczególny wyraz i wówczas nie można jej było do niczego nakłonić ani zmusić.

Labirynt musiał być częścią szczególnie plastycznego snu. Z czasem Judy sama to pojmie. Mimo to, zakładając jeansy, Holly raz po raz spoglądała na siostrę. Choć Judy również się ubierała, trzymała poduszczkę blisko siebie. Tomkit energicznie ją obwąchiwał, jakby w środku znajdował się jakiś koci przysmak, choć nie dotykał jej łapą.

Holly żałowała, że to nie ona wylosowała sen na poduszczce. Judy zachowywała się tak dziwnie. Czyżby wypełniony ziołami woreczek miał moc sprawiania, że sny wyglądają jak jawa?

Nie próbowała nawet przekonywać Judy, że nie pójda szukać skarbów w miejscu nazywanym przez nią labiryntem. W końcu sama dojdzie do wniosku, że to wytwór sennej wyobraźni. Starannie ścieląc łóżko, uznała, że to jedyna metoda. Trzeba pozwolić siostrze, by się sama przekonała, że ani skarb, ani labirynt nie istnieją. Nie ma też żadnej panny Tamar. Cóż za śmieszne imię, nigdy o takim nie słyszała. Skąd Judy je wytrzasnęła?

— Schodzę na dół pomóc babci przy śniadaniu — oznajmiła Holly, wciągając przez głowę koszulkę z dużą, czerwoną gwiazdą na przedzie.

— Dobrze. — Judy nawet na nią nie spojrzała. Nie przypomniła jej też, że zazwyczaj razem przykrywały łóżka kapami. Jedyne, co ją w tej chwili zajmowało, to ta przeklęta stara poduszka! Dobrze, niech więc poduszka jej pomaga! Ze złością zbiegła po schodach.

Choć było jeszcze wcześniej, babcia krzątała się przy piecu. Smażyła jajecznicę.

— Dzień dobry, Holly. Dla nas soboty to zawsze dni pełne roboty. Każdy, kto ma coś do wyrzucenia, przyjeżdża tu właśnie wtedy! Luther musi wstawać przed świtem, żeby wszystkiego dopilnować. Moglibyście mu pomóc.

Holly porozstawiała na stole talerze na babciną jajecznicę. Babcia nie dolewała mleka do jajek jak mama. Dodawała szczyptę tego czy owego z rozlicznych słoików wypełnionych wysuszonymi liśćmi, które stały w równym szeregu. Jednak najważniejszą sprawą dla Holly było rozwiązanie zagadki snów Judy.

— Słyszałaś kiedyś o labiryncie, babciu?

Babcia sięgnęła ręką do kolejnego słoika. Słyszając ją, zamarła. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na nią, jakby powiedziała coś niesłychanego.

— Kto ci o nim mówił, Holly?

Czy mogła powiedzieć, że pojawił się we śnie Judy? Babcia nigdy by w to nie uwierzyła. Nie potrafiła też kłamać. Co powiedzieć?

— Czy to prawdziwy labirynt? — wywineła się pytaniem. Nic innego nie przyszło jej do głowy w tej chwili.

— To taka ozdoba ogrodu z dawnych czasów — powiedziała babcia w zamyśleniu.

— Sadzili żywopłoty według specjalnego planu, pozostawiając ukryte bramy. Ścieżki między nimi błdziły na różne strony. Zawsze była w tym jakaś tajemnica. Jeżeli skręcało się w odpowiednich miejscach, można było dostać się do samego środka. Różne historie opowiadano o ludziach, którzy się w nich zgubili i musieli wołać o pomoc. Tu też był kiedyś labirynt. Jednak krzewy tak się rozrosły, że nikt już nie próbuje się do niego dostać, chyba żeby wjechać tam spychaczem. Większość ludzi

zupełnie o nim zapomniała. Słyszałaś o tym w szkole?

Holly znów zrobiła unik. — Judy słyszała. — Nie dodała jednak, że to był sen. Zadrzała niespodzianie, mimo że stała tuż przy wielkim piecu. Jak to się stało, że we śnie Judy pojawił się labirynt, który naprawdę istniał? To wszystko przez tę poduszkę! Powinna była zostawić ją na śmietniku Elskinów.

— Nie chodźcie tam czasem. Jest cały zarośnięty kolczastymi krzakami i nie dałabym głowy, że nie ma tam węży. To miejsce wprost stworzone dla nich.

Węże! Holly zadrzała ponownie. A Judy chciała tam iść. Cóż, nie pozostaje nic innego niż zmówić się z Crockiem i ją powstrzymać.

Korciło ją, żeby spytać o tę tajemniczą pannę Tamar. Jeżeli labirynt ze snu Judy okazał się prawdziwy, to może i panna Tamar... nie, to nie może być prawda, to musi być sen, ponieważ panna Tamar kazała Judy wejść do labiryntu. Holly rozłożyła widelce do jajecznicy. Jeżeli labirynt jest tak zarośnięty, jak mówi babcia, to nie powinna się martwić. Judy nie zdoła tam wejść. Mimo wszystko jednak przyrzekała sobie, że nie dopuści nawet do tej skazanej na niepowodzenie próby, przede wszystkim z powodu węży.

Judy zeszła na dół bez poduszeczki. Babcia musiała ją zawołać, kiedy Crock i dziadek wrócili ze spaceru nazywanego przez dziadka obchodem terenu. Ustalał, gdzie należy składować odpadki, żeby miejski spychacz dokładnie je poprzykrywał. Musiał pilnować, aby “niedzielni śmieciarze” nie wyrzucali swych ładunków gdzie popadnie. Większe odpady trafiały do dziury po wypalanej piwnicy starego domu.

Oczywiście odpadki musiały być sortowane, a wszystko co nadawało się do wykorzystania, przeniesione do jednej z szop lub do stodoły. Butelki, a nawet tacki po mrożonkach mogły być odstawione do skupu i zamienione na gotówkę. W sumie więc, jak nie bez pewnej dumy informował siostry Crock, trzeba się nieźle napracować, żeby nie wyrzucić czegoś, co daje dochód.

Ledwo skończyli śniadanie, usłyszeli dźwięk klaksonu i Crock z dziadkiem znów wyszli. Dziadek powiedział, że to na pewno Larversonowie. Od czasu do czasu wynajmowali ciężarówkę, żeby wywieźć śmieci z dwóch ulic nowego osiedla.

Nalewając gorącą wodę do zmywania naczyń, babcia rzuciła: — To tylko śmieci. Niczego tam nie znajdziecie.

— Jasne, że to nie starocie — zgodził się z nią dziadek, owijając szyję długim szalem. — Ale czasami można tam znaleźć dobre rzeczy dla Lema. Zawsze warto rzucić na to okiem.

Kiedy naczynia były pozmywane, a Holly i Judy posprzątały swój pokój, babcia wskazała im wieszak z kurtkami. — Możecie iść na dwór, w ten sposób nie będziecie mi przeszkadzać przy klejeniu skorup. — Uśmiechnęła się, wepchnęła okulary na nos i zaczęła rozkładać gazety na stole. — Mam tu na dziś niezłą łamigłówkę, to od Elkinsów. Jeżeli uda mi się to dobrze zrobić, pan Correy będzie bardziej niż zadowolony. — Zdjęła z półki starą poszewkę i ostrożnie rozwinęła. Wewnątrz była biała statuetka rozbita na drobne kawałki. Patrząc na nią, Holly nie mogła pojąć, jak można się spodziewać, że ktokolwiek jest w stanie złożyć w jedną całość tę masę porcelanowych okruchów.

Podniosła kawałek, który był częścią głowy. Starannie ściągnięte w tył włosy wystawały spod czegoś, co przypominało czepek jaki mama nosiła w pracy, ale zachodziło niżej na głowę.

— Co to może być? — zastanawiała się głośno, ostrożnie odkładając fragment na poszewkę.

— To kobieta — powiedziała babcia z przekonaniem. — Może to nawet dzieło Rogera. One są dużo warte. Przedstawiały postaci ze starych opowieści. Musimy trochę poczekać, zanim się przekonam, czy coś z tego wyjdzie.

— Holly, wychodzisz? — zawołała Judy spod drzwi.

Miała na sobie kurtkę i czapeczkę. Tomkit ocierał się o jej stopy, jakby nie mógł się doczekać spaceru.

Holly właściwie wolałaby zostać i przyglądać się magicznym poczynaniom babci przy pracy nad roztrzaskaną figurką. Jednak babcia wyraziła się jasno. Pragnie, by jej nie przeszkadzano, więc trzeba to uszanować. Jak tylko wyjdą na dwór, powie Judy, co sądzi o wyprawie do labiryntu i o węzach.

— No chodź już! — Judy wypadła za drzwi, zanim Holly zdążyła naciągnąć czapkę na głowę. Poranek był chłodny. Z ust wydobywały się wyraźne kłęby pary. Judy nie posiadała się z niecierpliwości.

— Dokąd?

— Do labiryntu oczywiście! — Judy powiedziała to takim tonem, jakby inna odpowiedź nie wchodziła w rachubę.

Holly zatrzymała się i chwyciła siostrę za ramię. — Posłuchaj, tam właśnie nie pójdziemy. Zresztą i tak nie dostałybyśmy się do środka, bez względu na to, co ci się śniło. Pytałam babcie. Powiedziała, że labirynt cały zarósł i zdziczał i że tam są węże.

— Można tam wejść, kiedy się zna właściwą drogę.

— Jaką drogę?

— Panna Tamar mi pokazała. Nic nam nie grozi. Czeka tam na nas skarb.

— Posłuchaj, Judy. — Holly wzmocniła uścisk, a Judy zaczęła się wyrywać. — Przecież sama wiesz, że to tylko sen. Nie ma panny Tamar.

— Tak? — Judy była zdecydowanie w buntowniczym nastroju. — Przecież nie wierzyłaś, że tu jest labirynt, aż sama się przekonałaś. Tak samo z panną Tamar. Rób, co chcesz, ja tam idę.

Szarpnęła mocno i uwolniła rękę. Ruszyła biegiem w stronę szarobrazowej masy bezlistnych krzewów w oddali. Tomkit biegł obok z ogonem uniesionym wysoko jak sztandar zwycięstwa. Holly nie pozostało nic innego, jak pobiec za nimi i mieć nadzieję, że Judy zmadrzeje, kiedy zobaczy, że nie da się wejść w gęstwinę.

— Hej, dokąd pędzisz? — spytał Crock, który niespodzianie znalazł się przy niej.

— Za Judy — krzyknęła w biegu. — Ona zupełnie zwariowała.

Przyspieszył i zrównał się z nią. — O co ci chodzi?

— Ona myśli, że tam jest schowany jakiś skarb. — Holly machnęła ręką w kierunku niezbyt już odległej ściany krzaków. — Śniło się jej coś głupiego. Babcia mówi, że tam się nie można dostać i że tam są węże. Musimy ją powstrzymać, Crock.

— Węże nie lubią zimna — powiedział. — Dlaczego myśli, że jej sen jest prawdziwy? Przecież nie jest aż takim dzieckiem.

— Sam ją spytaj! — rzuciła wściekłym głosem. — Nic do niej nie trafia. To wszystko przez tę głupią poduszkę. Spała na niej i teraz wierzy, że ktoś, kogo nazywa panną Tamar, wskazał jej przejście przez labirynt. Crock!

Stała jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Oczywiście, wszystko było pomieszane jak we śnie, ale jednak naprawdę to widziała. Oczywiście nie wymyślają obrazów. A może jednak?

Judy już nie biegła, stała przodem do nich i przynaglała gestami. Uśmiechała się przy tym szeroko. Nie było w tym nic szczególnego, za to niezwykle były te dwie rzeczy za nią: dwa słupki, jakie zwykle podtrzymują furtkę.

Krzewy, które z daleka wydawały się szare i nagie, wcale nie były takie z bliska. Pokrywały je drobne, lśniące, ciemnozielone listki. Dwa krzaki, dużo wyższe od Judy, przycięto w specjalny sposób tak, żeby przypominały koty! Wielkie, zielone koty, które siedziały wyprostowane z ogonami przykrywającymi przednie łapy i pyskami przypominającymi Tomkita.

Tomkit siedział obok Judy w dokładnie ten sam sposób. Miał szeroko otwarte,

zółtozielone oczy. Ktoś śmiało mógłby uznać go za model, według którego przycięto żywopłot. Wstał bez pośpiechu, przeciągnął się i ruszył przed siebie między kotami i zielonymi ścianami, na ścieżkę, której strzegły.

— Chodźcie! — Judy wymachiwała rękami w kierunku siostry i brata. Ruszyła za Tomkitem, zanim Holly zdołała ją zatrzymać, czy choć krzyknąć. Zniknęła między zielonymi kotami.

— Crock, musimy ją stamtąd wydostać! — Holly zerwała się do biegu. Pamiętała słowa babci, że ludzie ginęli w labiryntach. Co będzie, jak jej nie znajdą?

Minęła zielone koty, Crock tuż za nią. Znajdowali się w zielonym tunelu utworzonym przez wysokie krzaki, których górne gałęzie spletały się ze sobą. U ich stóp wyrastały mniejsze rośliny, zupełnie jak latem, a nie późną jesienią. W powietrzu unosił się silny zapach drobnych fioletowych kwiatków.

Tunel miał chodnik wyłożony bardzo starymi, szarymi kamieniami. Ze szczelin między nimi wyłaniały się roślinki wydzielające przy poruszeniu ostrą, korzenną woń. Dostrzegli Judy niedaleko rozgałęzienia drogi. Przystępowała z nogi na nogę i kiwała do nich.

— Pospieszcie się! Musicie iść za mną — krzyknęła, nim podeszli. — Znam drogę. Wszystko jest dokładnie tak, jak opisała panna Tamar. Tędy.

Skręciła w prawe rozwidlenie tunelu. Robiło się coraz cieplej. Holly rozpięła kurtkę i wsadziła czapkę do kieszeni. Zupełnie jak latem. Obok gałązek z fioletowymi kwiatkami pojawiały się coraz to nowe. Wydawało się, że każdy ich rodzaj pachnie inaczej, a zapach wyzwalало nawet najlżejsze dotknięcie.

Doszli do kolejnego rozwidlenia, gdzie siedział jeszcze jeden kot wystrzyżony z żywopłotu. Tomkit gdzieś się zapodział. Musiał sporo ich wyprzedzić. Tunele labiryntu były bardzo ciche, ale ciepło, zapach roślin i kwiatów w pewnym stopniu uspokoiły Holly. Złapała się na tym, że dokładnie przygląda się nieznanym roślinom. Tylko raz udało się jej rozpoznać niepozorną różyczkę wplecioną w ścianę żywopłotu.

Judy prowadziła ich pewnie, skręcając w prawo na wszystkich rozwidleniach. Holly zupełnie straciła poczucie kierunku, a mimo to wydawało się jej, że krąży spiralnie, zbliżając się do środka, jak kręgi wyszyte na poduszce. Nie była tego jednak pewna.

Jeszcze dwukrotnie napotykali krzaczaste koty, które wcale nie wyglądały groźnie. Crock dokładnie je oglądał, starając się zrozumieć, w jaki sposób przycięto lub ustawiono krzewy, żeby utworzyły tak wyraźne figury.

Pozdejmowali kurtki i nieśli je przewieszane przez ramię. Choć nie widzieli słońca przez gałęzie, czuli, że grzeje. Holly podciągnęła rękawy koszuli i zatrzymała się na chwilę, lecz Judy uparcie parła do przodu, jakby miała ważną sprawę do załatwienia.

Tunel skręcił ostro i znaleźli się na otwartej przestrzeni. Holly zmrużyła oczy. Patrzyła na rozpościerający się przed nią widok czując, że to sen, który rozpoczął się realistycznie, wydarzeniami poranka i niepostrzeżenie przeszedł w bajkę.

Przed sobą mieli zadbane ogród. Holly nigdy nie widziała podobnego, nawet w książkach. Ścieżka, którą tu dotarli prowadziła prosto do środka. Rośliny i kwiaty rosły w nim na starannie zaplanowanych rabatkach — okrągłych, prostych lub hakowatych. Na każdej było coś innego. Ścieżka wiodła prosto, omijając jedynie mały stawek na środku.

Za ogrodem, który z tej perspektywy przypominał nieco kapy na łóżka szyte przez babcię z kolorowych łątek, stał dom.

Był dużo mniejszy niż stodoła i sprawiał wrażenie, jakby nie był zbudowany ludzką ręką, lecz wyrósł z ziemi w jakiś niesamowity sposób. Dach kryły szerokie gonty upstrzone zielonkawym mchem. Mech porastał również ściany z surowych desek.

Olbrzymi komin z polnych kamieni wyznaczał środek domu. Tu i ówdzie między kamieniami rosły małe paprotki. Okna były małe i wysoko ustawione, a ich szyby stanowiły szklane romby oprawne w metal. Obok domu widać było koliste obramowanie studni, a za nią na niskiej ławie stał rząd uli ze słomianymi, stożkowymi daszkami, między nimi pracowicie uwijały się pszczoły.

Duże drzwi frontowe były szeroko otwarte, a na ich progu siedział albo sam Tomkit, albo jego brat bliźniak, spokojnie liżący tylną łapę. Wyglądał na zadomowionego.

Judy ruszyła naprzód, obeszła stawek i skierowała się prosto do domku. Holly miała wrażenie, że z ogromnego komina wydobywa się wąła smużka dymu. Najwyraźniej dom był zamieszkały. Wypielęgnowany ogród, pszczoły, lecz któż mógł być jego mieszkańcem? Dlaczego babcia nic nie mówiła o swych najbliższych sąsiadach?

— Nie pojmuję tego. — Crockett rzucił kurtkę na trawę. — Po prostu nie pojmuję! Przecież to lato, a nie październik! I kto...

Miał rację, to naprawdę było lato, choć Holly nie chciała tego przyznać. Bała się nawet pomyśleć, co mogłoby to oznaczać. To musiał być sen, nic innego. Zamknęła oczy — zaraz obudzi się w stodole.

Jednak kiedy je otwarła, zobaczyła Judy tuż przy drzwiach domku. Nagle wydało się jej, że otwarte wejście czeka na nich jak pułapka.

— Judy! — krzyknęła z całych sił i puściła się biegiem za siostrą. — Judy, nie!

Judy nie odwróciła się do niej i nie zatrzymała. Jeżeli Holly nie uda się jej powstrzymać, zaraz będzie wewnątrz.

— Judy!

Holly ominęła stawek. Między rabatkami korzenne zapachy były jeszcze silniejsze. Nie miała jednak czasu nad tym się zastanawiać, musiała zatrzymać siostrę, inaczej zaraz coś się stanie. Nie wiedziała, co to może być, ale okropnie się tego bała.

Tomkit usiadł w takiej samej pozycji, jaką prezentowały żywopłotowe koty. Na jego pyszczku malował się wyraz oczekiwania.

Holly rozpaczliwie przyspieszyła. Złapała Judy za rękę.

— Nie, Judy!

— Ależ tu nie ma niczego strasznego, dziecko.

To nie Judy wypowiedziała te słowa. Dobiegły z wnętrza domu.

V Tamar

Holly nie puściła ramienia Judy.

— Nie wchodź tam, ani się waż! — krzyczała.

Judy szarpnęła rękę, starając się uwolnić z chwytu. — Co się z tobą dzieje, Holly. Przez cały czas jak tu jesteśmy ciągle mi mówisz nie rób tego, nie rób tamtego. Mam już tego dosyć. Puść mnie, słyszysz! — Łagodna Judy rzadko tak się wściekała. Wyrwała się i weszła wprost do ciemnego wnętrza dziwnego domu, jakby był równie bezpieczny jak stodoła, gdzie babcia czeka z obiadem.

Bunt siostry na chwilę tak oszołomił Holly, że nie mogła się ruszyć. Potem zobaczyła, że Crock również zbiera się do wejścia.

— Crock!

— Co? — Ledwo na nią spojrział. — Wiesz co, Holly, Judy ma rację. Myślisz, że zjadłaś wszystkie rozumy, a to nieprawda. Nieprawda! — Wkroczył w mrok za Judy.

Holly czuła łagodny powiew letniego powietrza niosącego ze sobą zapachy z ogrodu. Słyszała bzyczenie pszczół. Otoczenie było tak spokojne, zachęcające, jednak w głębi duszy czuła niepokój. To wszystko było tak nierealne! Doskonale wiedziała, że październik to jesień, chłody. Nie rosły już żadne kwiaty, przynajmniej na zewnątrz zielonych tuneli, do których wciągnęła ich Judy. A o tym domu babcia ani dziadek nigdy nie wspomnieli. Kto tu mieszka? I dlaczego Judy wyśniła tę drogę?

Nie mogła już dłużej udawać sama przed sobą, że to się jej tylko śni. Nie, to musi być coś innego, dziwnego i niewłaściwego. Bała się. Judy i Crock weszli do środka, więc i ona będzie musiała to zrobić. Nie ma wyboru.

Krok po kroku wsuwała się do obcego domu. Twarz owionął zapach nieznanych perfum.

Wnętrze zdawało się stanowić jedno pomieszczenie z wielkim kominkiem pośrodku, niemal tak dużym jak w stodole. Płonęły tam aż dwa paleniska, nad którymi kołysały się garnki na łańcuchach zwisających wprost z komina. Przy jednym z garnków stała jakaś kobieta i mieszała jego zawartość powolnymi, równymi ruchami długiej drewnianej łyżki. Spojrzała na Holly, uśmiechnęła się do niej i znów wpatrzyła się w mieszany płyn, jakby to zajęcie wymagało szczególnej uwagi i ostrożności.

Wielki pokój nie był zbyt dobrze oświetlony, choć do środka przedostawało się nieco blasku słonecznego przez okienko na drugim końcu izby. Skupiając całą swą uwagę na nieznanym, Holly nie potrafiła rozpoznać sprzętów gęsto wypełniających wnętrze.

Kobieta była równie wysoka jak mama, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo do niej, czy jakiegokolwiek znanej pani. Nie wierzyła własnym oczom. Kobieta mieszkająca w garncu nie mogła być prawdziwa. Chyba, że przebrała się tak z jakiegoś powodu. W zeszłym roku mama zabrała ich do Williamsburga, gdzie po skansenie oprowadzały przewodniczki ubrane w dawne stroje. Może i ta pani udawała postać z dawnych czasów.

Ciemne włosy ściągnęła ciasno na tył głowy i przykryła czepkiem przypominającym ten, jaki mama nosiła w pracy, tylko bardziej zakrywającym tył głowy. Jej spódnice (były dwie, wierzchnia podciągnięta ku górze na bokach odsłaniała drugą) były długie i obfite. Spodnia miała kolor wyblakłej żółci, wierzchnia była granatowa. Na nie założyła długie fartuch, również żółty. Miała na sobie dopasowany gorsecik sznurowany z przodu tasiemką. Na ramiona narzuciła coś, co

wyglądało jak wielki biały kołnierz zapięty pod szyją.

Holly przypominała sobie, gdzie już widziała taki strój — w podręczniku do historii. Ta kobieta była ubrana jak pielgrzymi podczas pierwszego Święta Dziękczynienia. Nie sprawiała jednak wrażenia kogoś w kostiumie, poruszała się naturalnie, jakby to był jedyny strój, jaki знаła.

Ponieważ kobieta nie odzywała się ani nie dała żadnego znaku świadczącego o tym, że zauważyła ich obecność, nie licząc powitalnego uśmiechu, jakim obdarzyła Holly, dziewczynka zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu. Było wypełnione sprzętami. Kiedy oczy przywykły do półmroku, zaczęła dostrzegać szczegóły.

Pod ścianą stały komody, bardzo ciężkie, o solidnym wyglądzie. Nad nimi wisiały szafki. Na środku pokoju stał długi stół, o który opierali się Judy i Crock z zaciekawieniem obserwujący nieznaną. Stały na nim różne miski, garnuszki i kilka innych rzeczy. Od strony wejścia przy stole ustawiono ławę i krzesło z wysokim oparciem, na którym siedział Tomkit z przymkniętymi oczami, jakby szykował się do drzemki.

Obok kominka było jeszcze jedno krzesło z oparciem i dwa stołki ze stojącymi na nich dzbankiem i garnuszkami, w których tkwiły długie łyżki i miedziane chochle. Z długich belek pod sufitem zwisały pęczki wysuszonych roślin.

Holly przestała przyglądać się im, kiedy usłyszała jak kobieta zaśpiewała, cichutko, jakby do siebie:

*Lawenda jest niebieska, dilly, dilly!
Lawenda zielona.
Kiedy będę królem, dilly, dilly!
Ty będziesz królową.
Któż ci to powiedział, dilly, dilly?
Któż to ci powiedział?
Serce me własne, dilly, dilly!
Rzekło mi to.*

Zaraz potem zaczęła inną piosenkę:

*Jeleń kocha gęsty bór,
Zając kocha wzgórze;
Rycerz kocha lśniący miecz.
Pani kocha wolę swą!*

Roześmiała się szczęśliwa. Holly niespodzianie spostrzegła, że sama się uśmiecha. Nie wiedziała, jak to się stało, ale na moment opuściły ją wszystkie zmartwienia, jakie przeżywała od dnia, w którym przyszedł telegram. Zwinięty w kłębek Tomkit spał na dużym krześle. Judy i Crock także się uśmiechali.

— Starczy. — Kobieta poruszyła się szybko, sięgnęła po parę szczypiec, którymi zdjęła garnek z łańcucha i pewnym ruchem postawiła go na kamiennej płycie paleniska.

— Dobrze zrobione, w porządku — zajrzała w głąb garnka, gdzie wciąż jeszcze wrzał płyn. — Ostygnie, a sami obaczycie. Ale, ale, musicie mi wybaczyć tak słabe przywitanie. Niech Bóg was błogosławi!

Uniosła rękę i wykonała w powietrzu delikatny gest. Wyglądało, jakby ich liczyła, jeden, dwa, trzy. Patrzyła na nich w szczególny sposób. Holly pomyślała, że bardziej patrzy w nich niż na nich. Judy i Crock zostali obdarzeni uśmiechem, ale kiedy wypadło na Holly, uśmiech zbladł nieco, więc dziewczynka cofnęła się o krok.

Poczuła się, jakby zrobiła coś złego. Jednakże niepewność trwała nie dłużej niż sekundę. Kobieta, a może dziewczyna, znów się uśmiechała.

Niezwykła sukienka i czepek na gładko zaczesanych włosach postarzały ją. Była opalona, jakby wiele przebywała na słońcu i nie wydawała się specjalnie ładna. Miała nieco zbyt ostrą brodę i zdecydowanie za długi nos. Jednak, kiedy się uśmiechała, nie zwracało się na to uwagi.

— Panna Tamar — powiedziała Judy.

— Jam jest Tamar — skinęła dziewczyna głową — choć są tacy, co zwa mnie inaczej. Wyście zaś kto?

— Nazywam się Judy Wade — odpowiedziała szybko.

— To mój brat Crock, właściwie Crockett. Naprawdę jesteśmy bliźniakami, ale nikt tego nie zauważa, dopóki mu nie powiemy. A to moja siostra, Holly. Od niedawna mieszkamy w Dimsdale.

— Dimsdale — powtórzyła Tamar. Uśmiech zgasł na jej twarzy. — Ach, znów zapomniałam. Wy nie znacie dawnego Dimsdale, jeno to, co jest teraz. Cię nie umyka.

— Potrząsnęła z żalem głową. — Okrutny cień wciąż tam spoczywa...

Holly zebrała odwagę i spytała: — Gdzie to jest, gdzie jesteśmy? Dziadek i babcia nigdy nam nie mówili o nim ani o pani. — Ogarnęły ją wątpliwości, czy była dość uprzejma, bo Crock rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Ten dom jest tam, gdzie był zawsze — odpowiedziała Tamar, nie podając faktów, jakie Holly pragnęła usłyszeć. — Tu był, jest i będzie, albowiem jest z ziemi i jej darów.

Ponownie się uśmiechnęła. — Dobrze mieć znów gości i patrzeć na dziecięce liczka pod tym dachem. A czyż to czasem nie Tomkit? — odezwała się do kota, jak gdyby oczekiwała, że jej odpowie, lecz on jedynie otworzył oczy i spojrzał na nią nieprzytomnie.

— Czy Tomkit należy do pani? — spytała Judy. — Dziadek znalazł go na wysypisku, myślał, że ktoś go tam wyrzucił.

— Tomkit jest sam sobie panem, chodzi, gdzie mu serce nakaże, robi, co trzeba — odpowiedziała Tamar. — Zaiste, dziecko, nikt nie może zwać się właścicielem kota. Sam decyduje, czy mieszkać pod twoim dachem czy pod innym. Znam Tomkita, a i on mnie zna. Nie powiem jednak nigdy, że jest mój i mnie jest posłuszny. Ma własne życie. Żaden mąż, ani niewiasta czy pacholę nie mogą posiadać innego życia niż własne. Takie jest prawo boskie. Czyż Bóg nie powiedział jasno: "Masz miłować wszystko co żywe. Nie pozwól, by ktokolwiek cierpiał od rąk twoich, czy zamysłów niecznych. Masz z pokorą chodzić ludzkimi ścieżkami zgodnie z przykazaniem Pana. Zadowolenie poznasz przez cierpienie, przez długie lata cierpliwości i przez szlachetność umysłu i czynów. Bowiem mądrzy nigdy się nie starzeją." — Wypowiedziała te słowa z powagą, z jaką dziadek odmawiał modlitwę przy stole.

Po chwili dokończyła: — I niech tak będzie.

Te ostatnie słowa rozległy się dziwnym echem po pokoju, jakby powtórzone przez innych ludzi. Jednak żadne z dzieci ich nie wymówiło, a Tomkit nie mógł tego uczynić z oczywistych przyczyn.

— Trzeba mieć prawdę w sercu — powiedziała Tamar, sięgając po stygnący garnek. Postawiła go na trzech krótkich nóżkach na stole. — Inaczej wszelki wysiłek wniwecz się obróci. Zaiste, w tym syropie cała prawda będzie, gotowam przysiąc na Księgę.

Pracowała sprawnie, rozstawiając pół tuzina małych glinianych czarek na stole i nalewając do każdego równą miarkę zawartości garnca. Słodki zapach perfum, jaki panował w domku, pochodził właśnie z gęstego syropu.

— Co to? — spytała Judy. — Pachnie jak perfumy, a zarazem jak coś pysznego do jedzenia.

Tamar nie od razu jej odpowiedziała; wydawała się całkowicie skupiona na odmierzaniu równych porcji. Gdy skończyła, wrzuciła chochlę do pustego garnka i westchnęła z ulgą.

— Zrobione i to dobrze! O co żeś się pytała, dziecko? To syrop z róży. Można go różnorodnie używać: do ciasteczek na przekąskę, do warzenia potraw, do eliksirów odpędzających choroby. Ma też w sobie krztę dzięcielinę, a ta wybornie pomaga na choroby duszy. Czasami choroby duszy cięższym brzemieniem kładą się na ludziach niż nieomagi ciała dręczące jedynie przez krótki czas przebywania na ziemskim padole.

Holly słuchała uważnie, lecz nie była pewna, czy wszystko rozumie. Tamar dziwnie wymawiała słowa, akcentując je tak, że brzmiały jakby w obcym języku.

— To wszystko zioła? — Judy wskazała na pęczki zwisające z belek sufitowych. — Babcia też ma takie w szopie, ale dużo mniej.

— Twa babka też je ma? — zdziwiła się Tamar. — Więc to mądra kobieta i dzięki temu droga otworzyła się przed wami. Zaiste, to wszystko, co dobra ziemia daje nam do leczenia i niesienia ulgi w cierpieniu. — Dalsze słowa intonowała śpiewnie, choć nie próbowała rymować: — Mięta, pszczeli balsam, lawenda, nagietek na skręcenia i ran zeszywanie; mięta polej, odświeży stęchłą wodę, więc mirem darzą ją żeglarze; pierwiosnek do wina, by ogrzał żołądek; bazylija, tymianek i rozmaryn, ruta, tawuła, krwawnik, szaflwia, portulaka, kurzyślep wszystkie one i z pół setki innych, których nazwać nie potrafię, a jeśli nawet, to dnia by nie starczyło na wymienianie. Utrzeć je można czy uwarzyć albo w miski dodać, by jadła smak podniosły, w ciasto zagnieść, w winie zanurzyć...

Uniosła rękę, jakby chciała naraz objąć wszelkie możliwości. Jej twarz jaśniała jak twarz babci, kiedy opowiadała o naprawianiu rozbitej porcelany. — Ach, tyle ich w szerokim świecie, że życia nie starczy na naukę. Nieskończona jest dobroć ziemi, która daje ludziom takie bogactwa, a ci korzystają z nich, często zapominając o dziękczynieniu. Nie wierzą, że człek musi być jednym ze wszystkim, co rośnie, biega, nawet na czterech łapach, co skrzydła rozwija i dom swój czyni na niebie. Człek morduje bez myśli, drze i wykopuje bez uczucia, nie szanuje wielkich, dobrych darów. W baczości żyć powinien, by mu ich nie zabrano. Zaiste, poważne to myśli, nie nadają się do goszczenia. Goszczenie to czas na ucztę i weselenie się. Chodźcie, siadźcie tu i podzielmy się chlebem i winem, jak dobrzy ludzie czynić zwyczajni.

Powiedziawszy to Tamar zgarnęła ze stołu naczynia i odstawiła je na bok. Judy próbowała jej pomóc i podniosła niewielkie pudełko. Zanim jednak przesunęła je na dalszy koniec stołu pochyliła głowę i powąchała zawartość.

— Przepraszam, pani, co to za paciorki? Tak ładnie pachną. Patrz, Holly.

Odwróciła szkatułeczkę tak, że Holly mogła zobaczyć czerwono-brązowe kulki wypełniające ją do połowy. Unosił się nad nimi silny różany zapach.

— Ach, te — powiedziała Tamar. — To błahostki, coś dla panien młodych do ozdoby. Choć są tacy, co mówią, że do grzesznego kuszenia są wykorzystywane. To różane paciorki. Trza zebrać kwiaty w pełnym rozkwicie, płatki zetrzeć w moździerz. Gładką pastę w kulki obtoczyć i zostawić aż wyschną dobrze. Można je potem na nić nanizać lub jak te zostawić i w kufrze między bielizną trzymać, aby zapachem przeszła. Tak samo jak to. — Z szafki wyciągnęła brązową kulę, większą od paciorków, rozsiewającą wokół dużo silniejszą, korzenną woń.

— Na to trzeba wziąć twarde jabłko albo, jeśli jest pod ręką, pomarańczę z Hiszpanii. Wbijamy weń goździki tak ciasno, by zakryć całą skórę. Wtenczas owoc nie gnije, tylko długo tak pachnie.

Holly była oczarowana. Obracała w dłoniach twardą kulę, wachając ją raz po raz. Judy natomiast nie odrywała noska od pudełka. Crock, niezbyt tym zainteresowany, chodził wzdłuż stołu zaglądając ciekawie do naczyń i skrzynek, przyglądając się staroświeckiej wadze, patelniom i tym podobnym przedmiotom stłoczonym na jednym końcu.

— Czy robi to pani na sprzedaż? — spytał.

— Niektóre tak. Inne dla własnego ukontentowania. — Rozstawiała na wolnym końcu stołu talerze z matowego metalu przypominającego niezbyt dobrze wypolerowane srebro. — Więcej jest zdrowia w tym, co rośnie w mym ogrodzie niż w walizeczce niejednego doktora.

— Babcia robi świece ziołowe — pochwalił się. — Sprzedaje je w sklepie ze starociami. Założę się, że dziadek chętnie by to obejrzał. — Crock patrzył na szereg niewielkich skrzynek z drewna. Wszystkie miały wieczka z rączkami wyrzeźbionymi w kształcie liścia lub kwiatu. — Są świetne; dziadek też rzeźbi.

Tamar odeszła na chwilę w głąb pokoju i wróciła z dużym brązowym dzbanem. Spojrzała na skrzynek i odwróciła wzrok. Holly pomyślała, że zrobiła to z niechęcią, jakby coś się jej w nich nie podobało. A może to Crock był zbyt wścibski.

— Zaiste, chłopcze, wielu mężczyzn dobrze sobie radzi z nożem i kawałkiem drewna. Dobra to rzecz umieć zrobić coś przydatnego, jeszcze lepsza, jeśli i oko może się tym nacieszyć. Jednak nie wszyscy się z tym zgodzą.

— Bardzo mi się podobało — ciągnął dalej Crock o wiele bardziej rozmowny niż zwykle — co pani powiedziała o kochaniu wszystkiego, co istnieje w przyrodzie, że nie wolno tego niszczyć. Dziadek uważa tak samo. Zmusza ludzi, żeby tak wysypywali śmieci, że można je zakryć i żeby niczego nie niszczyły. Potem sadi na nich drzewa.

— Drzewa! — Tamar przyglądała mu się z uwagą. — Jakie drzewa?

— Młode sosny i wierzy, te, które może przesadzić z miejsca budowy autostrady na drugim końcu miasta. Pokazywał mi je. On także sieje żołądzie. — Crock uśmiechnął się szeroko. — Oczywiście, powiedział, że minie wiele lat zanim z nich coś wyrośnie.

— Dęby. — Tamar pokiwała głową. — Dęby, mocarne drzewa. Powinien też spróbować z jesionem i wiązem. Wiaz to najlepsza osłona przed ciemnymi mocami. A babcia? — Spojrzała na Judy, a w jej głosie słyhać było nieco ostrzejszą nutę. — Czy ona także coś sadi?

— Chyba tak. Ma przecież te wszystkie zioła. Gdzieś muszą rosnąć, prawda?

— Jasne, też je uprawia. Musi. Jeżeli dobrze się z nimi obchodzić, potrafią wypędzić chorobę. Dam ci coś, co cudownie działa: bazylię, śláz, głóg, czarny ciemiernik...

— Ale — Holly wtrąciła się głośnie — nie możemy tego teraz wysadzać... tam. — Nie była już pewna, gdzie właściwie jest stodoła. — Teraz jest jesień, zimno. Nic nie wyrośnie.

Spojrzenie Tamar spoczęło na oczach dziewczynki i przez chwilę nie odrywały od siebie wzroku. Holly chciała się z tego wyzwolić, lecz nie mogła. Na twarzy Tamar znów pojawił się ten dziwny wyraz, jakby wcale nie patrzyła na nią, lecz w nią. Był to tak dziwaczny pomysł, że Holly ponownie poczuła nieprzepartą chęć ucieczki z tego domu, przez labirynt, w bezpieczne miejsce.

I znów Tamar powoli pokiwała głową. — Więc to tak...

— Mówiła bardziej do siebie niż do nich. — Czas wije się jak spirala, zwój za zwojem, niczym wąż w swym gnieździe.

— Brzmiało to jak jakieś dawne przysłowie. Nagle niezwykła chwila minęła. — Doprawdy, dostaniecie nasiona i kłącza. Są sposoby. Spytajcie waszą dobrą babcie.

Mądra kobieta będzie wiedziała co uczynić. Teraz siadajcie i spożywajcie dary natury. To nic takiego: ciasto, pszczele bogactwa i jabłecznik.

Wsunęli się na ławę z jednej strony stołu i skosztowali kruszących się kawałków pieczywa, które Tamar położyła na talerzach, obficie polewając miodem. Napelniła małe kubeczki płynem z wysokiego dzbana i stała uśmiechnięta, przyglądając się jak jedzą.

— Co jeszcze pani robi oprócz różanych paciorków? — spytała Judy.

— Co robię? Pół dnia nie starczy, żeby o wszystkim opowiedzieć — roześmiała się. — Mieszam lecznicze proszki i maści, dodatki do pożywienia. Robię lubczyk dla kawalerów, żeby panny ich chciały...

— Lubczyk? — przerwała jej Judy. — To brzmi zabawnie. Co to właściwie jest?

— Taka ozdoba, rozumiesz? Każdy kwiat i każdy liść ma swoje znaczenie dla wtajemniczonych, takoz i zapach. Jak zrobić wiązanke? Wziąć trzeba dziewięć składników — łodyżek, liści i razem powiązać. Jeśli z kwiatków, naprzód trzeba pomyśleć, co się chce przekazać. Kawaler zostawia taką wiązkę na progu panny, a jeśli ta mu sprzyja, przypnie ją do chusty. Są jednak i tacy, co marszczą się na te zwyczaje, że niby próżne i dla lekkogłowych jedynie przeznaczone.

Tamar westchnęła nagle. — Zaiste, to prawda, że kto szuka ciemnych myśli i wszeteczeństwa, zawsze je znajdzie. Taki to i słońce zaćmić potrafi, narzekając, że zbyt wesoło świeci. Nie wierzy, że i w śmiechu, i świetle dobro znaleźć można. I...

Lawenda błękitna, dilly, dilly!

Lawenda zielona...

To była piosenka Tamar, lecz tym razem śpiewana męskim głosem dochodzącym spoza domu. Na moment Tamar zamarła bez ruchu. Holly miała wrażenie, że się przestraszyła, czy też bardzo zmieszana. Potem jednak zapanowała nad sobą, jakby miała stawić czoło czemuś bardzo trudnemu. Widywała już mamę w podobnej sytuacji — kiedy oprowadzała po domu przyszłych lokatorów.

Kiedy Tamar ponownie spojrzała na dzieci, uniosła palec do warg. Zrozumiały ten gest i skinęły głowami. Dopiero wtedy szybko wyszła do ogrodu.

Holly zsunęła się z ławy. Nie wiedziała, kto zbliżał się do domu, ale musiała się tego dowiedzieć. Judy usiłowała złapać ją za rękaw, jednak znalazła się pod oknem, skąd mogła zobaczyć, co się dzieje.

Tamar już wyszła przed próg. Ścieżką od ogrodu zbliżał się chłopiec.

Ubrany był w skórzane spodenki sięgające do kolan, grube skarpety i wielkie buty z klamrami. Biała koszula miała szerokie rękawy ściągnięte w nadgarstkach i rozpięty kołnierz. Długie włosy opadały mu na ramiona. Miał twarz ogorzałą od słońca. W ręce trzymał pęk liści przewiązanych trawą.

— Dobry dzień, panno Tamar.

— Dobry dzień, paniczu Elkins. — Jej głos nie brzmiał zbyt uprzejmie. Nie uśmiechnęła się. Uśmiech zniknął także z jego twarzy. Rzucił ciekawe spojrzenia na dom, jakby spodziewał się, że jest w nim ktoś obcy.

— Paniczu Elkins — powtórzył. — Jesteśmy zatem nieprzyjaciółmi?

— Paniczu Elkins, dobrze wiecie, że między nami nie może być przyjaźni ani nieprzyjaźni. Czy zaprawdę chcecie zesłać zły los na kogoś, kto nigdy wam źle nie życzył?

— Czyż można wyrządzić komuś zło, odwiedzając go w przyjaznych zamiarach? Mam tu to, co... — poruszył pękiem liści.

— Zsyłasz zły los, nawet kiedy wyciągasz przyjazną dłoń. Zaręczony mężczyzna nie odwiedza innych domów.

— To kłamstwo! Nie jestem zaręczony.

— Powiedz to więc panu Dimsdale, który rzecze, iż jego córka Patience już szykuje wiano.

— To, co ojciec mój obiecał w moim imieniu, mnie samego nie wiąże! — krzyknął gwałtownie.

— Dobrze znacie prawo. Nieposłuszny syn bać się musi postronka na szyi. Nie dbam o to, jakie nieszczęście zamierzacie na własną głowę ściągnąć...

— Ostry wasz język, panno. Przyczyna tego jasna. Nikt nie chadza tu w zaloty, dlatego chcesz...

— Chcę, żeby nikt nigdy nie mówił o czarach rzucanych na mnie czy przeze mnie — przerwała mu ostro. — Jeśli zaprawdę przyjazne twe intencje, nie sprowadzałyś niebezpieczeństwa ze sobą.

— Czary! — Cofnął się o krok.

— Tak i raz jeszcze tak! Mądra niewiasta zawsze się musi o to bać. Mało tu takich, co zawsze gotowi są wstać i rzucić oskarżenie? Pomyślcie o tym, paniczu Elkins. Dobrze się nad tym zastanówcie!

Rzucił liście pod jej nogi.

— Babskie gadanie!

— Mówcie co chcecie, niech i tak będzie. Ale opuśćcie tę zagrodę w pokoju...

— Seth!

Słyszac swe imię, młodzieniec odwrócił się szybko. Zza domu wyszła nieznajoma kobieta. Stała patrząc to na Tamar, to na Seta z uśmiechem. Holly poczuła dreszcz na plecach — nie był to rodzaj uśmiechu, który wróżył coś dobrego. Nowo przybyła ubrana była podobnie jak Tamar, lecz jej spódnice zdawały się utkane z delikatniejszego materiału, fartuch był śnieżnobiały, czepek zaś ozdobiony wąską koronką tak jak i szeroki kołnierz na ramionach. Miała szczupłą twarz z cienkimi wargami i długi, ostry nos. Ściągnięte pod czepek włosy miały piaskowo rudy odcień. Jej rzęsy i brwi były tak jasne, że ledwo widzialne, a w malutkich oczach czaiła się złośliwość.

— Dobry dzień, Goody — zwróciła się do Tamar. — Widzę, że jesteś zajęta, chyba więc przyjdę innym razem.

— Trudno o lepszy moment na wizytę, panno Patience.

— Tamar wyglądała na spokojną i głos jej nie drżał. — To panicz Elkins musi zająć się swoimi sprawami.

— Swymi sprawami? — powtórzyła Patience. — Wydaje się, że ma ich sporo. Niektóre z nich wielce tajemnicze.

— Zaśmiała się sucho.

Seth Elkins wydał z siebie jakiś gniewny okrzyk, obrócił się na pięcie i ruszył wielkimi krokami przez ogród, zaciskając dłonie w pięści.

Patrzac za nim, Patience powiedziała: — Niebezpieczne gry prowadzisz, Goody.

— W żadne gry się nie mieszam. Nie zapraszam wszystkich, co goszczą w moich progach. Wszyscy o tym wiedzą.

— Doprawdy? Słyszeliśmy wiele opowieści o zadawaniu się z mocami ciemnymi, Goody, i o tym, co potrafi kobieta, gdy mężczyzna do gustu jej przypadnie...

— Owszem, wiele jest takich — zgodziła się Tamar. — Jednak głównie to próżne gadanie. Wszyscy wiedzą, że zajmuję się jeno leczeniem ludzi i stworzeń, ulgę im czyniac nie zaś szkodę. Nie raz dawałam tego dowód.

— Prawda. — Patience pokiwała głową, lecz na jej twarzy pojawiła się groźba. — A ja tu stoję i przeszkadzam ci w tych niewinnych zajęciach, Goody. Przygotowałaś li miętę? Ojciec ma do niej upodobanie. Mówi, że łagodzi niepokój żołądka po obfitym posiłku.

— Mam ją. — Tamar odwróciła się, żeby wejść do domu i zawahała nagle. Holly widziała, że jest niespokojna. Czyżby dlatego, że oni byli w środku?

Obejrzała się na stół, skąd wpatrywali się w nią Judy i Crock. Gestami nakazała im się schować. Judy wyglądała na zdumioną, lecz Crock złapał siostrę za rękę, zaciągnął na koniec pokoju, gdzie pod ścianą stało łóżko. Wepchnął pod nie Judy i sam się tam wcisnął. Holly chciała do nich dołączyć, a kiedy przemykała obok stołu, straciła jeden z talerzy, który z brzękiem spadł na podłogę.

Chciała zabrać kurtkę zostawioną przez Judy na ławie, ale nie było już na to czasu. W ostatniej chwili wsunęła się obok Crocka.

— Głupia! — szepnął jej do ucha.

— A któż to jeszcze odwiedził cię dzisiaj, Goody? — Wyraźnie usłyszeli głos Patience.

— Nikt.

— Nikt, powiadasz? Czy nikt może nosić taką kapotę? Zieloną. Nie wiemy czasem, jakie to stworzenia noszą się na zielono? Wiele powieści o nich mówi.

— Może gdzieś w zamorskich krajach, ale tu nie przychodzą — odpowiedziała Tamar.

— Więc któż to pozostawił zieloną kapotę? Z dziwnej materii uszytą. Przysiąc mogę, że nie pochodzi z uczciwego tkania. Sama spójrz, Goody, też tak będziesz przysięgać. Nie uszyto jej dla śmiertelnika, zbyt mała na nas. Zabiorę ją, żeby inni obaczyli...

— Nic z tego! — Zanim Crock lub Holly zdążyli ją powstrzymać, Judy wytoczyła się spod łóżka. Zerwała się na nogi, podbiegła do Patience i zaczęła wrywać kurtkę z jej rąk. — Oddaj mi to! To moje! Mama mi to kupiła...

— Judy! — krzyknęła rozpaczliwie Holly.

Patience wycofała się pod ścianę, wpatrując się w Judy, jakby ta była jakimś dzikim zwierzęciem. Krzyknęła na widok Holly i puściła kurtkę, którą Judy natychmiast pochwyciła, rzucając jej groźne spojrzenia.

— Ty złodziejko! — oskarżyła ją.

— Diabełki, szatańskie służki! — Patience przesuwiała się bokiem w kierunku drzwi. — Nie czyńcie mi nic złego! Chrzczoną jestem chrześcijańską. Nie możecie mi...

Nie spuszczać ich z oka, dotarła do wyjścia i uciekła.

— Nie! — Judy wyglądała na przerażoną i sprawiała wrażenie, że zaraz się rozpłaczę. — Nie jestem żadną służką szatana!

Holly objęła ją ramieniem. — Oczywiście, że nie. To jędza. Chyba będzie lepiej, jak stąd pójdziemy.

Crock podszedł do nich. — A to kłopot, prawdziwy kłopot — powiedział. — I co teraz pani zrobi? — spytał Tamar.

— Czy napytaliśmy pani biedy? — spytała Holly. — Jeżeli zaraz znikniemy, może pani powiedzieć, że Patience wymyśliła historię o nas, prawda?

— Kiedy już stało się najgorsze! — Na twarzy Tamar nie było cienia zakłopotania, czy lęku. — Zrobię, co należy i zrobię dobrze — powiedziała. W jej głosie brzmiała pewność siebie. Holly jednak nie dała się przekonać i miała wyrzuty sumienia.

— Lepiej chodźmy już — nalegał Crock. — Jeżeli ta Patience kogoś tu sprowadzi... my nie należymy do tego świata. Od razu to poznają.

— Tak, najlepiej odejdźcie już — zgodziła się Tamar. — Ale nie bez tego, po co tu przybyliście.

Podeszła do półki na ścianie.

— Po nic tu nie przyszliśmy — zaprotestowała Holly. Judy miała sen i nas zmusiła, po prostu szliśmy za nią...

— Trzeba słuchać snów, moja panno. Nadchodzą, bo tak było pisane. Weźcie to ze sobą, wysiejcie i dogładajcie, wysiejcie i dogładajcie tak, jak wasza babcia doradzi. — Napełniała mały mieszek z grubej tkaniny paczuszkami i wiązkami suchych korzeni. — Spirala czasu was tu sprowadziła, spirala czasu rozwiąże kłopoty. Długo i cierpliwie trza czekać. — Przez chwilę wyglądała na zmęczoną i nieszczęśliwą. Potem cień opuścił jej twarz i znów poruszała się szybko i wesoło. — Nawet czas ma swój kres. Tomkit, zbudź się, dla ciebie też wszystko się powtórzy.

Tomkit zeskoczył lekko z krzesła, przeciągnął się i podreptał do drzwi. Tamar stała obok nich promiennie uśmiechnięta.

— Czy jeszcze panią zobaczymy? — Judy opierała się popędzającej ją Holly.

— Co ma być to będzie. Każda rzecz ma swoją porę. Miłe spotkanie, miłe rozstanie i bądźcie błogosławieni.

Uniosła rękę i wykonała jakiś gest w powietrzu. Holly widziała, że nie było to machnięcie na pożegnanie, lecz musiało mieć inne znaczenie. Wyszli za Tomkitem. Na skraju labiryntu, bez słowa, zatrzymali się raz jeszcze i obejrzeliby za siebie. Wszystko wyglądało tak spokojnie w blasku słońca. Nie było śladu Tamar. Holly miała jednak złe przeczucia. Narobili niezłego bigosu pozwalając, by Patience ich zobaczyła. Co teraz będzie z Tamar?

Crock pociągnął ją za rękę. — Lepiej zmykajmy, zanim ktoś jeszcze nas zobaczy.

Kiedy zielone ściany labiryntu zamknęły się wokół nich, Holly próbowała zebrać myśli.

— Nie jesteśmy na tym samym świecie — powiedziała.

— Nie w tym samym czasie — poprawił ją Crock. — Kiedyś jeden facet przyszedł do szkoły na zebranie kółka fizyków i opowiadał nam o czasie. Mówił, że niektórzy ludzie wierzą, że można wyjść ze swojego czasu.

— Czy... czy będziemy mogli wrócić? — spytała Judy drżącym ze strachu głosem.

— Czy możemy wrócić do stodoły, do mamy, babci i dziadka?

Zaczęła biec. Musieli ją gonić, wyprzedziwszy szary cień Tomkita zwinnie sunący po ścieżce. W prawo, w lewo, naprzód, do tyłu, droga wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana niż za pierwszym razem.

Holly rozdarła bok kurtki. Słyszała jak Judy biegnąca przodem krzyczy “mamo, mamo” z takim przerażeniem, że chętnie by ją naśladowała, gdyby nie była przekonana, że to nic nie da.

Zielone ściany traciły stopniowo swą soczystą barwę. Zadyszeli się, bieg przeszedł w szybki marsz. Robiło się coraz chłodniej. Holly założyła kurtkę i zmusiła Judy, żeby zrobiła to samo. Liście zniknęły z gałązek i wybiegli na otwartą przestrzeń. W oddali ujrzeli dach stodoły.

Dopiero na ten widok Holly poczuła, że strach ją opuścił. Udało im się powrócić! Nie było już żywo-płotowych kotów, ani nawet śladów po wejściu. Jedynie gęsta ściana krzewów, przez którą nawet ktoś tak mały i zwinny jak Tomkit nie mógłby się precyzyjnie przycisnąć.

— To się nigdy nie zdarzyło — powiedziała.

— I niech tak zostanie — poparł ją Crock. — Słyszałaś Judy? Niech nikt nie puści pary z gęby na ten temat. I tak nikt nam nie uwierzy.

— Ale mamy to. — Holly wskazała woreczek w ręce Judy. — Te nasiona i korzenie do zasadzenia.

— Wyrzuć je! — rozkazał.

— Nie! — Judy ożywiła się. — Tamar kazała je wysadzić, więc tak zrobimy. Tyle chyba możemy. — Mocniej ścisnąwszy woreczek ruszyła w stronę domu.

Holly spojrzała na brata i wzruszyła ramionami. Oboje dobrze wiedzieli, że spieranie się z nią w tej chwili jest bez sensu. Lepiej zastanowić się jak wytłumaczyć,

skąd się wzięły te nasiona, nie wyjawiając całej prawdy.

VI Pierwszy siew

Holly spojrzała na Crocka. — Co powiemy babci, jeśli Judy jej to pokaże?

Kopnął bryłkę zmarzniętego błota. — Nie mam pojęcia.

— A Tamar? Co się z nią stanie? Ten Seth Elkins też wyglądał na wściekłego na nią. — Holly pokrótce opowiedziała bratu, co udało się jej dostrzec przez okno. — Teraz mogą ją uznać za wiedźmę. Patience przecież nas widziała.

Crock spojrzał na nią. — To się działo w innym czasie. Cokolwiek się wydarzyło, to teraz historia. — Nie wyglądał jednak na zbytnio pocieszonego tym faktem. Tamar była prawdziwa. Nie mogła być postacią ze snu czy z dawnych czasów.

— Pamiętasz, co powiedziała pani Pigot? — Holly próbowała poskładać wszystko w jakąś całość. — Mówiła, że dawno temu czarownica rzuciła klątwę na Dimsdale. Ale przecież Tamar...

Coś tu nie grało. Holly była absolutnie przekonana, że Tamar nie mogłaby mieć złych zamiarów.

— Ona nie mogłaby być wiedźmą rzucającą klątwy na ludzi! Chociaż ta Patience była z rodziny Dimsdale'ów.

— Skąd to wiesz?

Jeszcze raz opowiedziała mu o rozmowie w ogrodzie.

— Więc ten Seth Elkins był zaręczony z Patience Dimsdale, ale przyszedł odwiedzić Tamar i przyniósł jej prezent — powtórzył powoli.

Holly potrząsnęła głową. — Nie sędzę, żeby tak było. On też był wściekły na Tamar. Zupełnie jakby ona chciała go przed czymś powstrzymać, jakby to nie ją przyszedł zobaczyć.

— Ale tylko ona tam była — wskazał Crock. — Mieszkała tam sama.

— Tak, tyle, że on nie sprawiał wrażenia, że lubi Tamar. Och, wszystko mi się już miesza. Crock, czy my kiedykolwiek dowiemy się, co się stało? Nie chcę, żeby Tamar spotkała jakaś krzywda.

— Jeżeli to wszystko zdarzyło się naprawdę — powiedział — i to dawno temu, może przeczytamy o tym w jakiejś książce, pamiętniku czy czymś takim. W poniedziałek idziesz z klasą do biblioteki, prawda? Babcia zawsze powtarza, że panna Noyes interesuje się historią tych okolic.

Crock potrafił myśleć logicznie, choć Holly często nie mogła się z tym pogodzić. Teraz chciała się dowiedzieć, czy ma pomysł na skuteczne uciszenie Judy.

— Tylko nic jej nie nakazuj — powiedział. — Zawsze kiedy jej mówisz, co ma robić, tym większą ma ochotę na zrobienie czegoś dokładnie przeciwnego. Sam to załatwię. Puścił się biegiem, żeby dogonić Judy. Holly obejrzała się za siebie. Nic tylko ściana splątanych gałęzi. Ani śladu wejścia, kotów i ścieżki wiodącej do domku Tamar. Czy wewnątrz naprawdę panowało lato? Westchnęła. Czy to możliwe zostać złapanym przez czas i zamkniętym w jakimś okresie jak w pokoju, w którym niewidzialna ręka przekręciła klucz? Czy Tamar nie mogłaby wyjść ze swojego czasu, tak jak oni weszli w jej? I co poduszka ma z tym wspólnego? Dźwięk gongu przestraszył ją aż podskoczyła. Gong babuni! Oznaczało to, że już pora kolacji, czas siadać do stołu. Odwróciwszy się od tajemniczej gęstwiny, Holly biegiem ruszyła do domu.

Tuż za drzwiami natknęła się na Crocka zdejmującego kurtkę. Razem poszli do umywalki. Judy gdzieś się zapodziała, a babcia krzątała się przy piecu odwrócona tyłem do nich.

— Judy? — Holly wypowiedziała to niemal samymi wargami.

Crock zdecydowanie pokiwał głową, co musiało oznaczać, że udało mu “się przekonać siostrę bliźniaczkę, żeby nic nie mówiła o dzisiejszych wydarzeniach. Przynajmniej na razie. Nie zdołał jednak powstrzymać jej od zadania niespodziewanego pytania przy stole.

— Babciu, jak zimą utrzymujesz przy życiu swoje roślinki?

Holly żałowała, że nie jest wystarczająco blisko siostry, żeby ją kopnąć pod stołem. Rozdzielał je Crock. Rzuciła więc tylko spojrzenie pełne złości, ale Judy albo go nie dostrzegła, albo nie chciała dostrzec.

— No cóż, większość z nich sama potrafi zadbać o siebie w tym czasie. Niektóre, te delikatniejsze, nie znoszą mrozów. Przenoszę je do dużej szopy, gdzie Luther ma swój warsztat. Tam jest piecyk, który odpędza mróz. Zrobiłam tam sobie własny zimowy ogródek. Jak zjecie, możecie go obejrzeć.

Judy podziękowała z ustami wypełnionymi jednym z babcinych gulaszy, a Holly odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej argumenty Crocka dotarły do Judy. Będzie można gdzieś schować woreczek, żeby babcia go nie znalazła, a wiosną wysieją rośliny Tamar. Odprężyła się i pierwszy raz poczuła smak jedzenia w ustach.

— Dziadku — zanim Holly zwietrzyła niebezpieczeństwo, Judy znów się odezwała. — Ci Dimsdale’owie, dawni właściciele, mieszkali tu od dawien dawna, prawda?

— Słyszałem, że byli tu zanim jeszcze założono miasto. — Dziadek obficie smarował dżemem kromkę chleba. — Lepiej zapytaj babci. To ona wysłuchiwała opowieści starej panny Elvery. Panna Elvery żyła przeszłością. Pamiętam, jak raz przyszła do nas ubrana do wyjścia, kazała mi zaprzęgać konia do powozu i zawieźć się na jakieś przyjęcie w miasteczku. Jej powóz był wówczas od dawna połamany, a i konie pozdychały. Ludzie, o których mówiła, leżeli na cmentarzu. Jej jednak wydawało się, że dopiero co ją zaprosili i czekają na nią. Babcia potrzebowała ponad godziny, żeby ją namówić na powrót do domu. Nigdy jednak nie udało się jej wytłumaczyć, w jakich czasach żyje. W całym domu nie było ani jednego zegara. Mawiała, że to przez nie czas przemija, a bez nich zachowa wieczną młodość.

Odgryzł spory kęs i pokiwał głową. — Coś w tym musi być. Czas to dziwna sprawa. Jeśli robisz coś przyjemnego, pędzi jak jeden z tych samolotów, które mogą oblecieć cały świat w jeden dzień. Ale jeżeli musisz zrobić coś, na co nie masz najmniejszej ochoty, wtedy ciągnie się w nieskończoność.

Holly przestała jeść i uważnie słuchała słów dziadka. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad czasem. Oczywiście, stale o nim mówiono “już na to za późno”, “będziemy za wcześniej” czy “pospiesz się, nie mamy za wiele czasu”. Ludzie nieustannie powtarzali takie rzeczy, ale to, co mówił dziadek, było prawdą. Jeśli robiło się coś z przyjemnością czas uciekał, a przy nudnych zajęciach włókł się bez końca.

— Ale pytałaś przecież, czy Dimsdale’owie są tu od dawna? Mercy, pamiętasz jak twoja babcia opowiadała długie historie o nich i pechu, który ich prześladował?

— Dlaczego mieli pecha? — spytała Holly.

— To dopiero jest pytanie. — Babcia odsunęła krzesło, jakby zamierzała odbyć kolejną szybką przechadzkę do pieca po dokładki, ale tym razem nie wstała. — Panna Elvery — nie było od niej miłszej kobiety na ziemi! Zrobiłaby wszystko dla każdego biedaka w potrzebie. Jednak, kiedy próbowała zrobić coś dla siebie, zawsze się to obracało przeciw niej. Ostatnią rzeczą, na którą dała się nabrać, było kupienie akcji kolei żelaznych od oszusta. Całkiem zbankrutowała. Załamała się zupełnie. Mówiła, że to przez tę klątwę rzuconą na Dimsdale’ów i wszystkich, w których żyłach płynie choć kapka ich krwi. Wtedy zaczęła się rozsypywać, biedna staruszka. Zbyt wiele rozmyślała o niedolach, jakie ją w życiu spotkały.

— Na czym polegała ta klątwa? — Holly nie wierzyła, że to pytanie ją zagniewa.

— To głupie gadanie, dziecino. Ludzie, kiedy nie wiedzą wszystkiego, lubią wymyślać różne rzeczy. Biedna panna Elvery była tak przytłoczona swymi kłopotami, że nic dziwnego, że uwierzyła, że sam Pan Bóg odwrócił się od niej. Ale oczywiście to bzdura. Najlepiej jeśli wszystko usłyszycie ode mnie — ludzie ciągle jeszcze o tym gadają i mogą pomieszać wam w głowach.

Kiedyś panna Elvery pokazała mi starą książkę tak zniszczoną, że ledwie dawała się odcyfrować. Napisano ją ręcznie, jakimiś dziwnymi literami tak wyblakłymi, że trzeba było używać lupy, żeby je odcyfrować. Był to pamiętnik człowieka, który kiedyś tu mieszkał. Zapisywał najróżniejsze rzeczy: ile zapłacił za to, co kupił, czym obsiał pola, jakie były żniwa, a prócz tego różne kawałki o swojej rodzinie i sobie samym. Takie tam informacje, kto się urodził, kto umarł.

To był twardy facet, nazywał się Sexton Dimsdale, ciężką ręką rządził wszystkimi, którzy mu podlegali. W owych czasach pan domu miał wielką władzę nad domownikami. Mógł robić, co chciał i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić, szczególnie zaś kobiety. Wtedy kobiety nie miały wiele do powiedzenia. Miały dbać o dom, karmić i odziewać rodzinę i nic więcej. Tacy mężczyźni jak ten Sexton Dimsdale nigdy nie przejmowali się ich losem.

Sexton był zachłanny na ziemię, chciał jej mieć coraz więcej. Wybudował większy dom, ta stodoła, zwłaszcza ta część z kominkiem, była jego pierwszym domem, ale szybko przestała mu wystarczać. Był mu potrzebny wielki dom, taki, żeby zadziwić całe miasteczko. Sprowadził architekta z samej Anglii, żeby zaprojektował ten dom i ogród. Nie, żeby lubił rośliny — wszystko było na pokaz. Ten człowiek przywiózł ze sobą krewną. Miał umowę z panem Dimsdale, że dostanie kawałek ziemi jako część zapłaty za swą pracę.

To była legalna umowa na piśmie. Umarł jednak, zanim zdołał dokończyć ogród. Wówczas pan Dimsdale próbował różnych kruczków prawnych, żeby ziemię odzyskać. Jednak sędzia się temu przeciwstawił. Pochodził z Pigotów i nigdy nie przepadali za sobą. Pan Dimsdale musiał zostawić w spokoju tę ziemię wraz z małym domkiem wybudowanym przez architekta. Mieszkała w nim ta krewna, a właściwie córka, która była świetną ogrodniczką. Potrafiła też leczyć, bo doskonale знаła się na ziołach. Ludzie z Sussex najpierw zwracali się do niej po pomoc, a ewentualnie później wzywali doktora. Była skromna, nikomu się nie narzucała i ludzie ją lubili.

Tylko pan Dimsdale rozmyślał o tym, że ona żyje na ziemi, która jego zdaniem, prawnie jemu się należała i czuł, jak narasta w nim złość. Sam miał córkę, która nie należała do zbyt urodziwych, a że wszyscy jego synowie poumierali na gorączkę, więc nikt oprócz niej mu nie pozostał. Szukał dla niej męża godnego Dimsdale'ów. Miał takiego bzika na punkcie swej rodziny, że pysznił się jak lord ze Starego Kraju.

Elskinowie byli drugą rodziną Sussex. Mieli prawie tyle samo ziemi co Dimsdale'owie i też byli kupcami. Dobrze zarabiali, handlując z Indianami. Mieli syna i to jego właśnie stary Dimsdale upatrzył sobie na zięcia. W dawnych czasach ludzie inaczej podchodzili do małżeństwa. Nawet jeżeli syn czy córka byli dorośli i mieli już własne rodziny, słowo ojca było dla nich święte. Kiedyś pani Noyes pokazała mi stary kodeks prawa, napisano tam czarno na białym, że gdy chłopak nie posłucha woli ojca, to grozi mu stryzynek! Pomyślcie sobie — stryzynek!

Cóż, ten syn Elskinów nie miał wielkiej ochoty żenić się z córką starego Sextona, ale niewiele miał do powiedzenia, bo jego ojciec postanowił o tym za niego. Jednak w tajemnicy chłopak odwiedzał zielarkę, a Dimsdale o tym się dowiedział. Wtedy nie było trudno oskarżyć o czary kobietę, która znała się na ziołach, leczyła ludzi i żyła sama. Nikt się za taką nie wstawiał.

Babcia przerwała. Holly oparła się na łokciach.

— Co się stało potem?

— Właśnie od tego momentu w książce panny Elvery wszystko zaczyna się mieszać. W noc przed Wszystkimi Świętymi, kiedy lęk przed wiedźmami jest najsilniejszy, Dimsdale zebrał wszystkich swych ludzi, żeby dopaść czarownicę przy odprawianiu guseł. Potem chciał ją spalić z całym domem.

— Nie! — krzyknęła przeraźliwie Judy, aż wszyscy się wzdrygnęli.

Babcia zaniepokoiła się nie na żarty. — Znów mnie poniosło. Bajdurzę o dawnych sprawach, o których już dawno powinnam zapomnieć. To nie jest odpowiednia historia dla dzieci.

— Powiedz babciu, że nie spalili tej czarownicy — domagała się Judy. — Powiedz, że tego nie zrobili!

— Nie, nie spalili jej. To bardzo dziwna sprawa. Owszem, poszli do niej z tym zamiarem. Wtedy stało się coś bardzo tajemniczego. Jakieś żywe diabelskie stworzenia wyskoczyły z domku i wszyscy uciekli. Kiedy następnego dnia zebraли odwagę, żeby tam wrócić, niczego nie znaleźli — i dom, i czarownica zniknęli. Wiedźma rzuciła klątwę na starego Sextona Dimsdale, zanim diabły ją ocaliły. Klątwa miała działać aż jego ród wygaśnie. Powiedziała, że stopniowo zniszczy wszystko, co było dla nich cenne i nikt z rodziny nie zazna spokoju.

— Czy tak właśnie się stało? — spytał Crock.

— Chyba tak. Zły los nie uderzył w Dimsdale'ów tylko raz i mocno, pech prześladował ich przez cały czas, powoli niszcząc rodzinę. Ziemia obracała się w ugor, przestała dawać plony. Klątwa działała. Panna Elvery chciała oddać tę starą książkę wielebnemu Burnsowi. Mawiała, że to z woli boskiej nienawiści, jaką zasiał stary Sexton, zaowocowała.

Nigdy jednak tego nie zrobiła i książka spłonęła w pożarze. Panna Elvery całe życie starała się okupić winy swoją dobrocią. Kiedy umierała, powiedziała mi coś, czego w życiu nie zapomnę — jeżeli się coś zniszczy, można to odbudować, ale trzeba na to wiele czasu. Lecz gdy się to uda, wszystko zostanie naprawione. Biedna pani, sama bardzo się starała.

— Ale nie złapali czarownicy? — Judy chciała mieć absolutną pewność.

— Według tej starej książki, nie. Tylko, że jak to możliwe, żeby i dom, i kobieta zniknęli w ten sposób. Wydaje się, że stary Sexton nie napisał całej prawdy, sama nie wiem. Ale my tu gadu, gadu, a czas ucieka. Wasza mama przyjedzie autobusem o drugiej. Luther, zbieraj się i jedźcie po nią.

— Mam załadowaną ciężarówkę — zaprotestował dziadek. Nie miał szczęśliwej miny. — Nie będzie miejsca.

Holly od razu domyśliła się, o co mu chodzi: nie ma dla nich miejsca. Przez moment miała ochotę urządzić scenę, ale zobaczyła jak babcia na nią patrzy i uznała, że nie czas na dziecięce humory.

— To może chociaż Judy się zmieści, a Crock pojedzie z tyłu.

— Nie. — Ku jej całkowitemu zaskoczeniu Judy zareagowała najrozsądniej. — Mama będzie zmęczona. Jeśli pojedę, będę musiała siedzieć jej na kolanach. Nie chcę, żeby się męczyła. Zostaniemy.

Babcia uśmiechnęła się promiennie. — To świetnie. Możecie mi tu pomóc. Dziś rano całkiem niezłe wiodło mi się z tym rozbitym posążkiem. Dzięki temu, że pozmywałyście, nie miałam niczym zaprzątniętej głowy i mogłam się skupić na sklejanju. Chciałabym jeszcze nad nią popracować.

Tak więc Holly zabrała się za zmywanie i robiła to tak starannie jak w domu, mając cichą nadzieję, że babcia dostrzeże jej wysiłki. Babcia natomiast rozłożyła szczałki statuetki na stole i tak energicznie poprawiła okulary na nosie, że Holly miała wrażenie, iż minie sporo czasu, zanim odważą się ponownie zsunąć.

Miała ochotę przyglądać się pracy babci, ale bała się przeszkadzać. Ludzie często nie lubią, gdy ktoś ich obserwuje, kiedy są skupieni na pracy. W dodatku Judy, powiesiwszy ścierkę, wskazała ruchem głowy na drzwi.

— Wychodzimy, babciu — powiedziała Holly.

— Dobrze. Tylko się nie zgubcie.

Tomkit podniósł się ze strzępu starego dywaniku rozłożonego przed paleniskiem i poszedł za nimi. Wychodząc Holly zauważyła, że Judy trzyma woreczek, który dostała od Tamar.

— Babcia wspomniała o szopie z warsztatem — powiedziała. — To tamta.

Szopa właściwie była przybudówką stodoły, ale jedyne wejście miała z zewnątrz. Pachniała klejem, farbą i olejem, a jeden jej bok w całości zajmował solidny stół roboczy z rzędami narzędzi starannie zawieszonych na ścianie. Szopę dzieliło częściowe przepierzenie zbite z trzech drzwi, za którym mieścił się babciny ogród zimowy. Na podłodze, półkach i stole też zrobionym z drzwi położonych na stojakach, tłoczyły się doniczki z roślinami. Na ścianach wisały małe, ciasno powiązane woreczki.

Judy opadła na kolana, żeby zajrzeć do ciemnej jamy pod stołem.

— Same puste doniczki — oznajmiła i zaczęła je wyciągać.

Holly przypomniała sobie, jak mama przesadzała fiołki alpejskie.

— Nie mamy podłoża kwiatowego — powiedziała.

Judy przysiadła na piętach. — Powinny rosnać w ziemi, zwykłej ziemi z Dimsdale. Musimy jej nakopać. Weź łopatkę i kosz, który stoi za tobą.

W spokojnej pewności siebie Judy było coś, co kazało Holly wykonać polecenie. Na pewno trzeba czegoś więcej, żeby zasiać rośliny niż tylko wziąć zwykłej ziemi i wcisnąć w nią nasiona i wyschłe korzenie, jednak ani ona sama, ani Judy nie wiedziały, co by to mogło być.

Zanim zaczęła kopać, rozejrzała się dookoła. Pod dłuższą ścianą zobaczyła coś, co wyglądało na grządkę. Gdyby równomiernie zgarnęła ziemię nikt by nie spostrzegł, że ją stąd brała. Napełniła koszyk trzy razy i zawlokła do Judy, która napełniała doniczki twardymi grudami.

Przy pracy zastanawiała się nad opowieścią babci, nad tym jak Dimsdale'owie chcieli zniszczyć Tamar i jej domek. Nie miała żadnych wątpliwości, że Tamar była tą kobietą, którą Sexton Dimsdale oskarżył o czary. Nie mogła tylko uwierzyć, że Tamar była naprawdę czarownicą, że jej klątwa tak ciężko doświadczała jego ród. Zdaniem Holly, czarownice należały do świata bajek.

Oczywiście ich dzisiejsza przygoda także nie była z tego świata. Czyżby Tamar i jej dom przemieścili się w czasie za sprawą mocy tej kobiety z przeszłości? W takim razie co tam robił Seth Elkins i Patience Dimsdale? Przecież to jej wrogowie i Tamar na pewno nie zabrałaby ich ze sobą. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że to, co im się dziś przytrafiło, zdarzyło się zanim Sexton Dimsdale zebrał ludzi, żeby złapać wiedźmę. Gdyby udało im się tam wrócić, ostrzec Tamar... Tak! To jest myśl. Holly stanęła jak wryta. Gdyby zdołali ostrzec Tamar przed niebezpieczeństwem. Muszą ją ostrzec! Jutro znów spróbują dostać się do labiryntu. Nie, to się nie uda. Przecież będzie tu mama. Będą musieli odłożyć wyprawę do przyszłego tygodnia. Poduszka. Judy na niej spała, a potem знаła przejście przez labirynt. Może to konieczne, żeby znów odnaleźć Tamar. Jeśli tak, to tym razem ona sama ją weźmie.

Nie miała wątpliwości. W końcu to ona była najstarsza, to ona wiedziała, co muszą zrobić, żeby pomóc Tamar. Właściwie był to jej święty obowiązek, dopilnować, by wrócili do domku Tamar i ją ostrzegli.

Nie zdradziła się jednak przed Judy, pomagając jej wsadzać nasiona i kłacza i nosząc wodę do podlania ziemi w doniczkach.

— Gdzie je postawimy? — spytała na koniec, patrząc na rząd glinianych naczyń.
— Jeżeli tak tu zostaną, babcia je na pewno zobaczy i zacznie zadawać pytania.

— Wiem. Już się nad tym zastanawiałam. Poustawiamy je na półkach między doniczkami babci. O tak. — Judy podniosła najbliższą donicę i postawiła ją za dwiema, z których wyrastały zielone krzewinki.

— Świetnie! — zgodziła się Holly i zaczęła naśladować siostrę.

Kiedy skończyły, nowe doniczki były tak dokładnie wymieszane ze starymi, że nikt nie mógł niczego zauważyć. Przynajmniej tak się Holly wydawało.

Pozmiały rozsypaną ziemię, wytarły łopatkę i odstawiły kosz na miejsce. Unoszący się w powietrzu zapach świeżej zieleni przypominał Holly labirynt ze słonecznym ogrodem w środku.

Próbowała dokładnie odtworzyć w myślach jego wygląd, kiedy Judy spytała: — Jak myślisz, Holly, gdzie zniknęła Tamar z domkiem, kiedy ci ludzie przyszli ją skrzywdzić? Czy ona naprawdę była czarownicą, która mogła gdzieś odlecieć i zabrać ze sobą dom?

— To tylko bajka, Judy. Już jesteś na to za duża. Nie mam pojęcia, gdzie się schowała.

— Może schowała się w czasie?

Holly zatrzymała się zdumiona. — O co ci chodzi?

— Przecież dziadek mówił, że czas jest różny. Kiedy bolał mnie ząb w zeszłym roku i przez całe dwa dni nie mogliśmy dostać się do doktora Williamsa, wtedy wydawało mi się, że to trwa całe wieki. A ostatni dzień z tatusiem, kiedy zabrał nas do zoo i na obiad, upłynął tak szybko, że ani się spostrzegłam i już był wieczór. Potem wydawało się, że tego dnia w ogóle nie było. Zawsze sądziłam, że czas to zegary, obserwowanie wskazówek, które mówią, co trzeba zrobić zanim będzie za późno. Teraz jednak zastanawiam się, czym naprawdę jest czas. Być może, jeśli się potrafi, można sobie wybrać jakiś szczęśliwy dzień i pozostać w nim na zawsze.

Judy wpatrywała się w siostrę, pragnąc znaleźć w jej oczach potwierdzenie, że jej fantastyczny pomysł może być prawdą.

Jednak Holly milczała, więc Judy ciągnęła dalej: — Ludzie latają w kosmos i lądują na Księżycu, a my siedzimy sobie w domu i patrzymy, jak to robią. Założę się, że w dawnych czasach uznano by to za prawdziwe czary albo za bajkę, która nie może się spełnić. Może jednak dawniej tacy ludzie jak Tamar w jakiś sposób zdobyli wiedzę o różnych sprawach, na przykład umieli chować się w czasie. Holly, chcę mieć pewność, że Tamar jest bezpieczna. Muszę być pewna!

— Ja też. Może nam się to uda. — Holly już miała powiedzieć jej o swym pomysle, kiedy usłyszały klakson ciężarówki.

— Mamusia! — Judy trzasnęła drzwiami szopy i puściła się pędem na podjazd po drugiej stronie stodoły. Holly na moment zapomniała o labiryncie i jego mieszkańcach i pobiegła za nią.

Mama wyskoczyła z szoferki. Szeroko rozwarła ramiona i obie, Judy i Holly, równocześnie się w nie rzuciły. Mama wróciła. Teraz jedynie to się liczyło, a reszta poszła w zapomnienie. Muszą zrobić wszystko, żeby wspólnie spędzony czas trwał jak najdłużej.

VII

Wiedzmy i klątwy

Jak twierdził dziadek, dobry czas pędził tak szybko, że przeminął, zanim zdolali się nim naprawdę nacieszyć. Kiedy odprowadzali mamę na autobus późnym popołudniem w niedzielę, wydawało się, że mama ledwie zdążyła się z nimi przywitać, a już przyszło im się rozstawać. Pomachała do nich przez szybę i dała się unieść odjeżdżającemu autobusowi.

Przed nimi był nie tydzień, ale cztery zanim znów przyjedzie, ponieważ obiecała wziąć dodatkowe dyżury, żeby dostać trzy wolne dni na Święto Dziękczynienia. Święto Dziękczynienia z tej perspektywy wydawało się tak odległe, jakby miało przypaść za rok.

Gdy dziewczynki wróciły do swojego pokoju, Holly pamiętała o jednej rzeczy — o poduszce. Nie mogła jednak spać na niej tej nocy. Jutro przecież trzeba będzie iść do szkoły. Musiała jednak zrobić wszystko, żeby ją dostać, kiedy będzie mogła ją wykorzystać.

— Co zrobiłaś z poduszczką, Judy?

Judy głaskała Tomkita pod brodą, tak jak lubił najbardziej. Mruczał głośno i niemal zupełnie mrużył oczy. Nawet nie podniosła głowy odpowiadając. — Jest w pudełku. W moim pudełku ze szmatkami, w szafie.

Holly chciała mieć całkowitą pewność. Od czasu, kiedy mama wyjechała, dużo myślała o Tamar, o tym jak będą musieli się do niej dostać i ostrzec ją. Westchnęła. Nie ma żadnej możliwości spróbowania przed piątkiem, który — podobnie jak Święto Dziękczynienia — wydawał się szalenie odległy.

W tym tygodniu poniedziałek był szczególnym dniem. Klasa Holly zaplanowała wycieczkę do miejskiej biblioteki. Pani Finch ogłosiła ponadto “specjalne zadania” ściśle związane z faktem, że następnego wiosny Sussex będzie obchodzić swe urodziny — trzysta lat istnienia. Mimo starannie podtrzymywanego postanowienia, aby niczym się nie wyróżniać, Holly zainteresowały “zadania specjalne”. Biorąc w nich udział, każdy z uczniów miał wybrać temat związany z historią miasta i napisać pracę, wykorzystując zebrane wiadomości. Można też było wykonać własnoręcznie coś charakterystycznego dla Sussex.

Dzisiejsza wizyta w bibliotece inaugurowała rozpoczęcie wypełniania zadań, ponieważ budynek, w którym się mieściła, był jedną z najstarszych budowli w mieście. Było tam też muzeum pełne eksponatów z dawnych czasów.

— Zobaczycie sami, jakie materiały można w naszej bibliotece znaleźć — powiedziała pani Finch. — Później, po powrocie, wybierzecie temat i każdy z was da mi go na podpisanej karteczce.

Holly przyglądała się uważnie bibliotece, zbliżając się do niej wysłaną liśćmi alejką. Była o wiele większa od domku Tamar, ale komin miała także na środku, a okna umieszczone wysoko nad podłogą. Tyle że ściany były ceglane, a dach pokrywały łupkowe dachówki zamiast omszałych gontów.

Pani Finch ustawiła dzieci w szeregu przed wejściem i zwróciła ich uwagę na cegły wykonane w cegielni, która kiedyś działała nad rzeką. Potem opowiedziała im o oknach. — Dawniej miały szybki w kształcie rombów łączone łożem — powiedziała.

Nieświadomie Holly potwierdziła jej słowa skinieniem głowy, przypominając sobie okna w domku Tamar.

— Ale podczas wojny secesyjnej — ciągnęła dalej pani Finch — ołów

wykorzystano do wytapiania kul, więc przez jakiś czas ludzie musieli zadowolić się osłonami z naoliwionej skóry jelenia. Po wojnie sprowadzono już nowsze, większe szyby, jakie tu widzicie. Pamiętajcie, że to biblioteka — dodała wpuszczając ich do środka — i zachowujcie się odpowiednio.

Pani Finch zawsze mówiła w ten sposób, z groźną nutą w głosie zmuszającą do posłuszeństwa. Zawsze osiągała swój cel. Nie była osobą tolerującą nieodpowiednie zachowanie i wszyscy doskonale o tym wiedzieli.

Holly, przyzwyczajonej do miejskich bibliotek, ta wydała się ciasna i zatłoczona. Były w niej tylko dwa pomieszczenia ogrzewane jednym, centralnym kominkiem. Książki ciasno upakowano na półkach i niewiele miejsca pozostało na ławy i krzesła, na których posadzono klasę w mniejszej salce.

Na górnych półkach i w niewielkiej wnęce poustawiano różne eksponaty. Jedną półkę przeznaczono w całości dla ptasich gniazd, z których każde miało kartkę z objaśnieniem do jakiego gatunku ptaka należało. Był tam też obraz wykonany z nasion, jakieś muszle i rząd ramek chroniących coś, co wyglądało jak pożółkłe kartki papieru. Obok znajdowały się żywe rośliny i wielki szklany słoć przypominający akwarium, mieszczący drobne żywe organizmy.

Panna Noyes, bibliotekarka, rozpoczęła prelekcję i Holly skupiła na niej całą uwagę. Mówiła o zadaniach, jakie mają wykonać, i o urodzinach miasta. Przemawiając, panna Noyes pokazała model zrobiony przez dziewczynkę młodszą niż Judy, pistolet należący do żołnierza, który szedł do Valley Forge, a potem sznur paciorków, które były indiańskimi pieniędzmi, jakby prosto z opowieści o pielgrzymach. Jej słowa całkowicie wciągnęły dziewczynkę, która poczuła się częścią dawnych czasów. Historia to długi marsz ludzi przychodzących z daleka, ale w rzeczywistości niezbyt różniących się od niej samej, dziadka, babci, mamy i tatusia. Nagle Holly uświadomiła sobie, że historia to nie jedynie kartka w książce, że to ludzie!

Teraz panna Noyes mówiła o książkach. Nie o podręcznikach historii, które czytali w szkole, a o książkach, które czytali ludzie w dawnych czasach, a także je pisali.

Było to kolejne zaskoczenie dla Holly. Ta stara książka, którą panna Noyes trzymała w rękach, została napisana ludzką ręką, a pismo było tak stare i wyblakłe, że ledwo dawało się odcyfrować. Czyżby tak właśnie wyglądała książka, o której opowiadała babcia, ta, która należała do starej panny Elvery?

— ...dziennik Setha Elkinsa — dobiegły ją nagle słowa panny Noyes.

Seth Elkins! Czyżby ten sam, który odwiedził Tamar? Może napisał w nim, co się z nią stało? Czy Holly zbierze się na odwagę i spyta o to, nie wyjaśniając, dlaczego chce to wiedzieć? Jednak, ku jej rozczarowaniu, panna Noyes starannie zamknęła książkę i schowała ją do pudełka. Teraz mówiła o muzeum, o kołowrotku i warsztacie do tkania lnu.

Niestety, wkrótce wszyscy przeszli do części muzealnej. Było tam wiele ciekawych rzeczy, więc Holly przesuwała się bez pośpiechu. Nie potrafiła skupić się całkowicie na eksponatach i objaśnieniach nauczycielki. Jej myśli krążyły wokół dziennika Setha Elkinsa. Ciekawe, czy panna Noyes przeczytała go w całości? Czy wiedziała coś więcej o tym, co wydarzyło się w tamtą noc przed Świętem Zmarłych w Dimsdale? W tym momencie Holly zdecydowała się na temat pracy — Dimsdale.

Jeśli pani Finch go zaakceptuje, będzie mogła pytać o wszystko. Może dowie się, co jest w dzienniku i co się stało z Tamar. Oczywiście, nie będzie mogła zdradzić labiryntowych sekretów, ale może zdoła wykorzystać je później mówiąc, że to efekt poszukiwań. Opisz domek Tamar, labirynt, ogród ziołowy...

Plan tak ją pochłoniął, że wpadła na dziewczynkę, która zatrzymała się, żeby pokazać koleżance wyszywaną wiszącą w ramce na ścianie.

— Widzisz, o tam, moje nazwisko — Rebecca Eames. Moja babcia podarowała ją muzeum. Zrobiła ją jej pra pra nawet nie pamiętam ile razy prababcia. Hej, uważaj trochę!

— Becky Eames spojrzała na Holly. — Tylko dlatego, że jesteś z Bostonu, wydaje ci się, że zjadłaś wszystkie rozumy? Jakoś nie widzę tu prac twojej praprababci.

Holly cała zeszytywniała. Wreszcie nadeszło to, czego się obawiała od chwili, kiedy pierwszy raz wsiadła do szkolnego autobusu. Zaraz usłyszy, że mieszka na śmietniku, że jest czarnuchem i inne słowa, które, była tego pewna, muszą paść — prędzej czy później.

Przyjaciółka Becky, Martha Torrey, pociągnęła ją za rękaw. — Becky! Pamiętaj, co mówiła pani Finch.

Holly wyobrażała sobie, co to było i poczuła narastający gniew. Wcale nie prosiła pani Finch, by występowała w jej sprawie.

— A cóż to takiego pani Finch mówiła? — spytała gwałtownie. — Jasne, mieszkam na składowisku razem ze śmieciami! Jestem też czarna! Boicie się, że mogę was pobrudzić? Nic z tego. Mogę być czarna, ale jestem czysta. Będzie lepiej, jeżeli wy same i ta wasza stara pani Finch zajmiecie się własnymi sprawami.

Odwróciła się od nich, kiedy Martha powiedziała szybko:

— Nie, Holly, my wcale tak nie myślimy, naprawdę...

Spojrzała na nią przez ramię i syknęła. — Sama wiem, co wam chodzi po głowach. Wiedziałam to od razu, kiedy przyszedłam do tej głupiej szkoły.

Odeszła szybkim krokiem, zatrzymując się dopiero przy drzwiach biblioteki, gdzie niecierpliwie czekała, aż pani Finch ich wyprowadzi. Wewnątrz gotowała się ze złości. Planowała pracę o Dimsdale, ale teraz miała jeszcze lepszy pomysł. Napisze o czarownicach, o tym jak stary Sexton Dimsdale narobił kłopotów przez swą chciwość i głupotę i dostał to, na co zasłużył. To będzie jej temat! Miała nadzieję, że legenda okaże się prawdziwa, że Tamar była naprawdę wiedźmą i rzuciła klątwę na Dimsdale'a, jak twierdziła panna Elvery. Zasłużył sobie na to! Każdy w tym miasteczku powinien być przeklęty.

Wrócili do szkoły w samo południe. Holly wyłowiła w tłumie Judy, która nie była tym zachwycona. Rozmawiała z tą samą Debbie, która niegdyś proponowała jej wspólne zjedzenie lunchu, kiedy Holly podeszła do niej z gniewną miną. Tyle razy ją ostrzegała, tłumaczyła! Wyglądało, że nie ma ochoty iść z Holly, która dała jej znak, by się pospieszyła.

— Nie wiem, o co ci chodzi — wybuchła — z nikim nie chcesz się zaprzyjaźnić. Ja lubię Debbie.

— Zaprzyjaźnić! — Holly niemal krzyknęła. — Oni wcale nie chcą się z nami przyjaźnić. Dziś rano ta Becky Eames jasno dała mi do zrozumienia, że nie mamy prawa czuć się częścią Sussex, my tu nie należymy!

— Powiedziała to wprost? — Judy zasmuciła się wyraźnie. — Ale dlaczego, Holly?

— Sama wiesz dlaczego — ofuknęła siostrę. Oczywiście, Becky niezupełnie tak to ujęła, ale Holly była pewna, że o to właśnie jej chodziło. Im szybciej Judy to pojmie, tym lepiej dla niej. — Przecież mieszkamy na śmietniku i jesteśmy czarne.

— Ale Jimmie Little i dziewczynki Woodsów też są czarni i nikogo to nie obchodzi. Jimmie stale trzyma się Ralpa Bingley'a i Juda Torrey'a. Sally i Betsy Woods śpiewają w chórze. Spójrz na Crocka, siedzi tam z Philem Noyesem i braćmi Byfield. Oni go lubią!

— Sam się przekona, co tak naprawdę o nim myślą — powiedziała ponuro Holly. — Jimmie i Woodsowie mieszkają tu od dawna, ludzie się do nich przyzwyczaili. Zresztą nie mieszkają na śmietniku.

Judy nie wyglądała na przekonaną, ale usiadła przy siostrze z westchnieniem i rozpakowała pudełko ze śniadaniem. — Zdecydowałam już — pytała rozwijając kanapkę — o czym będzie twoja praca? Ja tak. Powiedziałam pani Dale, a ona uznała mój temat za świetny i napisała go na tablicy, na pierwszym miejscu.

— Co to będzie? — Holly wolała odwlec własną odpowiedź, zadając pytania.

— Ogródki ziołowe, takie jak u Tamar.

— Judy, chyba nikomu nie mówiłaś — powiedziała groźnie.

— Pewnie, że nie! Ale babcia używa ziół i mnóstwo innych ludzi też. Babcia ma kilka naprawdę starych książek o tym, jak ludzie wykorzystywali zioła w dawnych czasach. Zrobię różane paciorki, kiedy już będą róże, naszpikuję pomarańczę goździkami, żeby ładnie pachniało, może nawet uda mi się zrobić kandyzowane liście mięty. Mam też zamiar nauczyć się czegoś o ziołach leczniczych, jak Tamar, żeby pomagać ludziom. — Uśmiech powrócił na jej twarz. Na chwilę zapomniała o konflikcie z Holly. — Mogę opisać ogród Tamar, nie mówiąc, gdzie go widziałam.

Holly była zaskoczona i trochę niespokojna. Judy była taka pewna siebie. Dawniej, w Bostonie, zawsze jej słuchała i spytałaby, co sądzi o jej pomysłe, zanim zgłosiłaby go pani Dale. Ostatnio stała się bardzo samodzielna. Bardzo sprytnie radziła sobie z wysianiem prezentu od Tamar i nawet w pewnym sensie zdominowała starszą siostrę. Dotychczas Judy zawsze szła drogą wskazaną jej przez Holly, teraz zaczęła odkrywać własne ścieżki.

— Lepiej uważaj na to, co mówisz. — Holly powiedziała to z większym naciskiem niż zamierzała.

Uśmiech przygaśł na twarzy Judy. — Znów to samo, Holly. Zawsze mi mówisz, co mam robić! Zaczyna mnie to męczyć!

Irytacja Holly zmieniła się w przestrah. Co się stanie, jeżeli Judy nie przestanie się upierać? Zawsze robiły wszystko razem, wszystko, co Holly zaplanowała. Wydawało się, że Judy była z tego zadowolona, choć zdarzały się momenty, kiedy się jej sprzeciwiała. Co będzie, jeżeli Judy stale będzie podejmować własne decyzje. Szybko zabrała się do naprawiania błędów.

— Po prostu obawiałam się, że mogłabyś coś wypaplać bez zastanowienia.

— Traktujesz mnie jak Lissy Jones w Bostonie. A ja przecież nie chodzę i nie paplam wszystkiego, Holly.

— Wiem — zgodziła się siostra. Może uda się Judy jakoś udobruchać i wszystko będzie po staremu. — Chodzi mi o to, że nawet gdybyśmy wszyscy, cała trójka, przysięgali na wszystko, że spotkaliśmy się z Tamar, to i tak nikt nigdy nam nie uwierzy.

— Też tak myślę. Jednak ona jest prawdziwa, ja to wiem, Holly. Chcę się nauczyć tego, co ona potrafi. Pani Dale powiedziała mi, że jest wiele książek o ziołach. Poproszę też babcie. A ty nad czym będziesz pracowała?

Holly zawahała się przez moment. Nadal była pewna, że ma dobry plan — zdemaskować starego Sextona Dimsdale'a i sprawić, żeby ludzie, którzy tu teraz mieszkają, zrozumieli, ile szkód można wyrządzić niesłuszną obmową. Chociaż Becky tak naprawdę wcale jej nie przeżywała, to Holly mogła sobie wyobrazić, jakich słów używała za jej plecami. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślała, czuła większą złość.

— Na co się zdecydowałaś? A może to taka tajemnica, że... — Judy znów zaczynała być uszczypliwa.

— Napiszę o czarownicach — powiedziała szybko. — O tym, jak dawniej ludzie oskarżali o czary takie kobiety jak Tamar i o tym, jak Dimsdale'owie zostali obłożeni kłutwą za to, co jej zrobili.

— Nie pozwoliłaś mi mówić o Tamar, a teraz sama chcesz o niej napisać! —

oburzyła się Judy.

— Przecież nie napiszę, że ją widzieliśmy. Chcę zdobyć informacje ze starych książek i rozpytywać ludzi, którzy znają historię. Dziś rano w bibliotece panna Noyes pokazała nam dziennik Seta Elkinsa...

— Tego, który przyszedł do Tamar?

— Chyba tak. Może napisał, co się tam zdarzyło naprawdę, a nie tylko bajki o zniknięciu domu i Tamar.

— Tylko czy pani Finch pozwoli ci pisać o wiedźmach?

— Nie powiem jej, że o to mi chodzi. Powiem, że będę pisała o ludziach, którzy mieszkali w Dimsdale, o człowieku, który zbudował stary dom.

— Bardzo bym chciała dowiedzieć się, co się stało z Tamar — powiedziała powoli Judy.

— Wiem, co musimy zrobić. — Holly wypowiedziała te słowa z dawną pewnością siebie. — Musimy tam kiedyś wrócić i ją ostrzec, powiedzieć, co Sexton Dimsdale zamierza zrobić w noc przed Wszystkimi Świętymi.

— Ale to było dawno temu — zaprotestowała Judy. — On już to zrobił i niczego nie możemy zmienić.

— Skąd wiesz? Posłuchaj, Judy, wtedy cofnęliśmy się w czasie do dnia na długo przed tym świętem. Było lato, pamiętasz? Gdyby udało nam się wrócić do tego samego okresu, moglibyśmy powiedzieć jej, żeby uważała.

Judy mocno potrzęsła głową. — Racja. Wezmę poduszkę w piątek wieczorem, wrócimy tam i wszystko jej opowiemy.

Tym razem to ja wezmę poduszkę, pomyślała Holly. Judy już miała swoją noc. W końcu to jej pomysł, a nie Judy. Jeśli ktoś będzie w tym tygodniu spał na ziołowej poduszeczce, to na pewno będzie to Holly Wade.

Oddała kartkę z tematem pracy: historia Dimsdale, a pani Finch zapisała go w notesie z aprobującym skinieniem głowy.

— Szkoda, że wszystkie dokumenty rodzinne panny Dimsdale spłonęły w pożarze — powiedziała. — Rada muzealna parę razy prosiła ją o złożenie ich w depozycie do biblioteki, ale chyba nie chciano, żeby obce osoby miały do nich dostęp. Jednak Dimsdale'owie to bardzo ważna rodzina w historii Sussex. Miasto zostało założone na ziemi, którą dostali z nadania króla Karola. Musisz porozmawiać z panną Noyes, na pewno wskaże ci kilka doskonałych tekstów źródłowych. Wiesz, Holly, zastanawiam się, czy coś pozostało jeszcze ze starego ogrodu. To był pierwszy formalny, starannie zaplanowany ogród w okolicy. Mówi się nawet, że tam był labirynt!

— Babcia mówi, że wszystko tak zarosło, że nikt nie może dostać się do środka — odpowiedziała szybko Holly. Pani Finch przejawiała zbytnie zainteresowanie jej projektem. Może zacząć zadawać pytania, na które Holly nie chciałaby odpowiadać.

Nauczycielka w zamyśleniu spoglądała raczej na ścianę niż na dziewczynkę, jakby widziała gęstą roślinność w Dimsdale. — Chyba tak. Pamiętaj, Holly, jeśli uda ci się sprawić, żebyśmy zobaczyli Dimsdale takim, jakie było dawniej, to wzbogacisz naszą wiedzę o Sussex w początkach istnienia miasta. To może być wspaniała praca.

Przerwała na chwilę zanim nieco innym tonem zadała pytanie: — A co ty sama sądzisz o Sussex, Holly? — Patrzyła jej prosto w oczy, jakby chciała dotrzeć do najtajniejszych myśli dziewczynki.

— Jest... jest inne, chodzi mi o to, że w niczym nie przypomina Bostonu. — Holly próbowała znaleźć słowa, które nie zdradziłyby prawdziwych uczuć, gnębiących ją od dnia, kiedy nadszedł telegram. Pomyślała sobie, że pani Finch nie ma prawa wtrącać się do tego, co czuje. Zresztą, cóż ją to może obchodzić!

— Wyobrażam sobie. — Głos nauczycielki zabrzmiał nieco ostrzej, jakby Holly

udzieliła niewłaściwej odpowiedzi na lekcji. — Masz interesujący projekt i od ciebie zależy, co z nim zrobisz.

Idąc do autobusu, Holly zastanawiała się, co by pani Finch powiedziała, gdyby знаła prawdziwy temat pracy — klątwa na Dimsdale'ów. Rzuciła okiem na dzieci zgromadzone na przystanku. Babcia twierdziła, że ludzie nadal gadają o tej klątwie. Może powinna zacząć o to wypytywać? Nie, te dzieciaki na pewno o niczym nie słyszały. Ale starsi, na przykład pani Pigot, która powiedziała im o niej, gdy tylko wspomnieli Dimsdale, mogą coś wiedzieć. Na pewno są tacy w miasteczku. Tyle że będzie musiała ostrożnie formułować pytania.

— Holly! — Okrzyk Judy tak ją zaskoczył, że aż podskoczyła. — Holly, nie słyszałaś mnie? Pytałam o zabawę w Halloween. Debbie powiedziała, że to bal przebierańców. Jak myślisz, za co mam się przebrać?

Holly była całkowicie pochłonięta swymi planami poznawania przeszłości. — Jaki bal?

— Wielki szkolny bal przebierańców. Organizują go tu każdego roku i wszyscy przychodzą w przebraniach. Od czwartej do siódmej w noc przed Świętem Zmarłych. Debbie powiedziała, że możemy pojechać z nią. Sama widzisz, nie zawsze masz rację. Debbie mnie lubi i polubiłaby i ciebie, gdybyś dała jej szansę. Wiesz za co chciałabym się przebrać? Myślę o tym, od kiedy się dowiedziałam o tym balu — za kota, takiego jak Tomkit, szarego z wielkimi zielonymi oczami i długim ogonem. To byłoby świetne!

— Jeśli to ma być wieczorem w miasteczku, babcia i dziadek na pewno nie będą chcieli, żebyśmy pojechali. — Holly od razu wytoczyła swój najcięższy argument.

W oczach Judy pojawiły się przekorne chochliki. — I tu właśnie się mylisz, Holly. Babcia co roku bierze w nim udział. Jeździ z mamą Debbie i przepowiada przyszłość tak, jak to robili w dawnych czasach. Piecze też specjalne pączki. Widzisz! Jak myślisz, czy babcia zechciałaby mi pomóc z tym kostiumem?

Babcia na szkolnym balu! Holly była oszołomiona, zaskoczona i trochę oburzona. Ostatnio babcia wypytywała ją o to, czy zna tę, czy tamtą dziewczynkę i wydawała się nieco zaskoczona odpowiedziami wnuczki. Jak gdyby spodziewała się, że Holly jest najpopularniejszą dziewczyną w klasie, czy coś takiego. Nie chciała babci zranić i powiedzieć jej całej prawdy — że nie chciano ich w tej szkole.

Była przecież przekonana, że jest inaczej. Coraz częściej Holly musiała uchylać się przed jej pytaniami. Nie ma szans, by pozwoliła im zostać w domu, jeżeli sprawy stoją tak, jak mówi Judy.

— Kostium kota może być dość trudny do zrobienia — odpowiedziała siostrze. Czują ogarniające ją przerażenie. Jeżeli babcia każe im iść i sama tam będzie, to na pewno zobaczy...

— Babcia ma zręczne ręce. Nawet pan Correy to powiedział. Na pewno sobie poradzi i zrobi mi coś cudownego.

Holly próbowała nie myśleć o balu. Skoncentrowała się na innej nocy trzydziestego pierwszego października, kiedy ród Dimsdale'ów ruszył na polowanie na czarownice. Wróciła sprawa Tamar i ostrzeżenia jej. Gdyby mogła się znów z nią zobaczyć, zadałaby jej parę pytań i poznałaby prawdę. Czy rzeczywiście Tamar była czarownicą i zniknęła z pomocą magii po rzuceniu klątwy na Dimsdale'ów.

Czarownice mogą także spełniać swoje własne życzenia. Gdyby miała taką moc, mogłaby sprawić, żeby babcia i Judy zapomniały o balu, żeby nie musiały tam pójść. Zażyczyłaby sobie...

Wieczorem, przy stole, Judy nie potrafiła mówić o niczym innym niż o swym pomysle, a i babcia tak się tym podniecała, że musiała bez przerwy poprawiać okulary na nosie tak, że niemal przez cały czas ślizgały się to w górę, to w dół. Crock

oznajmił, że zajmie się meblami, jakie znajdowały się w pierwszych domach w Sussex. Ostatnio coraz więcej czasu spędzał w warsztacie dziadka, ucząc się, jak naprawiać stare sprzęty, co w najmniejszym stopniu nie interesowało Holly.

Sama siedziała cicho, pozwalając wygadać się rodzeństwu. Chciała, aby pytania, jakie zada najpierw dziadkowi i babci, dotyczące historii Dimsdale i panny Elvery, nie tylko dostarczyły jej jak najwięcej informacji, ale i nie zdradziły jej planu. Musi je dokładnie przemyśleć i spisać.

Wieczorem, kiedy równy oddech Judy świadczył, że już zasnęła, Holly wyśliznęła się spod kołdry i na paluszkach podeszła do szafy. Delikatnie otworzyła drzwi i wsunęła rękę, chcąc znaleźć pudełko, w którym Judy przechowywała ścinki materiałów. Uniosła pokrywę i palcami szukała znajomego kształtu poduszeczki. W tej chwili nie pragnęła niczego więcej, niż móc ją wyjąć, zasnąć na niej i przekonać się, czy znów trafi do domku w labiryncie, do Tamar.

Wiedziała jednak, że nic z tego. Jutro trzeba iść do szkoły, pojutrze też i jeszcze następnego dnia...

W tym tygodniu nastąpiła mała zmiana — w piątek miało się odbyć specjalne zebranie nauczycieli, więc lekcje skończą się w południe. Holly złapała Judy i Crocka, jak tylko się o tym dowiedziała.

— W piątek po południu — tłumaczyła im gorączkowo. — Możemy wrócić do labiryntu w piątek po południu, nie rozumiecie tego?

Crock zgodził się natychmiast. — W porządku, to nawet lepiej niż w sobotę. W sobotę ma przyjść do mnie Jim. Chce znaleźć jakąś część do swojego roweru.

Holly od dawna zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu przypominać mu, żeby się zbyt nie spoufalał z miejscowymi. Jeśli miał ochotę na bójkę, do której wreszcie dojdzie, kiedy zaczną go przezywać, to jego sprawa.

Była jeszcze jedna rzecz, którą musiała przeprowadzić do czwartku wieczora. Była przekonana, że ani Crock, ani Judy nie zgodzą się, żeby dostała poduszkę bez losowania. Holly wiedziała, że musi pomóc szczęściu i wygrać. Musi!

Jak zwykle, Crock trzymał w dłoni paski papieru. Kiedy Holly wyciągnęła jeden, zgięła go wewnątrz dłoni. Pozostali, zbyt pochłonięci losowaniem niczego nie zauważyli. Jeśli nawet jej pasek nie był najkrótszy, to po tym zabiegu musiał okazać się zwycięski. Tak też się stało. Triumfalnym gestem sięgnęła po poduszkę.

W łóżku przyłożyła do niej głowę. Zapach był nieco dziwny, nie tak przyjemny jak wcześniej. Kręcił w nosie i myślała, że zacznie kichać. Gdyby nie była przekonana że to jedyny sposób dostania się do labiryntu, byłaby ją odrzuciła. Jednak mimo niemiłego zapachu Holly była zdecydowana — musi wyśnić drogę do środka.

VIII

Droga na opak

Rano nie pamiętała snu, a jedynie drogę w labiryncie. Reszta, kiedy starała ją sobie przypomnieć, przyprawiała ją o ból głowy. Czy widziała Tamar? Pozostało tylko mgliste wspomnienie kogoś zupełnie do niej niepodobnego. Kogoś, kto się uśmiechał, kiwał na nią, kogo musi znów ujrzyć. Oczywiście, to musiała być Tamar i ona, Holly, ostrzeże ją przed niebezpieczeństwem.

— Miałaś sny? — Judy zakładała buty. — Czy to były koszmary, Holly?

— Dlaczego tak myślisz? — Holly gotowa była się bronić.

— Bo wołałaś mamę i chciałaś, żeby cię stamtąd zabrała. — Judy usiadła na łóżku, bacznie obserwując siostrę. — To brzmiało jakbyś była gdzieś zamknięta.

Holly potrząsnęła głową. — Nie pamiętam. Jednak znam drogę w labiryncie. Po południu pójdziemy tam spotkać się z Tamar. Przecież sama tego chcesz, prawda?

Ku jej zaskoczeniu, Judy nie zgodziła się z nią natychmiast. — Sama nie wiem. Poczekamy, zobaczymy.

— Na co poczekamy? — wybuchnęła Holly. — Poprzednim razem bardzo ci się tam spieszyło. Cały czas nas popędzałaś. Tylko dlatego, że tym razem to ja miałam sen, ty chcesz poczekać! Co się z tobą dzieje, Judy?

Młodsza siostra wpatrywała się w nią bez słowa, aż poczuła się nieswojo. Jakby Judy wiedziała, że wczoraj wieczorem Holly nieco pomogła losowi. Przecież musiała tak postąpić. Crocka niewiele to wszystko obchodziło, a musieli, ona musiała, przestrzec Tamar przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

— Nic się ze mną nie dzieje — odpowiedziała Judy powoli. — Tylko wydaje mi się, że tobie samej niezbyt podobały się te koszmary.

— Wcale nie jestem pewna, czy to był koszmar — zaprotestowała.

— Słyszałam, jak wołałaś mamę i prosiłaś, żeby cię stamtąd zabrała. W pewnej chwili Tomkit podszedł do ciebie, powąchał poduszkę i natychmiast uciekł sycząc i kichając, jakby poczuł coś okropnego.

Wszystko jest w porządku, przekonywała Holly siebie samą przez cały ranek. Siedząc w autobusie odwożącym ich do domu po skróconych lekcjach, nie mogła się doczekać powrotu do Dimsdale, końca lunchu i ruszenia do labiryntu. Dzień był ciemny, niebo pokryte ciężkimi chmurami, ale jeszcze nie padało. Całą drogę trzymała zaciśnięte kciuki w nadziei, że odpędzi to burzę.

Siedziała tak pogrążona we własnych myślach, że nie zwracała uwagi na to, co działo się wokół niej. Wreszcie usłyszała głos Judy przebijający się przez gwar w autokarze: — Babcia sądzi, że uda się jej uszyć dla mnie kostium kota. Ma taki duży koc, szary jak Tomkit.

— Na Halloween lepsze są czarne koty. — To Sandra Hawkins.

— Być może, ale ja chcę być szarym kotem — odpowiedziała Judy. — Tomkit jest niezwykle ładniejszy od innych. A ty kim będziesz?

Sandra zachichotała. — Jeszcze nie wiem. Zwykle noszę to, w czym Mary była w poprzednim roku, a ona dostaje nowy kostium. W zeszłym roku była przebrana za baletnicę, ale wczoraj przymierzyłam jej strój i zupełnie na mnie nie pasował. Pokazałam go mamie i powiedziała, że jeszcze musi się zastanowić.

Jakie znaczenie mają teraz stroje na bal, pomyślała niecierpliwie Holly. Jeżeli będą musieli iść to coś tam wymyśli. Może przeberze się za Cygankę. To łatwe — spódniczka w jednym kolorze, bluzka w innym, duże kolczyki w kształcie kół i barwna chusta na głowę. Jest jeszcze masa czasu, żeby o tym myśleć. Ważniejsze jest

to, co ma się dziś wydarzyć.

Mieli szczęście. Po lunchu babcia wybierała się na spotkanie kółka krawcowych. Kazała im obiecać, że nie będą się zbyt oddalać od domu (Holly pomyślała, że w końcu labirynt jest blisko), i że będą na siebie uważać. Dziadek był zajęty w warsztacie. Crock bardziej interesował się tym, co tam naprawiał niż wycieczką do labiryntu i Holly musiała mu przypomnieć, że przyrzekł iść z nimi.

Kiedy babcia wreszcie odjechała z panią Wilson, Holly płonęła z niecierpliwości, której wyraźnie nie podzielało rodzeństwo. Kiedy samochód zniknął za zakrętem podjazdu, zauważyła, że patrzą po sobie niepewnie. Jeśli chodzi o Tomkita, to ten gdzieś zniknął, jakby planowana wyprawa zupełnie go nie dotyczyła.

— Lepiej już ruszajmy — powiedziała Holly.

— Powiedziałem dziadkowi, że... — zaczął Crock, ale kiedy rzuciła mu gniewne spojrzenie, wzruszył ramionami.

— No dobrze. Chodźmy już, to szybciej z tym skończymy.

— Nie mogę was zrozumieć — złościła się Holly. — Przecież chcieliście tam iść. Skąd teraz te wątpliwości?

Judy zdrzała, choć wcale nie było tak chłodno i miała na sobie zapiętą kurtkę i chustę na głowie z końcami owiniętymi wokół szyi.

— To nie to samo — powiedziała cichutko.

— Dlaczego nie? — złość Holly wciąż narastała. — Kiedy ty nas prowadziłaś, wszystko było w porządku. Teraz jest inaczej tylko dlatego, że to ja miałam sen. O to ci chodzi?

— Nie dopuszczała do siebie myśli, że tym razem wizję wspomogło oszustwo, że wczoraj nie grała fair. Przecież zrobiła tak z poczucia obowiązku, musieli ostrzec Tamar.

— Już nic was nie obchodzi los Tamar? — pytała zjadliwie.

— Ale ci źli ludzie nic jej nie zrobili. — Judy nie przejawiała ochoty, żeby ruszyć za siostrą w stronę labiryntu.

— Zniknęła razem ze swym domkiem.

— Tak — odezwał się Crock. — Ale gdzie zniknęła? Przypuszczacie, że Tamar wiedziała o spirali czasu? Wiecie, że ludzie coraz częściej myślą o różnych możliwościach wykorzystania umysłu, na przykład w tych programach w telewizji o telepatii i takich tam sprawach.

— Sami widzicie — Holly starała się zrobić jak najlepszy użytek z jego wątpliwości, bez względu na to, co sama myślała — że Tamar musiała mieć jakąś moc, inaczej by tak nie zniknęła. Jestem pewna, że została ostrzeżona! Dlatego musimy tam iść, teraz i zaraz!

— Ale jeśli zdarzyło się to wszystko — Judy nie dawała się łatwo przekonać — to w jaki sposób możemy ją ostrzec dzisiaj?

— Cofniemy się w czasie, musimy. — Holly wiele zastanawiała się nad tym i doszła do wniosku, że to jedyne wytłumaczenie. — Przejdziemy od TERAZ do WTEDY. Wszystko jej powiemy i będzie mogła się przygotować do ucieczki, zanim ten stary Sexton Dimsdale ją napadnie.

— To całkiem prawdopodobne — stwierdził Crock. — Dobra, idziemy.

Holly nie potrzebowała dalszej zachęty, już pędziła w kierunku gęstwiny bezlistnych krzaków. Kiedy znaleźli się przy labiryncie, wydał się równie zwarty i mocny jak ściany domu. Nie było widać śladu życia. Brunatno szara płatanina gałązek, które zdawały się nigdy nie nosić listków.

Szukała wysokich kotów — strażników. Nigdzie ich nie było. Nie było nawet śladu, że kiedyś w ogóle istniały krzaki przycięte w tak charakterystyczny sposób. Niepokój zaczął zmieniać się w rozczarowanie. Wyraźnie zwolniła kroku. Wolniutko

sza wzdłuż pozbawionej życia ściany.

— Nie ma wejścia. — Usłyszała za sobą głos Judy. — Nie wierzę, że teraz można dostać się do środka.

Holly zdawała sobie sprawę, że minęli już miejsce, przez które poprzednio wprowadzili ich Judy i Tomkit. Czuła jednak, że coś pcha ją do przodu, coś powtarzało jej, że odnajdzie wejście. Nawet nie próbowała dyskutować z Judy, tylko szła dalej do miejsca, gdzie żywopłot skręcał, tworząc płytką zatokę.

W chwilę później wątpliwości zmieniły się w uczucie triumfu. — Widzicie! — Wyrzuciła ramię przed siebie, wskazując lukę w gęstwinie.

— Ależ to nie są koty — powiedziała cicho Judy. W jej głosie wyczuwało się niepewność.

Holly przyjrzała się strażnikom po obu stronach wejścia. Judy miała rację, choć Holly nie przyznałaby się do tego głośno. Stworzenia siedziały wprawdzie w tej samej pozycji jak wcześniej koty, ale zupełnie ich nie przypominały.

Były o głowę wyższe od Crocka, miały cztery nogi, lecz ich głowy nie były kocie — długie pyski, wielkie, spiczaste uszy. Szarobrunatna barwa gałązek, z których były uformowane, nadawała im niesympatyczny wygląd, tak jak nieliczne zwiędłe listki przypominające łuski.

— To aligatory — oznajmił Crock. Po chwili dodał już mniej pewnym głosem: — Przynajmniej tak mi się wydaje.

Judy stanęła jak wryta. — Za żadne skarby tam nie wejść! — Zatrzęsała się z obrzydzenia. — To nie jest dobre miejsce. To nie tu.

— A właśnie, że tak! — Holly była całkowicie przekonana o swej racji. — Wiem to, tak jak ty wtedy wiedziałaś.

Mimo to niepokoił ją wygląd aligatorów, jeśli przypuszczenie Crocka było słuszne. Koty były zupełnie inne. Nie wyglądały jakby tylko czekały, aż ktoś między nimi przejdzie i da się złapać. Nie, to głupie. Przecież to tylko jakieś stare, uschnięte krzaki. Im bliżej do nich podchodziła, tym wyraźniej było to widać.

— Chodźcie! — rozkazała bliźniakom.

Mina Judy była bardzo nieszczęśliwa. — Naprawdę nie chcę. Proszę, Holly, nie zmuszaj mnie. Tam jest coś złego.

— Tak samo złe jak twoje wejście. — Holly gotowa była bronić swych racji do upadłego. — Po prostu kupa starych krzaków.

Crock wziął Judy za rękę. Na jego twarzy malował się wyraz powagi. W ogóle nie patrzył na Holly tylko na bliźniaczkę. — Musimy tam wejść, Judy.

Judy pociągnęła nosem, ale kiwnęła głową na znak zgody. Holly ruszyła przodem. Nie spieszyła się jak Judy za pierwszym razem. Szła spokojnie, starając się nie zwracać uwagi na ponury mrok, tajemnicze cienie, na gałęzie zamykające się tuż nad ich głowami w niski tunel, na kolce wyłaniające się z jego ścian jak pazury gotowe pochwycić śmiałków przechodzących obok.

— Idziemy w złą stronę. W prawo, zawsze w prawo — powiedziała Judy przy pierwszym zakręcie.

Holly jednak dobrze pamiętała informacje przekazane jej podczas, snu. — Nie, tym razem w lewo, na pewno.

— Na opak — rzucił Crock, a echo zwiłokrotniło jego słowa.

— Co to znaczy? — spytała Judy. Mocniej chwyciła rękę brata i przysunęła się do niego.

— To coś z dawnych czasów — wyjaśnił. — Oznacza ruch w przeciwną stronę niż wskazówki zegara, niż droga słońca na niebie. Sam nie wiem, dlaczego teraz mi się to przypomniało. Coś jeszcze... — Skrzywił się nieco. — Nie, nie pamiętam.

Tunel, wbrew oczekiwaniom Holly, nie zaczynał się zazieleniać. Na każdym

zakręcie miała nadzieję, że jak poprzednio, ujrzy zielone listki i kwiaty, jednak krzewy wciąż były martwe i nagie. Jedynie poszycie gęstniało.

Pojawiły się muchomory, najpierw małe, potem coraz większe i groźniejsze. Niektóre były brudnoszare, inne czerwone i nakrapiane, a jeden jasnożółty. Kiedy Holly trąciła go nogą, pękł jak purchawka, wydzielając nieprzyjemny zapach. Widziała też inne dziwne rośliny o grubych liściach i długich łodygach wyrastających ze środka. Na szczytach łodyg znajdowały się twory przypominające kwiaty, odwracające się w kierunku przechodzących dzieci, jakby rośliny wyczuwały ich obecność.

Kamienna ścieżka pod stopami była pokryta śliską mazią, a w szczelinach między kamieniami rosły dość obrzydliwie wyglądające grzyby. Każdorazowe nadeptnięcie budziło falę wstrętnego fetoru. Śmierdziało jak w dole wypełnionym gnijącymi odpadkami.

Holly miała coraz większą ochotę zrezygnować z wyprawy i wrócić do domu, ale przenigdy nie przyznałaby się rodzeństwu do porażki. Jakiś głos wewnętrzny przekonywał ją, że nie wolno jej do tego dopuścić. Nawet gdyby się przemogła, nie była w stanie wypowiedzieć właściwych słów.

W dodatku zamiast ciepłej, robiło się coraz chłodniej. Wilgotne, zimne powietrze kąsało skórę dzieci, zmuszając do szczelniejszego zapięcia kurtek. Holly zatrzymała się, dostrzegłszy jakiś ruch przed sobą. To, co się poruszało, było równie szare jak napotkane wcześniej kwiaty i sunęło bezszelestnie. Z całą pewnością musiał to być wąż! Zniknął, zanim zdołała się upewnić.

Spróbowała odwrócić się do rodzeństwa, gotowa przyznać się do pomyłki, powiedzieć im, że muszą się stąd wynieść jak najszybciej, jednak, ku swemu przerażeniu, stwierdziła, że nie jest w stanie tego zrobić. Jakaś niewidzialna siła ciągnęła ją w głąb labiryntu.

Doszli do kolejnego rozwidlenia, szerszego od poprzednich. W zagłębieniu ścieżki stała woda — szeroka, błotnista kałuża. Nad nią sterczała kolejna postać uformowana z krzewów. Nie była podobna do tych przy wejściu, lecz jej głowa była równie przerażająca.

— Ja chcę do domu! — krzyknęła niespodzianie Judy. — Crock, chodźmy do domu!

Holly obejrzała się przez ramię. Choć Judy była wyraźnie wystraszona, nie zatrzymała się ani nie odwróciła. Zupełnie jakby siła ciągnąca naprzód Holly opanowała również jej siostrę.

Usłyszała zaniepokojony głos Crocka — Wydaje mi się, że nie możemy tego zrobić, Judy.

— Dlaczego? — W głosie małej brzmiała nuta paniki. — Nie ciągnij mnie tak, Crock! Puść mnie. Ja wracam. Natychmiast.

— Wcale cię nie ciągnę. — Crock był przerażony. — Judy, nie mogę cię puścić. Naprawdę nie mogę. Sama spróbuj.

Widocznie spróbowała bez powodzenia, bo zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze. — Nie mogę puścić ręki Crocka! Holly, proszę, musisz nas stąd wyciągnąć. Musisz! To nie jest droga do Tamar. Ona ma dobre rzeczy, a tu jest samo zło. Holly — wyciągnij nas stąd!

Holly próbowała się zatrzymać, odwrócić, ale nie mogła. — Nie mogę, Judy, coś mnie tu trzyma, ciągnie naprzód.

— Mamo! Ja chcę do mamy! — wrzeszczała Judy i rozplakała się bezradnie.

Holly bywała już w życiu przerażona, ale nigdy dotąd tak jak teraz. To prawdziwy koszmar. Boże, niech to będzie tylko sen! Gdyby mogła się teraz obudzić.

Znaleźli się przy jeszcze jednym rozwidleniu z następną straszną figurą patrzącą

prosto na nich. W miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy, lśniły jasne plamy przypominające lustra. Holly wbrew swej woli spojrzała w nie i zobaczyła całą trójkę: płaczącą Judy, Crocka z poważną twarzą i siebie, malutką i bezbronną. Krzaczaste straszdyło było tak ogromne, że bez trudu mogło zmieścić ich wyciągniętą ręką uzbrojoną w pazury wielkości palców dziewczynki i wdeptać w błoto.

Kiedy tak wpatrywała się w oczy potwora, czuła, że dzieje się coś niesamowitego. Najpierw przestała się bać. Czego tu się bać? Krzaków i muchomorów? Przecież wszędzie ich pełno. Dlaczego Judy beczy? To głupie, ale w końcu Judy często głupio się zachowywała. Zawsze była beksą i zazdrośnicą. Chciała być tą jedyną, która zna drogę w labiryncie i może znaleźć Tamar. Teraz, kiedy Holly jej udowodniła, że sama sobie poradzi, udawała przestraszoną i chciała wracać do domu. To oczywiste, że Crock z nią trzyma — przecież są bliźniakami i zawsze tworzyli wspólny front przeciw niej.

Wystarczy na nich spojrzeć w lusterku. Tacy mali i niewyraźni, kiedy ona jest duża, dobrze widoczna. To ona miała rację, że muszą ostrzec Tamar i dopilnować, żeby nie stała się ofiarą polowania na czarownice.

Zresztą nie powinna się im dziwić — sama zachowywała się głupio w jednej sprawie. To przecież oczywiste, że w labiryncie mieszkała czarownica, czarownica, która potrafiła spełniać różne życzenia. Lada chwila sama zdobędzie taką moc. Na pewno. Holly skinęła głową do swego odbicia w lustrze. Ona, Holly, może zrobić, co zechce, jeśli tylko mocno tego zapagnie. Każdy może to zrobić, jeśli tylko się postara i nie pozwoli, by ktokolwiek próbował odwieść go od zamiaru, tak jak teraz próbują Judy i Crock.

Nic z tego: to ona miała rację, nie oni!

Nie oglądając się dłużej za bliźniakami, Holly odwróciła się od luster. Jasne, że pójdą za nią, uśmiechnęła się do siebie. Muszą. Czarownica zadba, aby tak zrobili. Ale się zdziwią! Ona nie. Sama ma przecież kilka własnych życzeń. Jest wiele rzeczy, których sobie teraz życzy — rzeczy, które sprawią, że Becky Eames i Martha Torrey już nigdy nie ośmielą się jej obgadywać. Holly roześmiała się na myśl o paru psikusach, jakie będzie mogła im spleść, uzyskawszy wreszcie moc czarownicy.

— Holly, proszę, nie mów w ten sposób. — Głos Judy brzmiał cicho, jakby pochodził z daleka. Nie miało sensu zwracać na nią uwagi. Nie miała pojęcia o niczym. Była jedynie małą, głupią dziewczynką, nie większą od swego odbicia w lusterku. Głupie dziecko bez znaczenia. Holly nie zareagowała na jej słowa.

Szła coraz szybciej. Nareszcie ściany tunelu zaczęły się zmieniać — pojawiły się na nich zielone listki. Dlaczego dotąd uważała, że muchomory i te dziwne rośliny są straszne? Przecież wcale nie są brzydkie, mają charakter, nie tak jak kwiatuszki, których wszędzie było pełno. Muchomory są tak wielkie, że pewnie nigdzie na świecie nie ma im równych.

Ścieżka skręciła raz jeszcze. Tym razem nie było już żadnego krzaczastego stwora. Zamiast tego zobaczyli wysoki kamienny słup, na którego szczycie leżała czaszka jakiegoś zwierzęcia z ogromnymi rogami przypominającymi jelenie. Czaszka była na wpół obrośnięta zielonym mchem, lecz Holly miała wrażenie, że ją zna, wiedziała, że do niej przyjdzie i witała ją jakiś niezrozumiały nawet dla samej siebie sposób.

Nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni. Dom Tamar stał tam, gdzie się spodziewała. Oczywiście lato już minęło, lecz bez tych wszystkich kwiatów i roślin, można było lepiej mu się przyjrzeć. Z komina wydobywała się równa smuga dymu. Tym razem jednak drzwi nie stały otworem.

Przecież to najzupełniej normalne. Któż zostawiałby drzwi otwarte na oścież w zimny dzień jesienią? Holly pokiwała głową ze zrozumieniem. Jeśli się ma właściwie podejście, wszystko można odpowiednio wytłumaczyć.

Ogród był na swoim miejscu, ale rośliny już nie żyły. Tu i ówdzie sterczały wyschnięte łodygi, szerniały kępy roślinności. Wydzielały stęchlą woń śmierci. Jak jednak miały pachnieć, jeśli naprawdę nie żyły? Musi myśleć trzeźwo, nie porównywać wszystkiego do tego, co widziała podczas pierwszej wizyty. Wtedy panowało lato, teraz jest jesień. Babcia sama mówiła, że rośliny szybko umierają po pierwszych przymrozkach.

W centrum ogródka stawek wypełniony był zielonkawą wodą. Na brzegu leżał martwy ptak, ciało drugiego pływało na powierzchni. O co chodzi — to tylko ptaki. Ludzie są ważni. Zwierzęta i rośliny istnieją jedynie po to, żeby zaspokoić potrzeby ludzi.

Idąc ścieżką w kierunku zamkniętych drzwi, Holly spostrzegła, że coś, co początkowo wzięła za grudę zamrożonego błota, nagle ożyło i zanurzyło się w mętnej wodzie stawu. Wąż? Nie miała pewności i na moment zwolniła kroku. Po chwili przypominała sobie dużą i pewną siebie Holly, jaką widziała w lustrzanych oczach.

Nic się jej nie stanie. Przyszła tu na życzenie czarownicy i czekali na nią. Cóż mogą ją obchodzić nieżywe ptaki czy stwory pełzające przez umarły ogród.

Usłyszała myśl, która z pewnością nie była jej własna.

— Wspaniale, moja dzielna laleczko!

Jak ktoś mógł “mówić” w jej umyśle w ten sposób? Mimo wszystko duża Holly jakoś nie mogła się tego wystraszyć.

— Coraz lepiej, laleczko — pochwalił ją głos. — Jesteś dokładnie taka, jak chciałam, świetny wybór!

Była już niemal przy drzwiach, kiedy ktoś szarpnął ją za rękę. Odwróciła się z wściekłością.

Crock trzymał jej rękaw, a Judy zastawiła drogę. Oboje odpychali ją od wejścia. O co mi chodzi? Są po prostu podli, zazdroszczą jej! Nie chcą, żeby uzyskała czarodziejską moc. Nic z tego. Kiedy już ją będzie miała, to popamiętają.

Ropucha! Wypowie życzenie, żeby ropucha towarzyszyła Judy na każdym kroku, a nawet szła z nią do łóżka.

— Wspaniale laleczko — pochwalił ją głos. — A co wymyślisz dla tego zuchwałego młodzieńca, który pragnie pozbawić cię zasłużonych przyjemności?

Na pewno jeszcze coś wymyśli.

— Puście mnie! — krzyknęła przeraźliwie. — Nie możecie mnie powstrzymać, nie macie szans!

— Posłuchaj, Holly — Judy znów płakała, łzy gęsto spływały po jej pyzaty policzkach. — To nie może być dom Tamar. Spójrz na dach. Tamar nigdy nie trzymałaby czegoś takiego. Spójrz!

Holly niechętnie spojrzała w górę. Na samej krawędzi dachu, nad drzwiami przybito rząd niewielkich, szarobiałych czaszek. Niektóre należały do ptaków, inne do małych zwierząt. Ale jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma trochę starych kości? To tylko oznaka mocy.

— Właśnie, laleczko, właśnie tak — zgodził się głos.

— Puście mnie! — Zaczęła się szarpać z rodzeństwem. Musiała się uwolnić, otworzyć drzwi i stanąć twarzą w twarz z osobą, która ją tu wezwała i odebrać od niej czarodziejską moc, dzięki której będzie w stanie zrobić wszystko, co chciała.

Holly nie wiedziała dokładnie, co powinna zrobić, ale było to strasznie ważne, a czas uciekał. Musi wyzwolić się z uchwytu Judy i Crocka. Razem byli jednak dla niej za silni. Wierzgała i szarpała się, lecz nie dawała rady. Odciągali ją od domku. Musi się uwolnić.

— Starczy już, koniec zabawy. — Głos w głowie odezwał się głośniejszym niż dotąd.

Brzmiała w nim nutka gniewu. Potem zobaczyła, że drzwi domu otwierają się powoli. Poruszały się płynnie, łagodnie, jakby same z siebie, a nie pchane ludzką ręką.

Teraz głos rozbrzmiał w jej uszach, a Crock i Judy stanęli jak wryci, widocznie też go usłyszeli: — W imię Hekate, wejdźcie.

IX Hagar

Holly ruszyła naprzód nie obejrzawszy się nawet, czy rodzeństwo podąża za nią. Na pierwszy rzut oka był to ten sam dom, który wcześniej odwiedzili. Jednak kobietą stojącą przy palenisku nie była Tamar!

Uśmiechała się łagodnie, nie patrząc na garnek, którego zawartość mieszała długą łyżką. O ile Tamar nie wyróżniała się szczególną urodą czy strojem, ta dziewczyna (wyglądająca dużo młodziej od poprzedniczki) była śliczna. Na głowie miała ten sam rodzaj czepeczka, lecz zsunęła go bardziej na tył głowy. Twarz otaczały drobne loczki tak jasne, że niemal srebrne. Szeroka spódnica sukni była zielona i podpięta do drugiej, ciemniejszej, a długi fartuch i chusta zarzucona na gorsecik obszywała wąską koronka, również zielona.

Jasna zieleń spódnicy pasowała do barwy jej oczu, które wydawały się wielkie pod brwiami i rzęsami, które były ciemne i kontrastowały z jasnymi włosami. Kiedy uśmiechnęła się szerzej, w policzkach pojawiły się urocze dołeczki.

— Witajże, moja lalczko — zwróciła się bezpośrednio do Holly. — Witam też twych krewnych. Szybko przybyłaś, co za zaletę uważam, ma siostrzyczko.

Holly stała oniemiała. To nie była Tamar. W takim razie, kto stał przy jej palenisku i korzystał z jej garnka, jakby był u siebie w domu?

Zupełnie jakby wyczytała to pytanie w jej myślach, dziewczyna roześmiała się cichym i słodkim śmiechem. — Ach, chodzi ci o to, że ja znam ciebie, a ty mnie nie, lalczko? Jam jest Hagar...

To nie Holly jej przerwała, lecz Crock: — Gdzie jest Tamar? — Starał się nadać głosowi groźne brzmienie. W tym jego pytanie wydało się krzykiem.

Uśmiech zgasł na twarzy Hagar. Jej oczy zwęziły się i przez moment wydała się podobna do Tomkita, kiedy prychał ostrzegawczo. Trwało to jednak tylko krótką chwilę.

Zaraz znów się uśmiechnęła, a jej głos stał się łagodny i pełen słodczy: — Młody panie, siostra ma wyjechała. Dziś ja pilnuję paleniska, jak sam widzisz. Cieszę się z waszego towarzystwa, gdyż ostatnio czuję się dość samotna w tym miejscu...

— Jesteś siostrą Tamar? — Holly nie mogła w to uwierzyć — dziewczyna w niczym jej nie przypominała. Ale w końcu Crock i Judy byli bliźniakami, a też nie byli do siebie podobni.

— Jej siostrą, tak, lalczko. Ale to mnie przysłaś tu odwiedzić, czyż nie?

Z ociąganiem, Holly skinęła głową. Dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy, ale teraz przypominały się jej sceny ze snu. Śniła o Hagar, nie o Tamar. To Hagar mówiła do niej we śnie i ona wskazała jej drogę przez labirynt.

— Nie mówmy już więcej o Tamar. Ma swoje sprawy, a dziś nic nas one nie obchodzą. Lepiej zadbajmy o własne przyjemności. — Hagar zaśmiała się. — Och, wiele przyjemności nas dziś czeka, lalczki. — Wydawało się, że nagle zauważyła ich wszystkich i chciała, aby wszyscy włączyli się do zabawy. — Nie znaliście ich dotąd, lecz dziś poznacie. Pozwólcie mi jeno dokończyć pracę, a sami zobaczycie!

Odwróciła się, by zajrzeć do garnka i podniosła do ust łyżkę, kosztując jej zawartość. Resztę wlała z powrotem do gotującej się cieczy. Spływające po łyżce krople miały ciemnozieloną barwę i spadały bardzo wolno, jakby były bardzo gęste. Hagar zaczęła nucić piosenkę łagodnie i cicho, lecz Holly słyszała każde słowo:

*Spełń me życzenia. Rogaty łowco nocy
Użycz mi swej mocy.
Przez wszystkie moce lądów i mórz,
Jak mówią: Niech to się stanie już.
Przez całą moc księżycy i słońca,
Niech wola ma spełni się do końca.*

Przy ostatnich słowach przechyliła garniec, sięgnawszy uprzednio po misę. Ściekający płyn był gęsty, mętny i oleisty. Nie było go wiele, a Hagar starała się nie uronić ani kropli, strzając ostatnie nawet z łyżki:

Do dziwnej kompozycji zapachów wypełniających wewnątrz chatki dołączył nowy, nieznan, ni to korzenny, ni to ziołowy. Holly nie była w stanie go określić. Nigdy dotąd nie czuła czegoś podobnego.

Starannie trzymając miskę w dłoniach, Hagar przeniosła ją na długi, zagracony stół, stawiając przy butelce, z szyjki której wystawał lejek. Ostrożnie zaczęła przelewać płyn z miski do butelki. Była tak skupiona na wykonywanej pracy, że Holly bezmyślnie, podeszła bliżej.

Ostatnia kropla spłynęła z lejka. Hagar szybko wyjęła go z naczynia i zamknęła butelkę korkiem wykonanym z ciasno zwiniętego kawałka kory przewiązanego zieloną nitką. Wepchnęła go na miejsce i uśmiechnęła się czarująco.

— Zrobione, i to dobrze! Kiedy praca wykonana, zabawa przed nami. Czego pragniesz, laleczko? — Znów zwróciła się do Holly. — Czy chcesz się teraz dowiedzieć, co będziesz mogła zrobić, kiedy już...

— Holly! — pierwszy raz Judy odezwała się na tyle głośno, żeby można było ją usłyszeć. — Nie słuchaj jej! Ani się waż!

Ponownie, krótki atak gniewu zniekształcił twarz Hagar.

— Maleńka — odwróciła się nieco, żeby spojrzeć za plecy Holly — masz niewyparzony język. Staraj się rzadko go używać, aby nie wpędził cię w kłopoty!

— Przestań! — Tym razem Crock zdobył się na odwagę. — Przestań straszyć Judy!

Powieki Hagar opadły, zakrywając częściowo jej wspaniałe oczy. Uśmiechnęła się, lecz w tym uśmiechu kryła się jakaś tajemnica. Holly poruszyła się niespokojnie. Gdzieś głęboko, czuła ogarniający ją lęk. Hagar ponownie podniosła oczy, a jej tajemniczy uśmiech stał się otwarty i ciepły.

— Paniczu, nie trza się mnie bać. Nie wyrządę krzywdy ani tobie, ani twej siostrze. Przeciwnie, mogę wam wiele zaofiarować. Postaraj się to zrozumieć. Cóż jest najbliższe twemu sercu? Pomyśl o tym z całych sił...

— Nie!

Hagar wruszyła ramionami. — Niech i tak będzie. Nigdy dwa razy nie powtarzam swej oferty, chłopcze. Odrzuciłeś więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

Spojrzała na Holly tak, jakby jedynie ona została w domku. — Jednak ty, laleczko, ty dobrze poznałaś prawa rządzące tym światem. Bierz, co chcesz, kiedy tylko będziesz mogła. Dostaniesz moc, przyrzekam. Jednak w każdej umowie są dwie strony. Ja chętnie ci coś dam, jeżeli i ty nie będziesz się wzbraniała mi pomóc.

— Co mam zrobić? — spytała Holly, kiedy Hagar przerwała na chwilę.

Hagar roześmiała się radośnie. — Och, to będzie naprawdę niewiele. Niewiele dla ciebie. Jednak dla mnie będzie oznaczało bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo przed tymi, którzy ruszą na łów. Niewiele wiem o tym, co mnie czeka, ale to zupełnie wystarczy. Wy zapewniamie mi bezpieczeństwo, laleczko, i z tego powodu chętnie was tu widzę, zresztą nie tylko. Mieszkacie na ziemi gotowej do siewu...

— Nie wiem, o co ci chodzi. — Holly nie kryła zdumienia. Rozumiała, że Hagar

żąda jej pomocy, jednak nie wiedziała, na co może się jej przydać.

— Nauczysz się. Będę w tobie, więc bądź gotowa. Nie przyprowadzaj innych... — Hagar znów zrobiła pauzę. Koniuszek jej języka dotknął najpierw górnej, a potem dolnej wargi. Nie powiedziała nic więcej, jedynie uśmiechnęła się raz jeszcze i skinieniem kazała Holly podejść bliżej.

— Posłuchaj — rozłożyła ręce w geście wskazującym na stół i znajdujące się na nim rzeczy — oto szkoła, w której można się wiele nauczyć. Dotyczy to jednak tylko tych, którzy czują taką potrzebę. Szybko się nauczysz, a wtedy obie będziemy bezpieczne. To bezpieczeństwo od ciebie zależy, kochanie.

— Jak ja mogę... — zaczęła Holly, kiedy nagle usłyszała śpiew, rozlegający się z oddali, słaby, ponieważ drzwi były zamknięte.

Lawenda jest niebieska, dilly, dilly!

Lawenda zielona.

Kiedy będę królem, dilly, dilly!

Ty będziesz królową.

— Będę królową! — Hagar chwyciła zakorkowaną butelkę, którą wcześniej tak starannie napełniała. — Jasne, będę królową!

Skoczonym krokiem obiegła stół i znalazła się przy drzwiach. Holly bacznie ją obserwowała i nagle dostrzegła Crocka i Judy stojących przy ścianie z szeroko otwartymi oczami i przerażonymi minami. Nie poruszyli się, nie patrzeli też na Holly, która podeszła do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Pochyliła się, żeby odsunąć liście rośliny stojącej na parapecie. Tym samym jej palce zetknęły się z jedną z małych szybek, która otworzyła się niespodzianie, przez co mogła nie tylko widzieć, ale i słyszeć, co działo się na zewnątrz.

Seth Elkins szedł szybko ścieżką przez zamarznęty ogród. Ubrany był w długi płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Jednak nie chował twarzy, którą rozjaśniał szeroki uśmiech.

— Kochanie, chodź do mnie prędko, czekam tu na ciebie! — Szeroko rozwarł ramiona, jakby chciał, by Hagar dała się zamknąć w objęciach. Ona jednak, choć również się śmiała, cofnęła się o krok.

— Nie spiesz się tak, bohaterze — powiedziała. — Czyżbyś chciał zniszczyć wszystko, co dotąd wypracowałam?

Trzymała przed sobą butelkę, na której widok zatrzymał się.

— A więc zrobiłaś to, czym mi groziłaś? — powiedział powoli. Całe dotychczasowe szczęście zgasło z jego twarzy.

Hamar zrobiła jeszcze jeden krok w tył, marszcząc brwi. — Czymże ci groziłam? Obiecywałam jedynie, że obojgu nam będzie dobrze, że uczynię wszystko, aby do tego doszło. Nie powiedziałeś wówczas, że godzisz się na to? Dlaczego teraz oskarżasz mnie, która zawsze byłam ci wierna i wobec ciebie szczerą? A może porozumiałeś się w końcu ze swym ojcem i ruszysz w konkury tam, gdzie ci każe?

— Dobrze wiesz, że to kłamstwo! — powiedział gniewnie. — Ty jesteś mą miłością, jedyną miłością. Nigdzie indziej nie staram się o względy dziewczęce. Gniew ojca mego nie skieruje mnie na drogę, którą nie chcę kroczyć. Jednakże...

— Jednakże? — Hagar powtórzyła z ostrością, której Holly dotąd nie słyszała w jej głosie. — Więc jest jednak jakieś Jednakże". Czy możesz mi to wyjaśnić?

— Sama to powiedziałaś — czary.

— Czary? A cóż to może znaczyć? — wysoko podrzuciła głowę i spojrzała prosto w jego oczy. — Czyżbyś nazywał mnie wiedźmą? Jeśli tak, nie wstydź się tego, powiedz to wszem i wobec. Powiedz to wielebnemu Eamesowi i jemu podobnym.

Wyślij mnie na śmierć i patrz jak mnie wieszają, co niewątpliwie nastąpi. Nie robię nic złego. Potrafię pomóc chorym i wszystkim życzę jak najlepiej. Gdybyś potrafił przekonać o tym swego ojca, to i ode mnie mógłbyś pomoc uzyskać. Przecież obiecałam ci to: tak będzie, jak i ty chcesz będziesz, o ile nie sprzeciwisz się ojcu swemu. Nie życzę mu źle — nie jestem aż tak niemądra. Wszyscy już od dawna gadają o Tamar, która nie przestaje głupio działać, mimo że wiele razy ją ostrzegałam. Czyż mam własnymi uczynkami ją pograżać?

Mówiąc to zbliżała się do niego powoli, nie spuszczać go z oczu. Na twarzy młodego mężczyzny pojawił się dziwny wyraz, którego Holly nie mogła zrozumieć, zupełnie jakby na całym świecie widział i słyszał jedynie Hagar.

Dziewczyna trzymała butelkę w lewej ręce. Prawą wyciągnęła przed siebie, odsuwając połą płaszczą Setha i dłonią dotknęła jego piersi nad sercem. — Czy uważasz mnie za głupią, Seth? Czy wyglądam na taką, która dałaby tym, którzy nam źle życzą, dowody na to, że mają rację? Czy tak uważasz, Seth?

— Nie! — Chwycił jej dłoń. — Nie, Hagar. Kocham cię ze szczerego serca i jesteś całym moim życiem. Nie ma w tobie krzty zła!

— Zawsze o tym pamiętaj — powiedziała. — Teraz, jeśli taka twa wola, wyleję zawartość tej butelki prosto na ziemię. Chociaż ten płyn może pomóc nam w realizacji naszych planów, nie chcę abyś sądził, że kiedykolwiek źle życzyłam ludzkiej istocie!

Uwolniła się z jego uścisku, zrobiła krok w tył z prawą dłonią na korku butelki gotowa wyrwać go i zrobić to, co powiedziała.

Przez chwilę patrzył to na nią, to na butelkę. — Co w niej jest?

— Same zioła — odpowiedziała szybko.

— Więc dlaczego uważasz, że to może wpłynąć na mego ojca, zmienić jego zamiary względem nas?

— Ukoi to jego cierpienia i przez to łatwiej cię wysłucha.

Słuchaj, czy mogłabym to zrobić, gdybym wręczała ci jakąś truciznę?

Hagar wyrwała korek. Trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, jednocześnie zanurzyła mały palec drugiej ręki w ciasnej szyjce butelki, aż jego koniuszek zetknął się z zielonkawą cieczą. Kiedy go wyciągnęła, oleista kropla zwisała z opuszka. Szybkim ruchem wsadziła palec do ust i wylizała do czysta. Powoli zakorkowała buteleczkę.

— Widzisz, co zrobiłam? Czy teraz mi ufasz?

— Tak. — Wyciągnął rękę, a Hagar wręczyła mu buteleczkę.

— Jak i kiedy mogę to mu podać? — spytał.

— Wlej trzy krople do napoju, który spożywa przed snem. Tego, jaki moja dobra siostra dała mu, żeby złagodzić bóle brzucha. Rób tak przez trzy wieczory, odczekaj jeden i przez następne trzy. Sam się przekonasz, jak szybko zmięknie mu serce i będzie się do ciebie odnosił równie przyjaźnie jak wówczas, kiedy stary pan Dimsdale poprosił cię, żebyś poślubił jego zezowatą córkę, jedyną która po nim dziedziczy. Dwa razy po trzy dni, jak ci mówiłam, a będziemy mężem i żoną!

— Oby to się stało jak najszybciej! — Seth znów się uśmiechnął. Wsadził buteleczkę do kieszeni, ujął Hagar pod pachy i podrzucił, śmiejąc się głośno. Ona też się roześmiała. Potem ją pocałował.

Wyrwała się z uścisku. — Ruszaj w drogę, zuchwalcze. Niech Tamar cię nie zobaczy, bo pozazdrości mi twych zalotów. Może nam zaszkodzić. Również Patience Dimsdale wymaga bacznej uwagi. Ona potrafi długo czekać i obserwować. Nie chcemy chyba gniewać twego ojca, zanim ostatecznie przekona się do nas. Przez długi czas nie darzył mnie swą sympatią, nie ma więc sensu dorzucać drow do ognia jego niechęci. Wkrótce jednak, mój najdroższy, stanie się tak, że będziemy razem na

wieki.

— Oby jak najszybciej.

Kiedy Seth szedł w stronę lasu, Hagar stała na progu uśmiechnięta, kiwając mu dłonią za każdym razem, kiedy się odwrócił, żeby na nią spojrzeć. Gdy zniknął między drzewami, Hagar weszła do domu, a Holly, pełna wyrzutów sumienia, szybko odsunęła się od okna.

— Co ma być, to będzie — powiedziała Hagar jakby do siebie. — Jeśli ktoś zacznie pytać, cóż, wówczas moja biedna siostra będzie musiała odpowiadać. Głupia, po trzykroć głupia była i będzie na zawsze!

Jej spojrzenie padło na Holly. Skinęła głową. — Nowa lekcja, moja laleczko, choć może jeszcze nie możesz pojąć jej znaczenia. Cóż, zabawmy się teraz i zostanemy współpracownikami, bo tym właśnie przyszło nam być.

Podobnie jak niegdyś Tamar, Hagar oczyściła jeden koniec stołu. Jej ruchy były szybkie i pewne, kiedy rozstawiała talerze, przynosiła kubki, czarny chleb i miód. Tym razem jednak Holly nie czuła głodu. Dostrzegła też, że Hagar nakryła jedynie dla dwóch osób.

Zerknęła za siebie na Judy i Crocka. Ku jej zaskoczeniu zobaczyła, że stoją dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała ich ostatnio. Tkwili przy ścianie z zaskoczeniem i lękiem zastygłym na twarzach. Po raz drugi poczuła dziwne ukłucie strachu.

— Co im zrobiłaś? — spytała oskarżycielskim tonem. Hagar zajęta rozrywaniem małego bochenka chleba na porcje i układaniem ich na talerzach uśmiechnęła się lekko. — Boisz się, laleczko! — W jej głosie brzmiała troska. — Niepotrzebnie. Strach osłabia postanowienie, spowalnia myśli. Nie skrzywdziłabym nikogo z twej rodziny. Jednak oni widzą we mnie samo zło i mogliby ci zaszkodzić, ponieważ nie rozumieją, co nas łączy. Są teraz jakby we śnie. Nie będą niczego pamiętać. Wszystko wyda im się snem, niezbyt wyraźnym i pozbawionym znaczenia. Ty zaś zapamiętasz wszystko, zwłaszcza to, co musisz uczynić. Chodź tu teraz, posilimy się. Jesteśmy wszak przyjaciółkami, a przyjaciele dzielą się jadłem i napitkiem.

Holly z ociąganiem podeszła do stołu. Chwilami miała wrażenie, że przebywa w innym pokoju z inną gospodynią — przy czym nie była to ani Hagar, ani Tamar. Wówczas na chwilę ogarniał ją lęk. Zaraz potem wrażenie zniknęło, znów czuła się dobrze i była pewna, że to co Hagar mówi jest prawdą i tylko prawdą, i że wszystko ułoży się jak najlepiej.

Gdy Holly usiadła na ławie przy stole, Hagar przysunęła sobie taboret i przysiadła naprzeciw dziewczynki. Uniosła ręce i wykonała tajemny znak nad chlebem i napojem w kubeczkach.

Holly sięgnęła po kawałek chleba. Nie czuła głodu i nie miała ochoty brać go do ust. Jednak pod baczny spojrzeniem gospodyni uznała, że byłoby niegrzecznie gdyby tego nie zrobiła.

Chleb Tamar miał dziwnie cierpki posmak. Musiała szybko sięgnąć po kubek, żeby w ogóle go przełknąć. Napój w kubku nie smakował jak sok jabłkowy, lecz był bardzo kwaśny i niemal sparzył jej usta.

— Nie jestem zbyt głodna — powiedziała czując, że nie jest w stanie sięgnąć po następną porcję.

— Nie? A ja myślałam, że ściągnął cię tu pewien rodzaj głodu, laleczko. Czyżbyś nie pragnęła znaleźć tu czegoś, co pogrążyłoby twoich wrogów i pomogło spełnić marzenia? — Oczy Hagar odszukały spojrzenie Holly i przywiązały do siebie dokładnie w ten sam sposób, jak wcześniej uwięziły wzrok Seta.

Było to zupełnie takie samo uczucie, jak wtedy, gdy patrzyła w lustrzane oczy potwora na ścieżce. Holly miała wrażenie, że widzi siebie w zielonych oczach Hagar i

jej niepokój zniknął. Oczywiście, Hagar miała rację! Chciała opanować wiedzę tajemną, uzyskać moc i sprawić, żeby wszyscy pożałowali. Jeszcze nie wiedziała dokładnie, kim są owi “wszyscy”, wobec których chciała wypróbować siłę swych życzeń. Jednak nadejdzie czas, kiedy to stanie się jasne, na pewno!

— Tak, laleczko, będziesz wszystko wiedziała — Hagar skinęła głową. — Jednak taka wiedza nie pojawia się w jednej chwili. Narasta stopniowo, jak ziarno wrzucone w glebę, która jest dla niego najwłaściwsza.

— Czy naprawdę jesteś siostrą Tamar? — Holly nie była pewna, dlaczego zadała to pytanie ani dlaczego odpowiedź Hagar miałyby mieć dla niej znaczenie. Czowała jedynie, że to ważne.

— Masz wątpliwości? Dlaczego? Tylko dlatego, że ona jest pospolita, a ja piękna? — Hagar uniosła dłoń, żeby odgarnąć loki opadające na oczy. — Ponieważ ona jest starsza, a ja młoda? Mimo wszystko, to prawda. Jesteśmy z jednej rodziny. Mamy takie samo wykształcenie i moc. Teraz jednak wyjawię ci mały sekret, laleczko. — Uśmiechała się, a w jej zielonych oczach lśniły iskierki jakby wcale nie były oczami lecz klejnotami. — Tak, prawdziwy sekret — moja siostra nie jest ani tak mądra, ani tak silna jak sądzi. Bidulka. To co ona uczyni, ja mogę odwołać tak łatwo jak strzelenie palcami. — Podniosła ze stołu długą gałązkę. Złamana, trzasnęła między jej palcami głośniejsz, niż można by się spodziewać. — Co ona zbuduje, ja obracam wniwecz. Tak, laleczko, lepiej trzymaj ze mną.

— Tamar, Tamar była miła... — Holly znów nie wiedziała, dlaczego to mówi. Te słowa wywoływały wspomnienia. Przecież przyszła tu, żeby przestrzec Tamar przed niegodziwymi zamiarami Sextona Dimsdale’a. Jeżeli ci ludzie przyjdą spalić dom czarownicy, wówczas automatycznie staną się wrogami Hagar.

— Posłuchaj — Holly pochyliła się nad stołem. Musiała wreszcie przekazać swe ostrzeżenie. — Tam, skąd pochodzę, mówi się, że w noc przed Świętem Zmarłych pan Dimsdale i inni ludzie zamierzają spalić ten dom i zabić Tamar i ciebie.

Wprawdzie babcia nie wspominała o Hagar, ale jeżeli tu mieszkała, również była zagrożona.

— Tam skąd pochodzisz — powtórzyła powoli Hagar. Albo nie uwierzyła Holly, albo też inne myśli były dla niej teraz ważniejsze. — A skądże to pochodzisz, laleczko? Oczywiście, odnalazłam cię w sennym labiryncie, lecz nie znałam miejsca twego pobytu, dopóki nie skorzystałaś z uroku, który otworzył bramę między nami. Opowiedz mi teraz o swoim świecie!

Kolejny raz związała Holly swym spojrzaniem. Wydawało się, że potrafi sięgnąć wzrokiem do duszy dziewczynki.

— To chyba zupełnie inna epoka — powiedziała Holly pełna wątpliwości. — W moim świecie mamy lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku.

— Lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku — powtórzyła za nią Hagar. Odsunęła od siebie talerz, zanurzyła końce palców w płynie wypełniającym kubek i zaczęła nim kreślić linie na blacie stołu. Pochyliła nieco głowę, by móc się im lepiej przyjrzeć w ten sam badawczy sposób, w jaki patrzyła na Holly, odpowiadając na jej ostatnie pytanie. — Niech tak będzie! — powiedziała w końcu. — Inny czas. Opowiedz mi o nim.

Holly starała się ze wszystkich sił, ale nie była w stanie prawdziwie przedstawić Dimsdale takim, jakie było w jej pamięci. Przecież świat wyglądał zupełnie inaczej, jak można to opisać?

Dimsdale w ruinie, gotowe na przyjęcie wyrzutek — Hagar roześmiała się na głos. — I cóż pan Sexton na to powie? To dobry koniec dla kogoś tak dumnego jak on. Jednak ten twój świat jest zupełnie inny od mojego. Każdy to widzi. Jedynie ludzie się nie zmienili. Z nimi mogę sobie poradzić, laleczko, przy twojej pomocy

oczywiście. Jestem ci to winna. Jednak kiedy nadejdą kłopoty, Hagar tam nie będzie! Dobrze zrobiłam, wzywając cię do siebie.

— Ale Tamar... — zaczęła Holly.

— Tamar? — roześmiała się Hagar. — Czyż nie mówiłam ci, że ona także ma władzę, do pewnego stopnia. To cień władzy, jaką mogłaby mieć, gdyby tak bardzo się nie bała. Niech sama się broni, tak jak ja. Wprost nie mogę się doczekać, kiedy na własne oczy ujrzę ten twój dziwny świat, laleczko.

— Czy zamierzasz wrócić tam z nami? — Holly była zaskoczona i niepewna zarazem. Nie bardzo wiedziała, jak mogłaby pomóc Hagar w przystosowaniu się do życia w ich czasach. Podświadomie wcale nie pragnęła, aby Hagar przeniosła się do ich czasu. Hagar i Tamar były częściami czegoś, co w jej rozumieniu nie bardzo mogło być związane ze światem rzeczywistym, bezpiecznym światem stodoły, mamy i dziadka, babci, szkoły, światem, jaki Holly znała od zawsze.

— Teraz nie mogę do ciebie przyjść, laleczko. Trzeba zebrać całą moc. Czułabym się tam jednak bezpieczniej z twoją pomocą. To miło z twojej strony, że nas ostrzegłaś. Jednak możesz uczynić jeszcze więcej: zadbaj, żeby to wszystko — szerokim gestem wskazała na otoczenie — było bezpieczne.

— Jak mogę tego dokonać?

— Całkiem łatwo, laleczko. Sama ci pokażę. Dzięki swojemu charakterowi masz wszystko, co trzeba, żeby to osiągnąć.

Wdzięcznie podniosła się z taboretu. — Siedź tu spokojnie, aż zbiorę wszystko, czego ci trzeba. Słuchaj uważnie, co ci powiem. Przyszedł tu, by nas ostrzec, wyjdiesz stąd, mogąc nas ocalić.

Hagar skierowała się ku szafce w ciemniejszym końcu pomieszczenia i odsunęła ciężką zasuwę. Wewnątrz Holly dostrzegła małe słoiki i woreczki starannie umieszczone na półkach. Zdawało się, że sama Hagar nie była pewna, które będą jej potrzebne. Sięgała to po jeden woreczek, to po drugi, dotykała licznych, ważąc je w dłoni, jakby nie była pewna, co będzie najbardziej odpowiednie.

W końcu wróciła do stołu z kilkoma paczuszkami, z których jedna wyraźnie przewyższała rozmiarami pozostałe. Paczuszki były tak dobrze zapakowane, że Holly nie była w stanie rozpoznać ich zawartości. Kładąc je na stole, Hagar powtarzała ich nazwy tak, jakby spodziewała się, że wszystkie będą Holly znajome.

— Przepiękny, konopie, werbena, bylica, podejrzon, dziewanna i najmocniejszy ze wszystkich — dotknęła palcami najdłuższej paczuszki — korzeń mandragory. Trza je wszystkie wysadzić i to w miejscu, gdzie rozwiną się bez wścibskich spojrzeń. Rozumiesz?

Holly skinęła głową. Babciny ogródek w szopce. Tym razem jednak spytała: — Po co są te rośliny?

— Dla twojej korzyści, laleczko. Dopóki rosnać będą, czas pozostanie na swym miejscu. Jednocześnie twoja moc wzrastać zacznie. Podejrzon księżycowy, kiedy dojrzeje, sny twe będzie spełniał. Takie same, jak ten, który cię tu sprowadził. Kiedy przyśni ci się coś takiego, przemówię do ciebie i powiem, co masz dalej czynić, aby niebezpieczeństwo, o którym mi mówiłaś, wniwecz się obróciło. Teraz rozumiesz?

— Tak. — Rozumiała, że Hagar potrzebowała jej pomocy, jeśli ma uciec przed Sextonem Dimsdale'em. A jeżeli jej się to uda, wówczas i Tamar się uratuje. W ten sposób próbowała uspokoić swe sumienie. Dzięki temu i dom, i czarownica mogli zniknąć w dzień po odstraszeniu napastników.

Hagar pochyliła się i wyciągnęła rękę. — Zamknij oczy, laleczko! — rozkazała. Zmieszana Holly wykonała polecenie i poczuła delikatnie dotknięcie na powiekach.

— A teraz usta. — Nie otwierając oczu, dziewczynka mocno zacisnęła wargi.

— Tak ma być, jako mówię! — Usłyszała głos Hagar. — Wystarczy, laleczko. Oczy cię nie zwiodą, a usta dotrzymają tajemnicy, dopóki znów się nie spotkamy. Teraz zabierz to, co masz zasadzić i wracaj do swego świata.

Włożyła paczuski do torby zielonej jak trawa lub świeże liście i wręczyła ją Holly.

— A co z Judy, Crockiem... — spytała niepewnie.

— Nie będą nic pamiętać, jeno to, że zagubili się w labiryncie. Wyprowadź ich za rękę, a wszyscy bezpiecznie się stąd wydostaniecie. Na pewno dobrze się sprawisz, laleczko, bardzo dobrze.

Holly wepchnęła zieloną torbę za pazuchę, jednak kiedy się odwracała, Hagar znów przemówiła. — Twój krewnik, laleczko, to ty ich tu sprowadziłaś, a to co zobaczyli i usłyszeli nie było im przeznaczone. Powiedziałam, że o wszystkim zapomną i tak też się stanie jeżeli...

— Jeżeli? — Holly zeszywniała. W sposobie, w jaki Hagar wypowiedziała to słowo, było coś, co ją zupełnie zmroziło.

— Jeżeli uczynisz wszystko, co musi być zrobione, wszystko będzie w porządku, wspomnienia znikną. Ale jeśli postanowisz zignorować moje rozkazy... — Hagar powoli potrząsnęła głową. — Wówczas sama nie wiem, jakie koszmary będą ich nawiedzać. Ty, laleczko, widziałaś tu rzeczy takimi, jakimi są naprawdę, lecz twoje rodzeństwo nie miało tak jasnej wizji i widzieli rzeczy, o których lepiej nie pamiętać, które będą wracać w snach.

Holly spoglądała na Hagar, to na Judy i Crocka, na ich nieruchome twarze. Tak, rzeczywiście malował się na nich strach. Hagar miała rację — to jej wina, że tu przyszli, jej wina, że są narażeni na koszmary.

— Nigdy do tego nie dopuszczę! — Pomyślała przez moment, że częściowo była to także ich wina, ale ona dopilnuje, żeby wszystko było w porządku, udowodni im, że miała rację.

— Właśnie tak, laleczko. Pamiętaj o wszystkim, co ci mówiłam, i zrób to, co trzeba zrobić, a wówczas nie zdarzy się nic złego. — Hagar znów uniosła rękę i wykonała tajemniczy znak w powietrzu.

Holly zmrużyła oczy. Czy naprawdę zobaczyła dziwną poświatę wokół wyciągniętego palca Hagar? Zniknęła tak błyskawicznie, że dziewczynka nie była pewna, czy w ogóle się pojawiła. Przeszła przez pokój i dotknęła luźno zwisającej ręki Crocka. Była zimna jak lód, tak samo jak dłoń Judy.

Drzwi otworzyły się same. Holly przeszła przez próg, ciągnąc za sobą bliźniaki. Na zewnątrz było jeszcze bardziej ciemno i ponuro. Ciężkie chmury zwisały się tuż nad ich głowami, a przenikliwie zimny wiatr z pełną siłą uderzył w twarze dzieci. Do domu, niech znajdą się jak najszybciej w ciepłym wnętrzu, gdzie wszystko było na swoim miejscu. Crock i Judy szli za nią, a ich niewidzące oczy wpatrywały się w dal. Holly słyszała o ludziach chodzących we śnie. Czy to właśnie przytrafiło się jej rodzeństwu? Dobrze chociaż, że szli posłusznie i łatwo mogła prowadzić ich przez labirynt.

Wyszli już z ogrodu. Holly spozjrzała za siebie, sama nie wiedząc dlaczego. Drzwi domku były już szczelnie zamknięte, z komina nie wydobywała się najdrobniejsza smużka dymu, która świadczyłaby, że ktoś tam mieszka. Sam dom widziała teraz jak przez łzy, zamazany, niewyraźny kontur czegoś, co wcale nie przypominało domu — raczej ciemnego potwora obserwującego ją lustrzanymi oczami.

Przestraszyła się i ruszyła pędem przez korytarz labiryntu czując, jak mocno bije jej serce. Pośliznęła się na mokrym kamieniu i niemal upadła. Idź wolniej. Nic cię nie goni — zganiła się w myślach.

Pewnie wybierała kierunek na zakrętach, nie puszczając dłoni Judy i Crocka. Byli

już przy potworze, który wcześniej miał lusterka zamiast oczu. Tym razem nic nie lśniło na jego głowie. Dostrzegła jedynie wielkie czarne dziury. Zadrżała i przyspieszyła kroku.

Było strasznie zimno i ciemno. Jedynie pod stopami w gęstwinie roślinek zarastających ścieżkę i między wielkimi muchomorami spostrzegła małe drobinki światła. Widziała, jak się poruszają i obserwują ją — oczy! Gorąco zapragnęła, aby zniknęły, aby znalazła się daleko od labiryntu, w świecie, który potrafiła zrozumieć.

Kolejne zakręty. Łatwo o błąd, ale w głębi duszy wiedziała z całą pewnością, który kierunek wybrać. Ośmieliła się baczniej obserwować drogę i zobaczyła kontury obrzydliwych głów — szczury! Aż pisnęła ze strachu. Z całego serca nie cierpiała szczurów. Na szczęście żaden z nich nie był dość zuchwały, by wyjść na ścieżkę.

— Holly, Holly, gdzie jesteśmy? — Crock niespodziewanie szarpnął ją za rękę. — Dokąd...

Oczy chłopca straciły bezmyślny wyraz lunatyka. Rozglądał się dookoła i czuła, że się boi.

— W labiryncie.

— Musimy się stąd wydostać! — Echo odbiło jego przerażony krzyk. Okropne oczy świecące z obu stron żywoplotu zwięziły ścieżkę przed dziećmi. Holly spojrzała na dół i szybko odwróciła wzrok. Miała wrażenie, że krąg niesamowitych stworzeń i szczurów zacieśnia się wokół nich. Przecież Hagar obiecała jej...

Samo wspomnienie imienia Hagar odsunęło strach. Przecież nie ma tu niczego, co tak naprawdę mogłoby przerazić brata, od kiedy jest taki bojaźliwy? Gdyby nie ona, nie doszedłby nawet do tego miejsca. Nie mieli się czego bać, Hagar jej to obiecała.

— Chodź już — rzuciła gwałtownie. — Łatwo się stąd wydostaniemy.

Crock jednak nie zwracał na nią uwagi. Spojrzał na Judy. — Judy? Co się jej stało? — Teraz oskarżycielsko wpatrywał się w twarz starszej siostry.

— Nic takiego. Ona, ona tak jakby śpi. No dalej! Chłopiec zadrżał, ale posłusznie szedł naprzód. Nawet chwycił Judy za wolną rękę i teraz oboje z Holly ciągnęli małą do wyjścia.

— Tamar — szepnęła Judy ledwie słyszalnie. Hagar powiedziała, że nie będą niczego pamiętać, że uwierzą, że zagubili się w labiryncie. Dlatego Holly nie może powiedzieć niczego, co mogłoby wzbudzić ich podejrzenia. Gdyby tego nie zrobiła, wywołała nieszczęście. Zastanawiała się intensywnie, co powiedzieć siostrze.

— Nie znaleźliśmy Tamar. Zgubiliśmy się w labiryncie.

— Nie podoba mi się to miejsce — rozpląkała się Judy. — Chcę wrócić do domu. Nie chcę tu zostać.

— Właśnie tam idziemy — uspokajała ją Holly. — Idziemy tak szybko, jak możemy.

— Ale się zgubiliśmy. To ty nas źle prowadziłaś. Wiedziałaś, że to zła droga! — Na twarzy Judy pojawił się doskonale znany wyraz uporu. — Nie będę już szła tam, gdzie mi każesz. Będzie coraz gorzej.

— Nie, Judy. Posłuchaj mnie, pamiętam to miejsce. — Crock pierwszy wszedł w kolejne rozwidlenie ścieżki. — To musi być dobra droga.

Judy wyrwała się Holly i popędziła za nim. Przez chwilę Holly patrzyła jak się oddalają. Czuła ziąb powietrza i dziwny chłód wewnątrz. Jej siostra i brat zachowywali się, jakby nie chcieli dłużej z nią być.

No to co — odpowiedział jej jakiś głos — przecież wiesz więcej od nich. Hagar powiedziała ci przecież, że masz w sobie moc, której im brakuje. Holly nie była pewna, czym może być owa moc, ale samo myślenie o niej dodało jej sił i sprawiło, że poczuła się ważniejsza niż kiedykolwiek. Przycisnęła dłonie do piersi i wyczuła torbę schowaną pod kurtką. Zrobi, co Hagar jej kazała, zdobędzie ogromną wiedzę, a

wówczas niech no Judy i Crock ośmielą się powiedzieć, że nie ma racji! Wtedy się przekonają!

X

Drugi siew

— No, i co o tym myślicie? — Babcia musiała usłyszeć, jak wchodzili, ale nie odwróciła się od stołu. Wyprostowała się na krześle i uważnie oglądała to, co stało przed nią.

Posążek kobiety był gotowy. Była to...

Holly potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Oczywiście, to nie mogła być Tamar! Jednak posążek przedstawiał kobietę ubraną zupełnie jak ona: szeroka spódnica podpięta na bokach, aby ukazać drugą niemal tak samo obfitą, fartuch, kołnierz, koronkowy stanik i czepek zakrywający włosy. Figurka była jednak zupełnie biała, bez ożywiających kolorów.

— To przecież Tamar! — Zanim Holly zdołała ją powstrzymać, Judy podbiegła do stołu i zafascynowana przyglądała się figurce. — To na pewno ona!

Dopiero teraz babcia spojrzała na nich. — Tamar? A któż to taki? Co to za dziwaczne imię? Gdzieście je usłyszeli? Zmieszana Holly nie była w stanie wydobyć głosu z gardła, więc Crock odpowiedział pierwszy. — Judy usłyszała jakąś starą historię o Dimsdale. Podobno kiedyś mieszkała tu jakaś Tamar.

— Naprawdę? — Babcia wyglądała na szczerze zainteresowaną. — To chyba panna Sarah z biblioteki wam o tym opowiadała. No cóż, tu nic takiego nie ma, patrzcie. — Wskazała palcem na kilka słów wrytych na postumencie statuetki. — Coś takiego! — Pochyliła się lekko, żeby od—cyfrować delikatne litery nie dotykając przy tym figurki, starannie podtrzymując okulary na nosie.

— Co tam jest napisane? — Judy przysunęła się bliżej z głową do przodu. — Och, patrzcie, jest i Tomkit. Tuż przy jej stopach. Słuchajcie. — Judy powoli przeczytała wryte słowa: — “Młoda czarownica”. To kłamstwo! — krzyknęła nagle. — Tamar nie jest żadną czarownicą! Ona jest dobra!

— Judy! — Babcia powiedziała to ostrzej niż zwykle. Nigdy dotąd tak się do nich nie odzywała. — Źle zrobiłam, powtarzając wam historie, które opowiadała mi panna Elvery. To jasne. Nie ma takich rzeczy jak czarownice. One istnieją tylko w bajkach. Panna Elvery była taka stara i tyle ją spotkało nieszczęść w życiu, że, no cóż, nie potrafiła myśleć normalnie. Wiele się naczytała o dawnych czasach i bardziej żyła nimi niż rzeczywistością. Nic mi nie wiadomo o tej Tamar, ale macie natychmiast przestać wygadywać różne rzeczy o czarownicach i takich sprawach.

— Przecież powiesili czarownice w Salem — wtrącił Crock. — Sami widzieliśmy dom, w którym je sądzono. Kiedyś ludzie wierzyli w czary.

Babcia spojrzała na niego. Ton niezadowolenia w jej głosie stał się jeszcze bardziej wyraźny. — Tutaj nikt nigdy nie wieszał czarownic. — Znów spojrzała na figurkę, którą tak ładnie naprawiła, lecz nie wydawała się już zadowolona ze swego dzieła. — Ta figurka, to po prostu wymysł czyjejś wyobraźni. — Sięgnęła ręką po starą powłoczkę poduszki, gdzie zwykle trzymała skorupy, nad którymi pracowała i owinęła nią posążek. — To na sprzedaż. Jeżeli tylko pan Correy będzie chciał ją kupić, sprzedam mu ją z radością. Z gniewną miną wstała i przeniosła zapakowaną figurkę do przegrody z posklejaną porcelaną, ustawiając ją na najdalszej półce. Chyba żałowała, że w ogóle trafiła w jej ręce.

— To była Tamar — powtórzyła Judy cicho z oczami utkwionymi w stół, z którego babcia zabrała posążek. — I tam było napisane, że to czarownica! Coś złego się jej stanie, wiem na pewno!

— Na pewno nie! — Holly zdejmowała kurtkę, podtrzymując połę ręką, żeby nie

upuścić torby otrzymanej od Hagar. Judy nie miała o niczym pojęcia, to tylko dziecko. Hagar była siostrą Tamar, mimo że niezbyt ją lubiła. Dom należał także do niej. Nie pozwoliłaby, żeby stary Sexton Dimsdale go spalił. Hagar wiedziała, jak go powstrzymać.

Jednak, żeby to zrobić, potrzebowała jej pomocy. Holly musi zasiać rośliny, jakie od niej dostała. Wprawdzie nie rozumiała, jak można komuś pomóc wysiewając coś w doniczkach, ale wierzyła, że Hagar wie, co robi, inaczej nie zwróciłaby się do niej.

Judy nie odwróciła się ani nie próbowała odpowiedzieć siostrze. Holly znów miała to dziwne uczucie, jakby Judy była od niej oddzielona szklaną ścianą. Nadal widziała siostrę, nawet mogła ją dotknąć, usłyszeć, ale nie były już sobie tak bliskie jak kiedyś.

Jakie to może mieć znaczenie? Holly poczuła ogarniającą ją falę pewności. Nikt nie potrzebował Judy, lecz Hagar potrzebowała Holly. To, co ma zrobić, jest ogromnie ważne. Musi to zrobić jak najszybciej.

Babcia oglądała rozbitą porcelanę ułożoną na półkach. Judy odeszła od stołu i skierowała się ku schodom. Crock właśnie wychodził. Nikt na nią nie patrzył, nikt nie będzie węszył, jeżeli właśnie teraz weźmie się do roboty.

Holly czuła lekki dreszcz emocji. Przemknęła obok brata. Tylko jedna rzecz była w stanie zakłócić jej plan — dziadek pracujący w szopie. Crock jednak nie szedł w tę stronę. Skręcił za róg, w stronę podjazdu.

Dziewczynka przeszła obok ogołoconych rabatek, na których pozostało jedynie kilka wysuszonych łądyg, przypominających te z labiryntu. Chmury były niemal tak samo ciężkie i mroczne jak nad domkiem Hagar.

Położyła już dłoń na zasuwie drzwi do szopy, kiedy aż podskoczyła na dźwięk klaksonu. Dobiegł jaz drugiej strony domu. Czy to miało znaczyć, że dziadek jest w szopie i ktoś go wzywa? Ostrożnie otworzyła drzwi.

Nie. Na stole leżały jakieś narzędzia, a na podłodze stała stara skrzynia przywieziona z domu Elkinsów, ale dziadka tam nie było. Być może wcześniej naprawiał kufer, ale teraz szopa była zupełnie pusta.

Holly przeszła do części, gdzie w równych rzędach stały cenne rośliny babuni. Wyciągnęła torbę spod kurtki i schyliła się zaglądając pod stół. Miała szczęście — zobaczyła tam jeszcze sporo pustych doniczek. Musiała wczołgać się pod blat, żeby je wydobyć, ale udało się.

Okropne pajęczyny. Wytarła ręce o jeansy. Nie cierpiała pajaków, dostawała dreszczy na ich widok, jednak babcia nie uznawała ich zabijania. Mawiała, że zwalczają wiele szkodników i nie przeszkadzają ludziom w ich domach.

Holly musiała teraz wyjść na zewnątrz i nakopać ziemi do doniczek. To było dość ryzykowne. Okno pokoju, który dzieliła z Judy, wychodziło właśnie na tę stronę. Co będzie, jeśli Judy zobaczy, co robi? Nie było jednak innego sposobu na napełnienie doniczek.

Wyszła szybko z koszem i łopatką. Szybkie spojrzenie w stronę okna — firanka wisiała prosto. Lepiej nie brać więcej ziemi z rabatek. Trochę bała się iść pod labirynt, ale tam łatwiej wypełni koszyk i szybciej wykona zadanie.

Pracowała tak szybko jak mogła, lecz grunt był twardy, pełen korzeni traw i kamieni. Kopała energicznie, cały czas nasłuchując, czy nikt nie zjawi się w pobliżu. Klakson przestał już ryczeć, ale raz po raz wydawało się jej, że słyszy czyjś głosy. Dochodziły głównie od strony starych piwnic, które dziadek wypełniał niepotrzebnymi rupieciami. Chciał je wypełnić do końca, rozsypać na wierzchu kamienie, by teren wokół nabrał lepszego wyglądu. Tak samo było z wysadzaniem drzew: dziadek chciał, żeby Dimsdale wyglądało jak najładniej.

Któż jednak był w stanie tak urządzić śmietnik, aby wyglądał ładnie? Holly wzruszała ziemię czubkiem łopatki i rozbijała grudy. Nie wyglądało to najlepiej, ale

nie potrafiła znaleźć niczego lepszego. Może uda się jej zdobyć trochę nawozu do kwiatów sprzedawanych w sklepiku takiego, jakim mama wzmocniała fiołki alpejskie w domu. Na pewno uszlachetniłby glebę. Najważniejsze było wysianie roślin, jakie dostała od Hagar i ukrycie ich przed wścibskimi oczami. Nikt nie może się o nich dowiedzieć.

Chociaż Hagar nie powiedziała jej tego wprost, czuła, że nasiona i kłącza wyniesione z labiryntu, stanowią wielką tajemnicę. Jeżeli Crock i Judy rzeczywiście nic nie pamiętają z ostatnich odwiedzin w labiryncie, mogła czuć się bezpieczna.

Ostatnio Holly nazywała dom w labiryncie domem Hagar, choć wcześniej widziała w nim i Tamar. Coraz trudniej było jej przypomnieć sobie Tamar. Kiedy na moment przemykała oczy, natychmiast pojawiała się Hagar, widziana tak wyraźnie, jakby stała nad nią i patrzyła jak pracuje.

Wyniki jej działań były zniechęcające. Kosz wypełniały twarde grudy zmarzniętej ziemi. Może wewnątrz zmiękną wystarczająco, aby można je było rozbić i wsypać do doniczek. Była zdecydowana nawet wykorzystać któryś z młotków dziadka, żeby osiągnąć swój cel. Mimo kłopotów z kopaniem, nie przestała uważać, czy nikt jej nie obserwuje.

Wreszcie koszyk był niemal pełen. Zawlokła go do szopy. W rogu spostrzegła stos starych gazet. Dziadek rozkładał je na podłodze w czasie malowania.

Holly wzięła kilka gazet, postawiła na nich kosz i zaczęła ładować ziemię do doniczek. Być może ciepło panujące w szopie sprawiło, że niektóre grudy się rozpadły. Nawet te większe dawały się rozgnieść po chwili, kiedy energicznie uderzyła je trzonkiem łopatki. Musiała dać mniej ziemi do dwóch ostatnich doniczek, ale nie chciała kusić losu i ryzykować jeszcze jednej wyprawy pod żywoplot.

Pospiesznie wciskała nasionka. Największą donicę przeznaczyła dla kłączy. Starannie ubijała ziemię wokół nich.

Nadszedł wreszcie czas na poustawianie doniczek na półce. Poprzednio, razem z Judy, ukryły nowe między starymi, więc teraz musi zrobić tak samo. Kłopot w tym, że zostało już niewiele miejsca. Stając na palcach, zaczęła przesuwac je, gdy tylko znalazła trochę miejsca. Wreszcie pozostała jej jedynie doniczka z kłączami. Nie widziała innego sposobu, jak tylko wepchnąć ją pod stół, w nadziei, że wyrosną mimo ciemności.

Rozstawiając tak swoje doniczki, zauważyła ze zdziwieniem, że w tych ustawianych razem z Judy pojawiły się już drobne kielki. Nie wiedziała, co to za rośliny, ponieważ ich nie oznaczyły. Nie pamiętała też wszystkich nazw, których używała Tamar. Cóż to jednak mogło mieć teraz za znaczenie? Ważne były te rośliny, które ONA tu przyniosła, choć Hagar nie wyjaśniła jej, do czego się nadadzą.

Starannie wysprzątała szopę, likwidując ślady swej pracy. Bała się, że Judy mogłaby się tu kiedyś zakraść, żeby zobaczyć, czy coś już wyrosło. Również babcia mogła odwiedzić swój zimowy ogródek. Nikt nie może się domyślić, przynajmniej na razie, że Holly coś tu dostawiała. W końcu wydała; westchnienie ulgi. Zrobiła, co miała i przy pierwszej okazji dołoży nawóz. To na pewno pomoże.

Wychodząc z szopy upewniła się, że ani Crock, ani Judy jej nie widzą. Nie mieli prawa wtrącać się w jej sprawy, w sprawy pomiędzy nią a Hagar. Ostrożnie pchnęła drzwi stodoły, przygotowując w myśli odpowiedzi na pytania, którymi rodzeństwo chciałoby ją zaskoczyć.

— ...oni rozumują w taki właśnie sposób, Lute. Oczywiście nikt nie śmiałby powiedzieć, że nie robisz wszystkiego, co możliwe, żeby utrzymać tu porządek. Tyle, że pan Reuther oferuje świetną cenę. Sędzia Tanner prowadzi rozmowy z Porterem Dimsdale, który mieszka gdzieś na zachodzie. Wydaje się, że i on ma ochotę załatwić wszystko do końca. Sprawa toczy się już stanowczo zbyt długo. Wpadłem tu, żeby ci

przekazać, jak to wszystko wygląda, Lute. My zostawilibyśmy to tak, jak jest, ale ci nowi zaczynają podnosić głowy i robią zamieszanie wokół składowiska, że niby jest tak blisko ich domów i że trzeba je zlikwidować, żeby miasto lepiej wyglądało na rocznicę.

Nie myśl sobie, Lute, że ktokolwiek z nas uważa, że nie robisz tu wspaniałej roboty, bo tak przecież jest, ale więcej zrobić już nie można. To właśnie pan Reuther ma na myśli mówiąc...

— Więc — odezwała się babcia ostrym tonem — chcecie tu mieć kilka nowych ulic z jednakowymi domkami, bez drzew, bez zieleni.

— Chyba o to im chodzi. Coraz więcej ludzi chce mieszkać za miastem i trzeba znaleźć dla nich miejsce.

— Oni nie mieszkają poza miastem. — Sprzeciwiła się babcia. — O, nie. Oni po prostu zabierają swoje miasta ze sobą tam, gdzie się wprowadzają. Ile czasu nam zostało panie Bill, zanim ci nowi nas stąd wypędzą?

— Tego nie jestem w stanie ci powiedzieć, Mercy. To musi przejść przez posiedzenie rady miejskiej. Ludzie z drugiego brzegu rzeki wiele gadają. Chciałem was ostrzec, że coś się szykuje. Ja osobiście nie chcę mieć nic do czynienia z tym Reutherem. Dużo gada, ale chciałbym zobaczyć, co wyniknie z tego gadania. Kiedyś Dimsdale było wspaniałym budynkiem. Szkoda, że się spaliło. Gdyby stało jeszcze moglibyśmy zrobić z niego muzeum, tak jak ze starego domu Pigotów i jak to robią ci ludzie, co naprawiają dom Elkinsów. Ostatnio wydaje się, że ludzie wolą zburzyć wszystko, co stare, mniejsza z tym, czy to dobre, czy złe. Nic ich to nie obchodzi. No, cóż, chyba już pójdę. Dziękuję za poczęstunek, Mercy. To był wspaniały placek. Chyba wkładasz więcej serca w gotowanie niż większość kobiet, które potrafią się tylko chwalić.

— To bardzo miłe, z pana strony, panie Bill. — Głos babci nie brzmiał jednak zbyt szczęśliwie. Wyraźnie czuło się, że jest zmartwiona lub zdenerwowana.

— Czy domyśla się pan może, o czym będzie mowa na zebraniu rady miejskiej? — spytał dziadek.

— Trochę obito mi się o uszy. Ludzie gadają i gadają. Są tu tacy jak Jim Hooker i Ira Batchler, którzy dość przychylnie odnoszą się do planów tych nowych przybyszów. Jim ma warsztat samochodowy, a Ira sklep z artykułami budowlanymi. Obaj zarabiają na nowych. Te ich domki stale wymagają jakichś przeróbek, a wiecie przecież, że Ira i jego chłopcy znają się trochę na ciesielce i pracach instalacyjnych. Zawsze jest dla nich trochę roboty. Z kolei warsztat ma dwa razy większe obroty od czasu wybudowania nowego osiedla. Myślę, że ani Jim, ani Ira nie mieliby nic przeciw zostawieniu wszystkiego po staremu, ale zależy im na dodatkowych dochodach.

Moim zdaniem, źródłem kłopotów jest pani Deevers; ona i jej banda mądrali z drugiego brzegu rzeki. Usiłowała wepchnąć się do kościelnego kółka kobiet i przekonywać je, że trzeba się obudzić i zacząć działać nowocześniej. Dopiero jak pani Pigot na nią naskoczyła, trochę przycichła. Potem było zebranie rady szkolnej, gdzie usłyszeliśmy, jak bardzo zacofana jest nasza szkoła, a nasze dzieci nie dostają odpowiedniego wykształcenia. — Holly usłyszała donośny śmiech po tych słowach. — Ale nieźle się wtedy wpakowała, bo pan Peabody wyciągnął swoje zapiski i powiedział, ile stypendiów wygrały dzieciaki i ilu dostało się do dobrych szkół i na uniwersytety.

Pani Deevers próbowała nam wmówić, że szkoła jest zacofana i nie przygotowuje dzieci do nowoczesnego życia, ale nie zaszła daleko z tymi głupotami. Nasi ludzie są zbyt dumni ze swej szkoły i nieco się na nią wkurzyli. Musiała zrezygnować z tego tematu. Wpadła natomiast na pomysł akcji, którą nazwała "piękne Sussex" z okazji

trzechsetlecia miasta. Problem w tym, że ta sprawa nie jest kontrowersyjna. Ludzie nie mają większej ochoty walczyć z nią o wysypisko śmieci, a pan Reuther zaczął mówić, że mógłby kupić ten teren i zbudować go. Sami wiecie, ile mogą pieniądze, choć jego projekt mogliby kupić jedynie miejscy ludzie, co to nie widzą dalej niż czubek swego nosa. Osobiście mam chyba cholernie dobre pytanie. Zadam je na radzie, która ma się odbyć dziesiątego listopada. Mam zamiar wstać i spytać: no dobrze, przeznaczamy Dimsdale pod osiedle, a gdzie będziemy wyrzucać śmieci? Może do rowów wzdłuż szosy? Czy wtedy będzie tu ładniej? Tak przecież stało się w Norfolk. Dam im do myślenia, o ile oni w ogóle potrafią myśleć. Jeśli chcą walki, będą ją mieli. Obejdę teraz wszystkich starych mieszkańców, którzy mają coś do powiedzenia w sprawach miasta. Musiałem was ostrzec, może przedwcześnie, ale ja nie zamierzam tego zostawić!

Holly usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych i wśliznęła się do wnętrza. Babcia siedziała z rękami na stole i znad okularów wpatrywała się w dziadka.

— Luther, i co teraz się z nami stanie? — Jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż zawsze, był cichy, drżący, jak głos staruszki.

Dziadek stał przy drzwiach, jakby właśnie odprowadził do nich gościa. — Co się z nami stanie, Mercy? — Odwrócił się energicznie. Głos mu nie drżał, przeciwnie, był silny i zdecydowany. — Zrobimy dokładnie to, o czym mówił Bill Noyes — będziemy walczyć!

— Ale on sam powiedział, i to prawda, że nikogo nie obchodzi wysypisko. Można je założyć gdziekolwiek.

— Nikogo nie obchodzi wysypisko? — Głos dziadka nadal brzmiał gwałtownie. — A skąd pan Correy dostanie swe antyki? A Lem — mało zarabia na tym, co stąd naprawia? A pani Dale i jej harcerze? Skąd panna Sarah z biblioteki będzie brała te wszystkie stare książki? Czy nie mówiła, że to my znaleźliśmy najlepsze rzeczy, jakie się jej trafiły? Choćby ten dziennik Seta Elkinsa, którym się tak szczyci, kto go znalazł? Tu, Mercy, tu, na śmietniku!

Zresztą to nie tylko wysypisko śmieci. Przecież i ty, i ja wysadzamy tu masę roślin — dziadek wskazał na ścianę za plecami Holly, nawet nie dostrzegając dziewczynki — żeby tu ładnie wyglądało. Masz tu swoje zioła i różne takie rzeczy, których żadna z tych klubowych panius nigdy nie widziała. Czy nie tak mówili w zeszłym roku, kiedy panna Sarah zaprosiła cię do biblioteki, żebyś opowiedziała im o swoim ogrodzie? O, nie, Mercy, ja ci mówię, że nie uda im się ot tak sobie, zrównać Dimsdale z ziemią.

Twarz dziadka poczerwieniała, potrząsał pięścią, jakby groził domkom, które miałyby tu urosnąć niczym muchomory w labiryncie.

Jak muchomory. Holly przełknęła ślinę. A cóż obiecywała jej Hagar? Że nauczy ją spełniać życzenia. Zrobiła, co Hagar jej kazała. Teraz ona musi dotrzymać obietnicy. Holly zażyczy sobie, aby ta pani Deevers, kimkolwiek jest, przestała mieszać się w nie swoje sprawy.

Przez chwilę Holly zapomniała o swej nienawiści do śmietniska. Przecież było jej lub raczej należało do dziadka i babci, ona tylko tu mieszkała. Poczła gniew podobny do dziadkowego. Nikt nie ma prawa przejąć Dimsdale i zrównać go z ziemią spychaczami, ściąć labiryntu...

Ściąć labirynt! Gdyby to się stało, jak znajdzie Hagar i zażąda od niej dotrzymania zobowiązań? Nie, żadnych spychaczy w labiryncie!

— Kiedy zbiera się rada miejska? — spytała.

Dziadek i babcia wzdrygnęli się i rozejrzeli dookoła, kiedy wyszła z mroku za ostatnią z przegród i zbliżyła się do stołu.

— Skąd wracasz, Holly? — Dziadek zmarszczył brew. — Podstuchiwałaś nas?

— Tak. Słyszałam, co ten pan powiedział. — Holly była zbyt pewna siebie, aby

przejmować się niezadowolaniem dziadka. — Jak szybko dowiemy się, co planują?

— To nie sprawa dzieci. — Holly nie mogła nie dostrzec niezwyklej ostrości w głosie dziadka.

Babcia jednak powoli pokiwała głową. Uniosła dłoń i wepchnęła okulary na miejsce, zrobiła to jednak ruchem kobiety zmęczonej nieszczęściami, które ją spotkały, nie tak energicznie jak dotąd. — Nie da się przed nimi ukryć czegoś takiego, Luther. Tak czy siak usłyszą o tym w mieście. Jeszcze niczego nie wiemy na pewno, Holly. Dopóki się nie dowiemy, nic nie mów, nawet gdy ktoś cię zapyta. Rozumiesz? — Spojrzała na nią tak, że natychmiast zrozumiała, że to nie przelewki.

— Tak — powiedziała. Miała ogromną ochotę pocieszyć ich, żeby się nie martwili, że jeżeli zdoła jeszcze raz spotkać się z Hagar, wszystko będzie w porządku, ale nie była w stanie tego powiedzieć.

Gdyby dziś w nocy znów spała na poduszeczce, czy czar zadziała? Musi! Musi dostać się do Hagar jak najszybciej. A może — tu Holly zadrżała ze strachu — Hagar nie uczyni nic, dopóki nie urosną wysiane dziś rośliny? To może zabrać sporo czasu. Trzeba natychmiast zdobyć nawóz do kwiatów. Ma jeszcze trochę pieniędzy z kieszonkowego, powinno starczyć choć na jedną paczkę.

Chciała zaraz pobiec na górę do swego pokoju, zajrzeć do portmonetki i przeliczyć, ile zostało pieniędzy po kupnie nowego zeszytu do historii. To bardziej ją teraz interesowało niż słowa babci.

Dziadek sięgnął po płaszcz wiszący na jednej z przegród.

— Wprowadzę ciężarówkę do garażu — powiedział. — Zanosi się na niezły mróz.

Babci podskoczyła na krześle. — Mróz? A moje rośliny w szopie. Gdzie mój płaszcz i szal?

— Nie przejmuj się, Mercy. Napalę w piecu. Sama sobie z tym nie poradzisz. Ten stary piec nigdy cię nie słuchał.

Holly, która zamarła na dźwięk słowa "szopa", odprężyła się widząc, że babcia nie upiera się, żeby sprawdzić swój ogródek. Kiedy dziadek zniknął za drzwiami, skierowała się ku schodom skupiona na dwóch sprawach. Musi odnaleźć poduszeczkę, żeby skorzystać z niej w nocy i spotkać się z Hagar. Była teraz zupełnie przekonana, że właśnie ta poduszka była kluczem do labiryntu. Musi też wykorzystać pieniądze, żeby szybko kupić nawóz, który sprawi, że rośliny szybciej wzejdą.

Wchodząc do sypialni, spodziewała się zastać tam Judy, ale nie znalazła ani śladu siostry. Ruszyła prosto do pudła ze szmatkami w szafie. W chwilę później, kiedy zawartość pudełka leżała przed nią na podłodze, Holly zdała sobie sprawę z jednego — poduszeczka zniknęła. Istniało tylko jedno wyjaśnienie — Judy ją zabrała!

Oznaczało to, że o ile nie zdoła jej odzyskać, nie będzie mogła zobaczyć się z Hagar i nauczyć się spełniać życzenia.

"Musi mi ją oddać!" Holly gniewnie kopała skarby siostry, niezliczone gałganki, zbierane, żeby uszyć kołdrę, jak tylko mama będzie miała czas, żeby nauczyć ją, jak się to robi.

Kiedy Judy raz sobie czymś nabiła głowę, nie było siły, żeby ją od tego odwieść. Nie dawała się przekonać żadną perswazją, nie było siły. Zupełnie jak z tą kołdrą, o której marzyła już od roku i nic nie mogło odwieść jej od postanowienia.

Strzępy materiału rozrzucone wokół stóp Holly nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. Ważne było jedynie to, co Judy postanowiła zrobić z poduszeczką. A może ją zniszczyła?

Holly usiadła na łóżku. Jeśli Judy to zrobiła, jak zdoła kiedykolwiek dostać się do Hagar i uzyskać obiecaną moc? Jeżeli zaś to się jej nie uda, jak ocali Dimsdale?

XI

Dimsdale zagrożone

— Moje szmatki! Holly, czy to ty zrobiłaś? — Judy stanęła na progu pokoju. Rzadko można było zobaczyć ją aż tak wściekłą.

— Co zrobiłaś z poduszką? — Holly nie przejęła się wybuchem siostry.

— Moje gałganki! — powtórzyła Judy. Padła na kolana zgarniając swe skarby, wygładzając zmięte strzępki. — Holly, to najbardziej podła rzecz, jaką mogłaś mi zrobić. Jesteś wstrętna!

Dla Holly tylko jedno miało znaczenie. Chwyliła siostrę za ramiona i mocno potrząsnęła. — Musisz mi powiedzieć! Co zrobiłaś z poduszką? Tu jej nigdzie nie ma, szukałam.

Judy wyrwała się z uścisku. Wysunęła dolną wargę i spojrzała na Holly z taką nienawiścią, że starsza dziewczynka cofnęła się.

— Nie powiem ci! Od czasu, kiedy na niej spałaś, wszystko jest nie tak. Odkryłam też, że oszukiwałaś przy losowaniu. Jesteś oszustką! To Crock miał dobry los, a ty mu go porwałaś. A potem co? Zaprowadziłaś nas w tamto miejsce i przez ciebie zgubiliśmy się. Nie, Holly, to się już nie powtórzy. Dopilnujemy tego z Crokiem. Nie miałaś prawa grzebać w moich rzeczach. Spytam babcię, czy mogłabym dostać osobny pokój, gdzie nie wolno by ci było wchodzić.

— Nic nie rozumiesz — zaczęła Holly, lecz słowa utknęły w jej gardle. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że nie jest w stanie wymówić tego, co chciała powiedzieć: o życzeniach, o obietnicach Hagar, o tym, że trzeba ratować Dimsdale.

— Doskonale wiem, do jakiej podłości jesteś zdolna! — krzyknęła Judy. — Mam już tego dość. Od przyjazdu tutaj jesteś coraz gorsza. Zachowujesz się jak prawdziwa wiedźma! Dokładnie tak!

Nic nie było w stanie przemówić jej do rozsądku. Holly ledwo panowała nad sobą. Coś w niej narastało, miała ochotę uderzyć siostrę, zranić ją jakimś sposobem, zmusić do powiedzenia, gdzie ukryła poduszkę. Nagle usiadła na łóżku. Dlaczego pragnęła zranić Judy? Nigdy dotąd czegoś takiego nie czuła. Oczywiście, czasami Judy była niemożliwa, ale nigdy nie miała ochoty jej uderzyć. Co się dzieje? Holly czuła, jak ogarnia ją niewytłumaczalny lęk. Czyżby ciemna strona jej duszy zaczynała przejmować kontrolę, popychać ją do złego?

Zwinęła się w kłębek na kołdrze. Czuła się jakby jednocześnie była dwoma osobami. Jedna z nich to dawna Holly, druga to ktoś, kogo się bała. Przecież naprawdę nie powinna rozrzucać skarbów Judy. To było rzeczywiście podłe.

Sięgnęła ręką po szmatkę leżącą tuż przy łóżku, lecz Judy gniewnie wyrwała ją z jej dłoni. — Zostaw to! Zostaw w spokoju wszystkie moje rzeczy i mnie też daj spokój, Holly!

Holly usiadła. Może gdyby Judy wiedziała, co może się stać z Dimsdale... Zwilżyła wargi. Czy tym razem uda się jej wydobyć z siebie głos, czy będzie znów jak wtedy, gdy chciała powiedzieć o Hagar?

— Posłuchaj mnie, Judy — zaczęła.

Siostra odwróciła się do niej plecami pochłonięta układaniem gałganków w pudle. — Nie mam ochoty!

— Judy, to nie będzie o poduszce, tylko o Dimsdale, o tym domu, o wszystkim. Musisz mnie wysłuchać. To bardzo ważne. — Holly przez cały czas przemawiała do pleców. Dobrze, że Judy nie wyszła z pokoju i musiała ją słyszeć.

Powtórzyła siostrze wszystko, co podsłuchiwała na dole i co dziadek i babcia później

powiedzieli. Judy przestała układać szmatki. Patrzyła na Holly już bez złości na okrągłej twarzyczce.

— I co my teraz zrobimy? — spytała cicho.

— Będzie jeszcze to zebranie rady miejskiej, a wielu ludzi nie chce, żeby zlikwidowano wysypisko. Tylko ta stara pani Deevers, kimkolwiek ona jest, chce to zrobić, a jakiś pan Reuther chce kupić tę ziemię i postawić tu masę nowych domów.

— Nie da rady — powiedziała Judy z przekonaniem.

— Tamar mu nie pozwoli! Tamar nie dopuści, żeby babcia i dziadek stracili Dimsdale.

— Judy, przecież wiesz, że Tamar tu nie ma. Ona żyła dawno temu.

— Ona jest z nami, sama widziałas — stwierdziła dziewczynka. — I ona kocha Dimsdale.

Holly wpatrywała się w siostrę zdumiona. Jej spokojna pewność siebie zupełnie ją zaskoczyła.

— Tamar nie ma naprawdę... — znów zaczęła, nie wiedząc jakich słów użyć, żeby przekonać Judy. Jak można powiedzieć, że ktoś naprawdę nie istnieje, kiedy się było w jego domu, jadło jego ciasto i z nim rozmawiało?

— Nie mówię, że kiedyś tu nie żyła — poprawiła się.

— Tylko, że teraz już jej nie ma, naprawdę. Musimy cofnąć się w czasie, żeby ją spotkać.

— Ja mówię, że ona jest prawdziwa i że nam pomoże!

— Judy znów była uparta. — Upierasz się tak tylko dlatego, że kiedy to ty chciałaś nas do niej zaprowadzić, nie znalazłaś jej! Założę się, że Tamar nie chciała się z tobą zobaczyć.

Holly ze wszystkich sił pragnęła przekonać siostrę, powiedzieć jej, że i za drugim razem dotarli do serca labiryntu, ale znów nie była w stanie nic z siebie wykrztusić. Coś nie pozwalało jej na to. Wierzyła teraz, że Hagar posiada większą moc niż Tamar. Hagar mogłaby im pomóc. Jednak doskonale wiedziała, że bez poduszeczki nigdy się do niej nie dostanie, a nie było najmniejszych szans na to, żeby wydobyć z Judy informacje, gdzie ją schowała.

— Masz rację — Holly starannie dobierała słowa. — Nie dotarliśmy do Tamar, a powinniśmy. Powinniśmy jej powiedzieć o Sextonie Dimsdale i to przed dniem Wszystkich Świętych. Powinniśmy jej też powiedzieć, co się teraz może stać z Dimsdale i spytać, czy może nam pomóc.

Judy wpatrywała się w siostrę w zamyśleniu. — Może masz rację. — Nie była jednak do końca przekonana. — Jeszcze się zastanowię. Tym razem nie będzie już żadnych oszustw!

— Tak. — Holly była gotowa wszystko obiecać. Wiedziała też, że gdyby udało się jej odnaleźć poduszkę, a była pewna, że nie ma jej w ich pokoju, nie dotrzyma słowa i spróbuje dostać się do Hagar.

Kiedy zeszły na kolację ani dziadek, ani babcia nic nie mówili o swym popołudniowym gościu. Rozmawiali o przyszłości tak, jakby mieli na zawsze pozostać w stodole i nic nie miało się zdarzyć.

— Myśleliście już o przebraniach na balik? — spytał dziadek, gdy babcia zaczęła zbierać puste talerze. — Wiecie chyba, że jest konkurs na najlepszy strój?

— Ja już wiem — oznajmił Crock. — Będę robotem. Wezmę trochę tej ciężkiej folii i zrobię z niej kombinezon. Tak, jak na tym obrazku, patrzcie. — Wyciągnął z kieszeni portfel, który dostał na gwiazdkę i podał dziadkowi wycięte z gazety zdjęcie. Dziadek dokładnie obejrzał każdy szczegół.

— Robot, aha — powiedział. — Jedna z tych chodzących maszyn, które kiedyś będą za nas pracować. Niezbyt to piękne.

— Ale będę mógł zrobić taki kombinezon z tej folii, prawda? — denerwował się chłopiec.

— Chyba trzeba będzie wziąć coś mocniejszego niż folia — powiedział dziadek. — Coś znajdziemy. Jutro poszukamy. A wy? — spojrzął na dziewczynki.

Jakie to może mieć znaczenie, pomyślała Holly. Nawet nie miała ochoty iść na ten bal, ale wiedziała, że nie zdoła się wykręcić. Może się przebrać za jakiś śmieć.

O ile Holly nadal nie mogła się zdecydować, Judy nie zamierzała rezygnować ze swego planu. — Przebiorę się za kota, takiego jak Tomkit, nie czarnego, a szarego — oznajmiła tak pewnie, jakby z góry wykluczyła wszelką możliwość dyskusji.

— Za kota, hmm... — Babcia spojrzała na Judy, a potem na Tomkita siedzącego przy palenisku i starannie myjącego tylną łapę. — Na tę noc, czarny kot wydaje się bardziej odpowiedni...

— Taki jak Tomkit — upierała się Judy. — Holly mówi, że to zbyt trudne, ale jestem pewna, babciu, że ty to potrafisz.

— Szary... szary. — Babcia myślała nad czymś intensywnie. — Właśnie mi się przypomniało: ten stary koc, taki włochaty. Trzeba go tylko przefarbować. W sklepiku mają kocie maski. Widziałam je, kiedy byłam tam ostatnio, tyle że były czarne, nie szare.

— Może da się przemalować — rzuciła Judy.

— Nie jestem pewna, ale spróbujmy. Musicie pamiętać, że będzie zimno. Stroje muszą być obszerne, żeby dało się pod spód włożyć jakieś swetry i spodnie. Inaczej zmarzniecie na śmierć. A ty co włożysz, Holly?

Nie wiadomo, jak i skąd pojawiała się ta nagła myśl, ale Holly nie wahała się ani chwili. — Będę murzyńską księżniczką. — To nie powinno być zbyt trudne. Miała przecież dejalbę, którą mama uszyła ze wspaniale kolorowej tkaniny znalezionej w sklepie z resztkami. Wyglądała jakby pochodziła z samej Afryki czy innego równie egzotycznego miejsca. Wiedziała też, co zrobi z włosami. Coś, czego pragnęła od dawien dawna, lecz mama stale powtarzała, że jeszcze do tego nie dorosła. W końcu to były JEJ włosy i sama zdecyduje, co z nimi zrobić. W domu nieraz przyglądała się Evie Lee Paterson, która układała sobie fryzurę. Kupi tylko duże koła do uszu i długie, paciorkowe naszyjniki.

Babcia skinęła głową z aprobatą. — To dobrze, Holly. Nie mamy zbyt wiele czasu, a będę musiała trochę pogłównkować nad kostiumem dla Judy. Jutro i tak będę musiała pojechać do miasta, Luther. Pani Jeffries zamówiła specjalne świece dla swej córki i mam parę sprawunków do zrobienia. Kiedy będziesz zawoził panu Correyowi stoliczek, zabierzesz i nas. Taki stolik nie zajmie wiele miejsca, więc na pewno się zmieścimy. Koło południa odbierzesz nas spod Emporium. Co ty na to?

— A dacie radę kupić wszystko do południa? — roześmiał się dziadek. — W porządku, to się chyba da zrobić.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, babcia wyciągnęła stare gazety i zaczęła przycinać je do sylwetki Judy, żeby zrobić wykrój kociego stroju. Dziadek z Crockiem krążyli między przegrodami, przekładając różne rzeczy. Holly przysiadła na siedzisku obok kominka i patrzyła w ogień. Próbowwała zwabić do siebie Tomkita, lecz ten ignorował ją i nie ruszał się ze swego miejsca i również nie odrywał oczu od płomieni.

Odłożywszy wreszcie przycięte gazety, babcia podeszła do wielkiej skrzyni pod ścianą i wyciągnęła z niej dziwnie wyglądający koc (o ile w ogóle można go było tak nazwać) z długimi włosami po jednej stronie, przypominający sztuczne futro, z którego robi się teraz dywaniki pod łóżko.

— Moher — powiedziała. Rozwinęła go i zaczęła przykładać gazetowe wykroje tak, żeby jak najmniej tkaniny poszło na ścinki. Koc był żółtawy z dużą plamą na

samym środku.

— Powinnyśmy go najpierw przefarbować i zobaczyć, czy ta plama zniknie — zwróciła się do Judy. — Musisz też poszukać jakiegoś drutu, czy czegoś takiego, żeby usztywnić trochę ogon.

— Wiedziałam, że potrafisz to zrobić! — Oczy dziewczynki lśniły radością. Mocno uściskała babcie.

— Dziecko, to jeszcze nie jest gotowe — uśmiechnęła się kobieta. — Ale jeśli to się da zrobić, to na pewno będziesz ślicznym kotem.

Holly czuła się nieco osamotniona. Nie było to zbyt miłe uczucie. Jak wszyscy mogą tak się przejmować jakąś głupią zabawą i zachowywać, jakby przygotowywanie kostiumów miało jakieś znaczenie. Przecież o wiele ważniejsze było ratowanie domu i zwalczanie takich ludzi jak ta pani Deevers, która nieustannie szukała dziury w całym. Kiedy tylko będzie mogła spełniać swoje życzenia, weźmie się za tą Deevers sama. Jej myśli budowały niewidzialną ścianę między nią a resztą mieszkańców stodoły. Czyżby tylko ją obchodził los Dimsdale, tylko ona chciała coś zrobić? Gdyby udało się jej przekonać Judy, jak ważne jest ponowne dotarcie do Hagar! Jednak, kiedy nie może mówić o Hagar, nie pozostaje jej nic innego, jak wykorzystać Tamar. Musi wmawiać Judy, że trzeba ją ostrzec jeszcze przed świętem i w ten sposób dowiedzieć się, gdzie ukryła poduszkę.

Poczuła się lepiej ustalwszy ten plan. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Judy da się przekonać, kiedy uwierzy, że chodzi o dobro Tamar.

Teraz musiała czekać, aż będą same. Nudziło ją przyglądanie się krzątaniu pozostałych. Wszyscy byli tak zajęci swymi nieważnymi sprawami. Nawet Tomkit nie zwracał na nią uwagi. Była zupełnie sama. Mogłaby zastanowić się nad jutrzejszymi zakupami w miasteczku, gdyby wiedziała, ile ma pieniędzy. Z powodu awantury z Judy zapomniała sprawdzić, ile zostało jej z kieszonkowego.

Na gorze panował chłód. Przed spaniem babcia ogrzewała ich łóżka gorącymi kamieniami i mówiła, że wkrótce przeniosą się na dół. Oczyszczy się kilka przegródek i zamieni na sypialnie. Holly wiedziała też, że nie powinna zapalać świecy stojącej na wszelki wypadek przy łóżkach: babcia nie raz przestrzegała ich przed pożarem.

— To już chyba wszystko na dzisiaj, dziecino — babcia zwróciła się do Judy, kiedy wycięły ostatni fragment. — Kiedy jutro wrócimy z miasta, przygotowuję kociołek farby i wykapiemy w niej ten koc. Na pewno się trochę skurczy po wysuszeniu, ale jestem pewna, że dostaniemy to, o co nam chodziło. Czas ucieka, lepiej się położyć.

Judy nieustannie paplała o kostiumie i o tym, czy uda się im kupić odpowiednią maskę. Holly powstrzymywała własną niecierpliwość i pozwalała siostrze się wygadać. Jeśliby znów zraziła ją do siebie, jej plan spaliłby się na panewce. Otworzyła nawet jedną walizkę z letnimi rzeczami, żeby znaleźć dejalbę. W świetle lampy naftowej jej kolory wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe. Pierwszy raz poczuła zainteresowanie własnym strojem, choć trudno byłoby powiedzieć, że cieszy ją myśl o zabawie.

Nie była pewna, kiedy sprowadzić rozmowę na temat wizyty u Tamar, ale i tak tego wieczoru nie miała okazji. Kiedy znalazła się w łóżku, poczuła się tak zmęczona, jakby wszystkie nieszczęścia tego dnia zwały się na nią w jednej chwili i przygniotły swym ciężarem. Zasnęła momentalnie.

Następnego ranka było dużo pracy. Po śniadaniu musieli posprzątać mieszkalną część domu, a babcia nie stosowała przy tym żadnej taryfy ulgowej. Na końcu wyciągnęła naprawioną statuetkę.

— Trochę dziwnie się czuję, patrząc na nią — powiedziała, pakując posążek do kartonu i upychając wokół szmatki i siano. — Na samym początku, kiedy nad nią pracowałam, podobała mi się. Teraz nie. Po prostu zawiozę ją panu Correyowi i niech

z nią robi, co mu się żywnie podoba! — Zamknęła wieko. — Zobaczmy teraz, czy wszystko zabraliśmy: świece, słoje z zaprawami dla pani Pigot, tak, to chyba wszystko.

Dzieci były już ubrane i gotowe do wyjazdu. Babcia założyła płaszcz z futrzanym kołnierzem, który szczelnie otulał jej szyję, i wełnianą czapkę.

— Wiem, że to niemodne — oznajmiła, zawiązując tasiemki pod brodą — ale mam bardzo wrażliwe uszy. Lepiej nie marznąć, niż ładnie wyglądać!

Holly i Crock sami zgłosili się do jazdy na pace. Holly zobowiązała się pilnować kartonu z figurką, natomiast jej brat zajął się skrzynką ze słojami. Oparli się plecami o stolik, który dziadek zamocował liną i dali się okryć plandeką, żeby ochroniła ich przed wiatrem.

Holly była szczęśliwa, kiedy wreszcie dotarli do miasteczka. Nie zatrzymali się przy sklepie pani Pigot (babcia zdecydowała podrzucić jej zaprawy w drodze powrotnej), lecz przejechali główną ulicą pod niewielki domek, który w dawnych czasach był kuźnią i stacją wymiany koni. Dziś mieścił się tam sklepik pana Correya, który wyszedł na zewnątrz zobaczywszy ciężarówkę dziadka.

Pan Correy był wysokim mężczyzną, dużo większym od dziadka i wcale nie wyglądał na handlarza antykami. Według Holly bardziej przypominał rolnika lub drwala z pobliskiej poręby. Często widywała drwali przejeżdżających przez miasto.

— Witajcie! Luther, Mercy! — Jego potężny głos doskonale pasował do sylwetki. — Dobrze, że przyjechaliście, nie będę musiał jechać z zamówieniem dla ciebie, Mercy. Tu mam wszystko zapisane: pełen zestaw świec dla Livingstone'ów. Kupili je latem i napisali mi, że chcą więcej. Wchodźcie do środka, proszę.

Kiedy mężczyźni zdejmowali stolik z ciężarówki, babcia z dziewczynkami weszły do sklepu. Holly bała się w nim poruszać — tyle tu było różnych rzeczy, które musiały kosztować majątek. Wszędzie stały porcelanowe figurki i wazoniki. Pomieszczenie było jeszcze bardziej zatłoczone niż dom Tamar.

Babcia sama wniosła karton ze statuetką. Gdy pan Correy podszedł do biurka na końcu pokoju, zdjęła pokrywę.

— Pokaż mi ten skarb, Mercy. Cóż to takiego?

— Wyrzucili to z domu Elkinsów — powiedziała, wyjmując figurkę z pudełka. — Myślałam nawet, że to może robota Rogersa, ale sama nie wiem. Była mocno potłuczona, ale udało mi się ją jakoś posklejać.

— Z twoich rąk, Mercy, wychodzą najpiękniejsze cudenka. Postaw to tutaj — odsunął stos papierów, żeby zrobić miejsce dla "Młodej wiedźmy".

— Proszę bardzo — babcia zdjęła ostatnie źdźbło trawy z figurki.

Pan Correy stał i przyglądał się statuetce przez lekko zmrużone powieki. — Jeżeli to Rogers — powiedział powoli — to dla mnie coś nowego. Być może ktoś inny spróbował swoich sił w jakimś nieznanym dotąd rodzaju rzeźby ludowej. "Młoda wiedźma". Wiesz, Mercy, ta twarz, to mógł być nawet portret.

Podniósł statuetkę i delikatnie badał ją palcami. — Świetna robota, Mercy. Zresztą jak zawsze. Wiesz, co ci powiem? Zbliża się Święto Zmarłych, jak zawsze będę zmieniał wystawę. Postawimy tę czarownicę w samym środku. Oddasz mi ją w komis?

Dziadek pokiwał głową. — Pan się zna na swoim fachu, panie Correy. Prawdę mówiąc, chętnie się jej pozbędziemy.

— Dlaczego?

— Trudno powiedzieć. Coś w niej jest takiego. Coś, jakbym starał się przypomnieć sobie o czymś, co powinienem pamiętać, ale nie mogę sobie przypomnieć. Nie będziemy jednak tracić dnia na czcze gadanie. Niech mi pan da tę listę zamówień na świece i jedziemy. Musimy jeszcze zrobić zakupy.

— Proszę bardzo — powiedział pan Correy. Przerzucił kilka kartek. — Oto ona. Chcieliby je dostać przed Świętem Dziękczynienia.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinni je dostać na czas. — Babcia zawahała się. — Czy słyszał pan coś o spotkaniu rady miejskiej, panie Correy? Podobno mówi się, że Dimsdale komuś w czymś przeszkadza i trzeba się go pozbyć?

Skrzywił się. — Słyszałem o tym. Jeszcze im pokażemy, nie martw się, Mercy. Przygotujemy taką odpowiedź, że ta cała Deevers będzie musiała zastanowić się nad sobą.

— To dobrze, panie Correy. Oczywiście nie wiadomo, skąd idzie burza, dopóki w nas nie uderzy, ale bez względu na wszystko, zrobię panu te świece.

Sklepek z drobiazgami był na drugim końcu ulicy Głównej, w tej części miasta, gdzie stały nieco nowsze budynki, drogeria, restauracja i kilka innych sklepów. Wszystkie miały nowoczesne neony, które wyglądały nieco zbyt jaskrawie i kiczowato. Jedyne krótki odcinek ulicy przylegał do parku z jego dwoma pomnikami: żołnierza Północy i wojownika Unii, którzy stali naprzeciw siebie rozdzieleni piramidą kul armatnich i działem, które mogło kiedyś do nich strzelać. Domy otaczające park były duże i stare, w większości pomalowane na biało i z białymi płótkami na froncie. W narożnikach stały dwa kościoły i wielki budynek, do którego skierowała się babcia. Była to dawna gospoda, niemal dwustuletnia i tam właśnie mieli zostawić pudełko świec niesione przez Crocka.

XII

Zły urok

Holly siedziała przed otwartym zeszytem, który przeznaczyła na pracę z historii, lecz przez dobrych dziesięć minut nie dodała ani słowa do napisanych już linijek. Dotąd napisała wszystko, co o Dimsdale pamiętali babcia i dziadek z czasów, kiedy żyła jeszcze panna Elvery, a oni przyjechali tu zaopiekować się upadającym majątkiem.

— Wszystko tu było tak zaniedbane, że komuś, kto nie widział tego na własne oczy, trudno w ogóle uwierzyć — powiedział dziadek. — Panna Elvery była damą i nie przywykła do ciężkiej pracy. Miała przy sobie kilka dziewcząt. Dziewcząt? Kiedy do niej przyjechałem, były to już starsze panie, ale nie miały gdzie się podziać, więc panna Elvery trzymała je tutaj. Jedna z nich, Emma Watkins, nie wstawiała już z łóżka, a panna Elvery opiekowała się nią jak najbliższa krewna.

Inna, Liza Peabody kręciła się po domu i starała się jak mogła, ale to nie było wiele, uwierz mi. Jeśli zaś chodzi o otoczenie, to na przykład trawniki zarosły jak dżungla ze zdjęć w "National Geographic" i trzeba było wycinać w nich ścieżki. Od śmierci ojca panny Elvery nikt się nimi nie zajmował.

Mercy i ja właśnie się pobraliśmy i szukaliśmy dla siebie miejsca. Było z tym wiele kłopotów. W tamtych czasach czarni nie byli mile widziani w miastach. Lepiej było trzymać się swoich. Ale panna Elvery skądś o nas usłyszała i przyjechała po nas rozpadającą się bryczką zaprzęzoną w jednego konia. Zaproponowała nam mieszkanie w dawnej stodole bez żadnych opłat i działkę, gdzie moglibyśmy uprawiać swoje rośliny.

Ja wtedy pracowałem przy budowie dróg, zarabiałem, więc mając darmowe mieszkanie i ogródek, wiedziałem, że nie może nam być źle. Kiedy jednak zobaczyłem cały ten bałagan i pannę Elvery, która nigdy nikomu się na nic nie skarżyła, rzuciłem pracę i starałem się ze wszystkich sił odbudować tę posiadłość dla niej.

Panna Elvery zaczęła nas uczyć różnych rzeczy. Uczyła babcie rozpoznawania ziół. Sama miała cały ogród, ale tylko letni. Zawsze powtarzała, że najlepiej można się nauczyć zielarstwa, kiedy samemu zacznie się zioła uprawiać. Pożyczała nam książki, uczyła Mercy szyć i wielu innych rzeczy. Traktowała nas jak przyjaciół i sąsiadów. Emma zmarła podczas pierwszej zimy, jaką tu spędziliśmy. Przynajmniej przestała się męczyć, biedaczka. Potem Liza dostała wylewu. Upadła w kuchni i przeżyła tylko dobę.

Wtedy babcia przejęła wszelkie prace w domu. Był za duży dla panny Elvery, więc kazała zamknąć wiele pokoi. Miała sypialnię tuż nad kuchnią. Używała jej jako saloniku i jadalni i nie obchodziła ją reszta domu z wyjątkiem biblioteki. Kochała czytać. Czytała te same książki wiele razy. Opowiadała mi o ich bohaterach tak, jakby żyli naprawdę i to w jej własnym domu. Mogła godzinami rozprawiać o ich problemach i radościach.

Czasami oprowadzała mnie po pokojach i opowiadała o dawnych wydarzeniach. To było tak zajmujące jak czytanie książek. Szkoda, że wszystko się spaliło. Miała tam lepsze rzeczy niż w muzeum panny Sarah. Później nabawiła się reumatyzmu i jesienią i zimą większość czasu spędzała w łóżku. Cały czas jednak zachowała żywy umysł, czytała i wyszywała. Jej wyszywanki także spłonęły. Były śliczne jak obrazki. Nikomu nie pozwalała ich dotykać.

Dorabiałem sobie przy drogach lub u okolicznych farmerów, a potem pracowałem

w ogrodzie. Sami uprawialiśmy to, co jedliśmy, prócz mięsa. Kiedy w okolicy ktoś szlachtował świniaka czy krowę, pomagałem przy pracy i wynagradzano mnie wyrobami. Panna Elvery nie miała w ogóle pieniędzy, chyba że udało się jej sprzedać coś z wyposażenia domu. Wiedziała, że letnicy interesują się starymi rzeczami, ale nie sprzedawała niczego, dopóki bieda jej nie przycisnęła. Zresztą większość pieniędzy wydawała na pomoc innym.

Zawsze martwiła się o podatki, ale jakoś udawało się jej wszystko płacić na czas. Staraliśmy się jej pomóc. Przecież pozwalała nam mieszkać w stodole. Później, coraz bardziej traciła poczucie czasu. Reumatyzm mniej jej dokuczał i wydawało się jej, że czas się cofnął, że jest umówiona na herbatkę czy inne przyjęcia. Wieczorami włóczyła się po domu, jakby czegoś szukała. Nigdy jednak nie powiedziała nikomu, o co jej chodzi. Wtedy właśnie musiała gdzieś upaść ze świecą. Na szczęście akurat szedłem do niej sprawdzić, czy wszystko w porządku, kiedy zobaczyłem płomienie. Udało mi się wydostać ją z płonącego domu.

Przynieśliśmy ją tutaj. Domu nie dało się już uratować. Straż pożarna była zbyt daleko. Nie mieliśmy telefonu i nie mogliśmy ich wezwać. Pobiegłem do rozstaju dróg, gdzie mieszkali Wilsonowie. Wezwali doktora i przywieźli go do nas. Do tego czasu dom spalił się zupełnie. Doktor powiedział, że panna Elvery ma słabe serce. Chociaż żyła jeszcze trochę, nic do niej nie docierało i po prostu zasnęła na zawsze. To była dobra kobieta.

Babcia milczała przez cały czas, kiedy dziadek snuł wspomnienia. Kiedy skończył, dodała. — Pamiętaj, Holly, abyś o niej napisała. To była naprawdę wspaniała pani i zawsze troszczyła się o innych. Może ludzie już o tym zapomnieli, ale ja nie i nigdy nie zapomnę.

— Potem przyjechał jakiś prawnik. Nie zostawiła testamentu, a jeśli nawet, to spłonął z domem. Miał jednak dokument, który mu przekazała dawno temu z nazwiskami jakichś krewnych, którzy przed laty wyjechali na zachód, zaraz po wojnie domowej. Powiedział, że postara się ich odszukać. My mieliśmy papiery, jakie dała nam, gdy tylko tu zamieszkaliśmy. Pokazaliśmy je temu prawnikowi i szeryfowi Haynesowi. Chciała, żebyśmy opiekowali się posiadłością.

Zebrali się i powiedzieli nam, że możemy tu mieszkać i wtedy pojawił się pomysł urządzenia tu składowiska śmieci. Firma wywozowa zleciła Lutherowi organizację. Jednak w starych papierach posiadłości coś było nie tak — nie można było jej sprzedać czy kupić, aż ten problem nie zostanie rozwiązany. Wydaje się, że aż do teraz — babcia zrobiła dłuższą pauzę — nikomu na tym nie zależało.

Zadając pytania, Holly dowiedziała się, jak właściwie wyglądała posiadłość Dimsdale i teraz próbowała ją narysować, korzystając z pomocy babci. Mogła też wyobrazić sobie ogród.

Jednak, gdy tylko wspomniała o labiryncie, napotkała na zdecydowany opór babci. — Nie wolno o tym mówić — zdecydowała babcia. — To przynosi pecha. Nawet panna Elvery, kiedy tylko tu przyjechaliśmy, ostrzegła Luthera, żeby nie próbował go przycinać. Oczywiście zastanawialiśmy się czasem, dlaczego nie pozwoliła go ruszać, był taki stary, zarosnięty i, być może, pełen węży, ale ona się go po prostu bała. Czasami, kiedy byliśmy same, mówiła mi o tym. Chyba wydawało się jej, że wszelkie nieszczęścia wywodzą się właśnie z niego. Mówiłam ci już przecież, że ona wierzyła, że jej rodzina jest przeklęta i że zło wychodziło właśnie z tego labiryntu.

— Może mieszkała tam jakaś wiedźma. — Te słowa wyrwały się z ust Holly wbrew jej woli.

Babcia spojrzała na nią z nieukrywaną złością. — Tu nigdy nie było żadnej czarownicy! Mieszkała tu dziewczyna, którą stary Sexton Dimsdale chciał wypędzić, żeby przejąć ziemię i dom. W tamtych czasach łatwo było oskarżyć kogoś o czary i

sprawić mu masę kłopotów. Czytałam książkę o tym, co wydarzyło się w Salem. Mówili bzdury o dobrych ludziach, którzy nigdy nikogo nie skrzywdzili, a potem nawet ich wieszano. Łatwo kłamać na temat ludzi, którzy są inni, niepodobni do pozostałych. Jako czarni powinniśmy o tym zawsze pamiętać. Panna Elvery była zbyt mocno pogrążona w starych książkach i w historii swego domu. Wierzyła bezkrytycznie w stare bajania. Każdemu zdarzają się nieszczęścia i to wcale nie znaczy, że ktoś je na nas zesłał, a zwłaszcza przez czary. Sami na siebie ściągamy większość kłopotów, bo mamy złe myśli albo nienawiść w sercach.

Holly skuliła się w sobie. Kiedyś mieszkała tu wiedźma, przecież były tu i Tamar, i Hagar. Obie mieszkały w labiryncie. Jednak nie mogła tego powiedzieć babci. Kiedy już spisała wszystko, co powiedzieli jej dziadkowie, kiedy pokazano jej to, co kiedyś było ogrodem Dimsdale, nadal czuła pewien niedosyt. Teraz musiała dostać się do miejskiej biblioteki, spotkać się z panną Noyes i spytać ją o dziennik Elkinsów. Jak jednak ma to zrobić? Nie poszli tam w sobotę, kiedy wybrali się na zakupy. Nie mogła tam pójść po lekcjach, bo nie zdążyłaby na szkolny autobus. Gryzła końcówkę długopisu i kolejny raz czytała to, co zapisała.

Niewiele tam było o czarownicach, nie licząc opowieści panny Elvery. No, chyba żeby opisała swe przeżycia z labiryntu, ale wówczas nikt by jej nie uwierzył. Nie była też w stanie nakłonić Judy, żeby jej powiedziała, gdzie schowała poduszkę. Ostatnio Judy spędzała większość czasu z babcią, wypytyując ją o zioła, sposoby ich uprawy i przeznaczenie. Jej notatnik pękał od zapisków. Crock natomiast twardo trzymał się dziadka. Czasami Holly tak się tym wszystkim denerwowała, że miała ochotę zacząć rzucać czym popadnie, krzyczeć i tupać ze złości. Wiedziała jednak, że w ten sposób nie zdobędzie poduszczyki, a jedynie zwróci na siebie uwagę. Niechętnie postanowiła, że musi pozwolić, aby Judy była przekonana, że siostra porzuciła myśl o odzyskaniu poduszki. Tylko w ten sposób mogłaby dowiedzieć się, gdzie Judy ją schowała.

Jeszcze nigdy w życiu cierpliwość Holly nie była narażona na taką próbę. Zazwyczaj, kiedy chciała coś osiągnąć, musiała to mieć natychmiast. Tym razem jednak nie było innego wyjścia. Sięgnęła po książkę wypożyczoną ze szkolnej biblioteki. Nie była to książka historyczna tylko powieść o czarownicach z Salem i czytała ją z uwagą. To były zwyczajne dziewczynki, podobne do niej i to one właśnie zaczęły całą sprawę, oskarżając ludzi o rzucanie na nie uroków. Nie czuła się dobrze podczas lektury, ale przeczytała ją do ostatniej strony.

Tamto zdarzyło się w Salem. Tu zaś było Sussex. Jednak w samym Dimsdale doszło do polowania na czarownice. Gdyby tylko udało się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat!

Wpatrywała się bezmyślnie w otwarty zeszyt, kiedy nagle uświadomiła sobie, że Judy stoi obok.

— Holly! — Judy nie traktowała już jej jak wroga. Jednak nie mówiła jej wszystkiego tak jak dawniej. — Holly, dzieje się coś złego.

Była podniecona i niespokojna. Miała na sobie kurtkę i czapkę więc musiała właśnie wejść do domu.

— Coś złego? Gdzie? — Zamknęła zeszyt z trzaskiem.

— W zimowym ogródku babci. Holly, to naprawdę coś złego!

Holly siedziała bez ruchu. Wcześniej zdobyła nawóz kwiatowy, wsypała go do doniczek z nasionami i kłęczami otrzymanymi od Hagar. Raz po raz chodziła je podlewać. Dotąd jednak nie dostrzegła żadnych oznak budzącego się życia. Obawiała się, że jeżeli nie wejdą, nie będzie mogła nic wytargować od Hagar.

Nie miała odwagi wypytywać Judy o szczegóły jej rewelacji. Sama musi to zobaczyć. Trzeba się ubrać i iść za młodszą siostrą.

W drodze do szopy Judy starała się wszystko wyjaśnić. — Babcia pozwoliła mi

podlewać donice. Powiedziała, że w ten sposób lepiej poznam rośliny. Musiałam jednak coś zepsuć! — Judy była bliska łez. — One wszystkie umierają! Żółkną i dziwnie wyglądają, jakby były chore. Czy rośliny chorują, Holly?

Holly była naprawdę przerażona. Jeżeli rośliny Hagar powymierają, jak ją przekona, żeby obdarzyła ją mocą? Co Judy z nimi zrobiła?

Kiedy spytała ją o to, siostra jedynie potrząsnęła głową. Łzy spływały po jej pyzaty policzkach i nawet nie próbowała zetrzeć ich rękawiczkami. — Zupełnie nic nie robiłam. Jedynie podlewałam je ostrożnie tak, jak kazała babcia. To prawda, Holly.

Gdy dotarli do półek z doniczkami w szopie, uderzył je silny, niemiły zapach. Holly zmarszczyła nos. Przypominało to nieco woń wydobywającą się z pojemnika na śmieci w gorący letni dzień. Patrzyła na przywiedle rośliny: żółte i rzeczywiście wyglądające na chore.

— Rośliny Tamar dopiero zaczęły wschodzić. — Szlochała Judy. — Teraz i one umierają. Babcia pomyśli, że coś zepsułam, a ja tego przecież nie zrobiłam. Tylko je podlewałam, dokładnie tak jak mi kazała. Powiedz mi Holly, co się z nimi stało?

Holly prawie jej nie słyszała. Przesuwała doniczki z więdnącymi ziołami w poszukiwaniu tych, które sama tu ustawiła. Tak, w niektórych pojawiły się już pierwsze kiełki. Wcale nie wyglądały na chore. Sterczały w górę prosto i zdrowo. Odetchnęła z ulgą. Na razie mogła czuć się bezpieczna.

— A to co? — Judy przysunęła się bliżej niej. — Na co patrzysz?

Bezmyślnie odpowiedziała. — To te, które ja zasadziłam. Są w porządku. A co z resztą? — Odepchnęła siostrę, szukając następnej doniczki i jeszcze jednej. We wszystkich dostrzegała zdrowe i silne roślinki.

— Ty zasadziłaś? Holly, o czym ty mówisz? To ja wysiałam nasiona od Tamar. Dobrze pamiętam, ponieważ robiłam wszystko dokładnie tak, jak mi kazała. Skąd dostałaś inne nasiona?

Holly przykucnęła i zajrzała pod stół, szukając większej donicy, gdzie zasadziła kłącze. Wyrastał z niej pęd niemal tak duży jak jej palec.

— Holly. — Poczula jak Judy szczypie ją w ramię. Szarpnęła się i opadła na pupę przy stole. — Pytam cię przecież — skąd masz te rośliny? Kto ci je dał?

Nie zastanawiając się, odpowiedziała: — Hagar. Popatrz, Judy, rosną jak należy. Powiedziała, że jeśli wyrosną zdrowe, będę mogła spełniać swoje życzenia! Będę mogła pozbyć się tej pani Deevers i wszystkich, którzy chcą zniszczyć Dimsdale.

Judy już nie płakała. Jej twarz zamarła w zdecydowanym, surowym wyrazie, takim jaki czasami pojawiał się u mamy, kiedy była naprawdę zła.

— Kim jest Hagar?

W tym momencie Holly uświadomiła sobie, co zrobiła. Dlaczego jednak teraz mogła mówić o tym bez trudności, a wcześniej nie była w stanie? Zresztą to teraz nieważne. Teraz najważniejsze, aby Judy pojęła, jak dobrze rozwija się jej plan.

— To siostra Tamar, tyle tylko, że wie dużo więcej niż ona.

Judy przerwała jej. Teraz na jej twarzyczce malował się strach. — A więc jednak wtedy dotarliśmy do domku, ale Tamar w nim nie było. Była ta druga. Ona jest zła, Holly, naprawdę zła!

— Nieprawda! — Długo powstrzymywana niecierpliwość Holly znalazła wreszcie ujście. — Jesteś niemądra, zupełnie jak małe dziecko, Judy! Nic innego!

Nie odrywając oczu od Holly, Judy zaczęła się wycofywać. Choć Holly trudno było w to uwierzyć, miała wrażenie, że siostra patrzy na nią jak na potwory w labiryncie.

— Ona jest zła — powtórzyła Judy — i jakoś potrafi sprawić, że i ty nie jesteś dobra, Holly.

— Judy! — Holly zerwała się na równe nogi, ale nie zdążyła. Judy przemknęła

obok niej, chwyciła zielone doniczki i zaczęła rzucać nimi o ziemię.

Holly chciała ją powstrzymać, ale pośliznęła się i przewróciła, uderzając głową o nogę stołu tak mocno, że na moment straciła poczucie rzeczywistości. Choć się starała, nie była w stanie powstrzymać siostry. Z głuchym trzaskiem doniczki rozbijały się o podłogę. Judy deptała ich zawartość, miażdżąc młode roślinki.

Wreszcie Holly zdołała podciągnąć się i stanąć na nogi. Czuła się dziwnie, chyba przez to uderzenie. Patrząc na zniszczone rośliny, nagle wydało się jej, że widzi inne, wstrętne rzeczy, teraz już bezradne, zdeptane i martwe. Judy płakała, ale sięgnęła jeszcze pod stół wyciągając ostatnią donicę. Wysypała jej zawartość na sam środek pomieszczenia i ze wszystkich sił skoczyła na zakrzywione kłacze i sterczący kiefek. Kiedy je zniszczyła zatrzymała się i znieruchomiła dysząc.

— To złe — powtórzyła. — Wszystko złe. Te rośliny zabiły zioła babci i Tamar!

Holly czuła dziwne wirowanie w głowie. Czuła się słaba i niepewna jak kiedyś, kiedy miała silną grypę. Usiłowała zrobić krok, ale czuła, że ma miękkie nogi, jakby zupełnie pozbawione kości. Czuła pustkę. Nie tak, jak ktoś, kto jest głodny, lecz zupełnie inny rodzaj pustki. Płakała, ale nie wiedziała, kiedy zaczęła szlochać. Po prostu łzy ciekły po jej twarzy i bolało ją ściśnięte niesamowicie gardło.

— Pomagałaś wiedźmie — powiedziała powoli Judy. — Naprawdę, Holly. Teraz sobie przypominam. Nie zgubiliśmy się w labiryncie. Znaleźliśmy dom Tamar, ale jej w nim nie było. Była tylko ta druga. Ona jest wiedźmą, Holly. Nie rozumiesz tego? Ci ludzie, Sexton Dimsdale i inni, myśleli, że Tamar była czarownicą. Mogę się założyć, że ta druga ich do tego nakłaniała. Ciebie też przekonała!

Holly drżała na całym ciele. Było jej niedobrze. Kiedy usiłowała spojrzeć na Judy, cały pokój nagle zawirował.

— Hej, co tu robicie? Ale bałagan! Co się stało Holly? — Crock pojawił się dosłownie znikąd.

— Wiedźma ją opętała — powiedziała poważnie Judy.

— Przeszliśmy przez labirynt, Crock. Teraz wszystko pamiętam. Ty nie? Ta druga w domku była wiedźmą. Prawdziwą czarownicą. Dopadła Holly i...

— Zaraz zwymiotuję — przerwała jej Holly.

— Dalej! — Crock chwycił ją za rękę. — Wychodzimy stąd. Zaprowadzę cię do babci. Judy, postaraj się posprzątać ten bałagan, zanim babcia go zobaczy.

Holly zwymiotowała tuż za drzwiami szopy. Głowa jej falowała i ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że brat holował ją do stodoły.

Kiedy się obudziła było ciemno, ale zdołała dostrzec, że leży na rozkładanym łóżku obok kominka. Było jej na przemian zimno i gorąco; bolało ją gardło, ale zawroty głowy minęły. Babcia podała jej kubek pachnącego ziołami napoju i zmusiła do wypicia. Potem znów usnęła.

Miała sny. Wydawało się jej, że widzi Hagar, która tym razem się nie uśmiechała. Wyglądała staro i była brzydka. Holly poczuła strach. Później pojawiła się Tamar. Kiwała głową, jakby chciała jej powiedzieć, że wszystko już jest w porządku. Potem sny zniknęły albo je zapomniała.

Babcia powiedziała, że zachorowała na grypę, ale Holly trudno było w to uwierzyć. Była chora, ale teraz czuła się znacznie lepiej. W głębi duszy uważała, że zachorowała dawno temu, kiedy zasnęła z poduszczką pod głową, zdobytą podstępem i kiedy wszystko zaczęło się układać nie po jej myśli.

Przy pierwszej okazji, gdy została sama z Judy spytała

— Co z roślinami?

— Wszystko posprzątałam. — Judy mówiła szybko bojąc się, że zaraz przyjdzie babcia i ją usłyszy. — Później Crock mi pomógł. Pozbyliśmy się tych złych. Teraz reszta rośnie dobrze. Tamte były zatrute.

Holly poruszyła się niespokojnie w gniazdku z pościeli i kocy. — Ona mi powiedziała, że jestem do niej podobna, że jestem wiedźmą — szepnęła. — Chyba tak się zachowywałam. Cały czas jednak myślałam, co mogłabym zrobić, mogąc spełniać życzenia — pomóc dziadkowi i babci, i Dimsdale. Myślałam też o tym, że będę mogła zaszkodzić niektórym ludziom. — To wyznanie nie przyszło jej łatwe. — Judy, a co z Tamar i z wigilią Wszystkich Świętych?

— Myśleliśmy o tym z Crokiem — odpowiedziała Judy. — Mogę się założyć, że ta Hagar nie powiedziała Tamar o niebezpieczeństwie. Będziemy musieli tam wrócić.

— Ja nie będę mogła. Jestem chora — powiedziała Holly z otchłani rozczarowania.

— Halloween wypada w sobotę. — Judy nie powiedziała nic nowego. — Zabawa nie zacznie się przed czwartą. Mama znów nie przyjedzie. Gdybyś przespała się na tej poduszce w piątek...

Holly potrząsnęła głową. — Nie. Wszystko zepsułam oszukując. Tylko ty lub Crock możecie to zrobić.

Była pewna, że wyzdrowieje do zabawy. Miała jeszcze cały tydzień i dwa dni. Postanowiła, że do tego czasu poczuje się dobrze. Nie zgodzi się też spać na poduszce. Nawet gdyby uczciwie wypadło na nią. Bała się, że to, co powiedziała Hagar, może okazać się prawdą i że coś, co tkwi w jej wnętrzu, może znów uzyskać przewagę. Nie chciała zostać ponownie wyprowadzona na manowce.

Przez kilka następnych dni miała aż nadto czasu na rozmyślania. Judy dwa razy przyniosła jej kartki podpisane przez wszystkich uczniów z jej klasy z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Przyglądała się im bacznie, usiłując za każdym podpisem dostrzec osobę. Chyba nie przysyłałoby jej takich kartek, gdyby nie życzyli sobie jej obecności. Niełatwo zmienić utrwalone opinie o ludziach, ale przecież nie udało się jej właściwie ocenić Hagar. Coraz bardziej odnosiła wrażenie, że nie miała racji co do swych koleżanek i kolegów. Cóż mogłoby się stać, gdyby Judy w porę nie znalazła i nie zniszczyła tych roślin? Rzeczywiście wiele rzeczy należałoby przemyśleć od nowa.

Kiedy wreszcie wróciła do szkoły, miała kłopoty z przełamaniem własnej nieśmiałości. Trudno było tak od razu się zmienić, rozmawiać ze wszystkimi. Podziękowała im za kartki, a ponieważ wszyscy mówili o zbliżającym się baliku, mogła z łatwością do nich dołączyć. Pani Finch zabrała ich na drugą wycieczkę do biblioteki, aby mogli popracować nad swoimi pracami. Tym razem Holly mogła spytać o dziennik Setha Elkinsa. Kiedy powiedziała, że mieszka w Dimsdale i pisze o nim pracę, panna Noyes pozwoliła jej przeczytać maszynopis fragmentów dziennika opisujących powiązania między dwoma rodami. W połowie lektury Holly trafiła na tekst, który przyprawił ją o dreszcze:

Kobieta ta ofiarowała ojcu memu coś, co jak przysięgała ulży mu w bólach żołądka, jakie czasami odczuwał. Z początku zdawało się, że eliksir skutkuje wybornie i ojciec wstał z łoża i spraw swych doglądać zaczął. Aliści, po spożyciu drugiej porcji specyfiku tego bóle nie tylko, że nie osłabły, lecz i na sile wzrastać zaczęły, tak że cierpiał katusze. Pan Dimsdale, odwiedziwszy go wieczoru pewnego, wypytał go szczegółowo co do owego cierpienia. Gdy ojciec napomknął, iż eliksir ów od kobiety zielarki otrzymał, pan Dimsdale zgniewał się wówczas ogromnie, mówiąc, iż wiedźma w tym palce maczała. Podjął butelkę z lekiem i polawszy nim mięsa kawał psu go rzucił naszemu. Pies, zjadłszy co otrzymał, dostał ataku, zachowując się jak szalony. Pan Dimsdale po pistolet ojca sięgnął i kres cierpieniom jego położył. Tak sprawy dowiódłszy, powiedział, iż to wiedźma śmierć tak zadaje tym, których chce pognać i zebrał możliwych wszelkich z całego Sussex historię ową im przekazując i martwego

psa za dowód mając. Rzekł im też, iż noc następna złą sławą okryta, jako że czarownice wszelakie na sobór wzywa, najlepszą okazję stworzy, by winną spalić, niszcząc jej moc i majątek wszelki, by dalszej szkody czynić nie mogła. Tak więc starszyzna decyzję podjęła, iż dobrym i właściwym dla społeczności uczynkiem to będzie.

Takoż i w noc następną pospołu zebraliśmy się wszyscy z pochodniami gorejącymi i do domu przez ową zamieszkanego udaliśmy się, aby sprawiedliwość uczynić. Jednakoż ja sam, wiedząc co się szykuje, wystąpiłem do H. chłopca z ostrzeżeniem, by nie cierpiała za czyny nie swoje. Ino że T. tam przebywała i śmiało czoła stawiała kompanii całej, z pewnością ośmielona przez pana swego Diabła. Towarzysze mogli ją dopaść i w ciemnicę bądź w ogień wsadzić, ino że kiedy pod dom jej przybyli z ni z tego, ni z onego diablątka wyskoczyły przeraźliwie dla człeka wyglądające. Stąd, przerażony się, towarzysze tyłów podali jako jeden.

Pan Dimsdale do bojących się nie natężywszy, w godzinę później na miejsce powrócił, uzbrojony bogato w strzelbę z kulami srebrnymi każdego diabła godnymi. Jednakoż, kiedy wrócił z inszymi, dom przepadł, wiedzieć gdzie nie można. Miejsce owo ino kłutwą obrzuciwszy, usłyszeli głos znikąd się dobywający przeklinający ród cały Dimsdalsów, przewidujący, że każda gałąź onego i potomek zginie marnie, o ile wypędzeni miejsca swego nie odzyskają. Znaczenia słów owych jednak nikt w pełni pojąć nie potrafił.

Dni wiele czekałem na H., by przyrzeczonego słowa dotrzymała, lecz ona zjawić się nie zechciała. Teraz wierzyć mi zostaje, iż wredna siostra onej, która w pokrewieństwie z nią żadnym nie przestawała, odciągnęła ją od mej osoby. Stąd w chorobę wpadłem wyniszczającą ciało me, na co doktor Ashby remedium żadnego wynaleźć nie mógł. Sobą już odtąd nie byłem. Po zniknięciu H., postuchalem ojca mego poślubiwszy Patience, choć szczęścia związek ten nie dał mi najmniejszego i dalej nie dawać mi będzie, czegom pewien jak najakuratniej.

Holly przepisywała słowo po słowie, choć nie wierzyła autorowi ani na jotę. Być może Tamar dała lekarstwo, lecz Hagar coś do niego dodała. Seth Elkins doskonale zdawał sobie z tego sprawę, lecz z jakichś względów nie chciał o tym pisać. Czyżby Hagar tak go zaczarowała, że był bezradny jak Holly, dopóki Judy nie poznała się na roślinach? Co się stało z Tamar i jej domem? Przecież to wszystko zdarzyło się w wigilię Wszystkich Świętych. Gdyby tylko udało im się tam dotrzeć przed tym terminem. Gdyby mogli ją uprzedzić! Musi im się udać! Tym razem jednak muszą trafić prosto do Tamar, nie do Hagar.

XIII

Wigilia Wszystkich Świętych

Przez większą część piątku babcia zajmowała się głównie pieczeniem ciast i ciasteczek wykrawanych specjalnymi foremkami, które pożyczyła jej pani Pigot. Ciasteczka były w kształcie nietoperzy z rozpostartymi skrzydłami, dyni i kocich główek. Po powrocie ze szkoły Holly i Judy pomagały jej, wsadzając rodziniki w kocie oczy i malując dynie żółtym lukrem.

Kostium Judy był gotowy. Dziadek usztywnił ogon tak, że sterczał jak ogon Tomkita. Przebranie Crocka było jeszcze bardziej niezwykle. Kiedy je założył i schował głowę w hełmie z pudełka, wyglądał zupełnie jak bohater programu telewizyjnego o robotach. Musiał też poruszać się jak maszyna, bo fragmenty stroju zakrywające nogi były sztywne i to jeszcze bardziej upodabniało go do robota. Na głowie sterczały mu druciane antenki, a oczami były czerwone lampki. Patrzył przez małe otworki pod żaróweczkami. Pan Lem Granger, który przeszukiwał składowisko pod kątem urządzeń elektrycznych zainteresował się kostiumem Crocka i wymyślił te "oczy".

Choć Holly miała wielką ochotę przyciąć włosy i nastroszyć je na najprawdziwsze afro, jednak z tego zrezygnowała. Rozplotła tylko warkocze i z pomocą małej butelki lakieru do włosów, szczotki i grzebienia udało się jej stworzyć podobną fryzurę. Jej szata mieniła się jaskrawymi plamami czerwieni, pomarańczy i zieleni. Do tego założyła wielkie, okrągłe kolczyki i całą masę naszyjników z paciorków. W końcu nikt w Sussex tak naprawdę nie widział afrykańskiej księżniczki, więc mogła być pewna, że nikt nie zauważy drobnych niedociągnięć jej stroju.

Wygladzała sukienkę, kiedy do pokoju weszła Judy. Zobaczywszy, co siostra trzyma w ręce, Holly dość pospiesznie usiadła na łóżku. Judy przyniosła poduszczkę, a tuż za nią kroczył Tomkit miaucząc i podskakując przy jej stopach.

— Crock i ja postanowiliśmy, żebyś ją wzięła. — Judy wyciągnęła poduszkę w jej stronę.

Holly odsunęła się. — Nie! Nie chcę. Może Hagar miała rację, może jestem gdzieś w głębi serca czarownicą. Jeżeli ją wezmę, znów pójdziemy w złą stronę. Tylko ty lub Crock możecie ją mieć.

— Crock nie chce. — Judy mówiła powoli. — Czuje, że nie powinien próbować. Byłam u niego i kiedy go teraz spytałam, czy chce spróbować, powiedział "nie". Wobec tego, chyba ja będę musiała to zrobić.

Wygladziła wierzch poduszcзки. — Coś tu zauważyłam, Holly. Te śmieszne linie są naprawdę jak ścieżka przez labirynt, a przerwy pokazują miejsca, gdzie należy skrócić. Obie strony są różne. Po tej — przeciągnęła palcem po wyszytym wzorze — przerwy są po prawej stronie, jak wtedy, gdy znaleźliśmy Tamar. Ale tu — przewróciła poduszkę na drugą stronę — widzisz? Przerwy są po lewej, jak szłaś do Hagar. Może spałaś na złej stronie?

Niechętnie, Holly wzięła poduszkę w dłonie, żeby przyjrzeć się wzorowi. Uwaga Judy była słuszna. Obracała poduszkę na obie strony i porównywała wyszyte na niej linie. Dwie drogi przez labirynt. Nie wierzyła jednak, że to, na której stronie poduszki się spało, mogło mieć jakieś znaczenie. Ważne było, jakim się jest. Doszła do tego wniosku po długich przemyśleniach. Nie miała do siebie samej takiego zaufania, jakim darzyła młodszą siostrę.

— Jest twoja. — Rzuciła ją pospiesznie na łóżko Judy. — Boisz się?

— Może troszkę. Ale musimy tam iść, pomóc Tamar. Wiem, że tak trzeba, Holly.

Nie wiem, jak możemy to zrobić, ale stale wierzę, że się uda. — Podniosła poduszeczkę, odwróciła ją na stronę, gdzie przerwy we wzorze kierowały na prawo i położyła na dużej poduszce.

Tomkit mrucał tak głośno, że wyraźnie go słyszały. Wskoczył na łóżko i z upodobaniem wachał poduszeczkę. Potem zwinął się w kłębek tuż przy niej tak, że czarnym nosem dotykał pożąłkłego płótna.

Kiedy babcia przyszła po lampę, dziewczynki były już w łóżkach. — Jutro wasz wielki dzień — powiedziała. — Dobrze się wyśpijcie.

Judy zasnęła bez problemów, Holly jednak wierciła się pod kołdrą. Babcia powiedziała, że jutro opróżnią trzy przegródki, przeniosą tam łóżka i urządzią sypialnię. Na górze było już za zimno. Holly wsłuchiwała się w tajemnicze skrzypienia, które są tak charakterystyczne dla starych budynków. Raz wydało się jej, że słyszy mruczenie Tomkita. Judy jednak spała cichutko, nie wydając żadnych dźwięków.

Przez to, że tak długo nie mogła usnąć, Holly zasnęła. Dopiero dźwięk babcinego gongu rozbudził ją zupełnie. Łóżko Judy było puste i starannie zasłane. Ubrała się pospiesznie i posłała własne. Nie dostrzegła śladu podusieczki. Czy znów zadziałała? Czy będą mogli iść do labiryntu przed wyjazdem na balik? Czy starczy im czasu?

— Holly, dobrze się czujesz, dziecino? — przywitała ją babcia. Smażyła kielbaski na śniadanie. Ich zapach uświadomił dziewczynce, jak bardzo jest głodna.

— Dobrze, babciu. Wspaniały zapach! — Pociągnęła nosem. Kiedy babcia zajęła się patelnią, Holly mogła uniesieniem brwi spytać Judy o sen. Siostra skinęła głową. Znaczyło to, że podusieczka zadziałała! Kiedy będą mogli iść do labiryntu? Chyba nie tego ranka. Babcia właśnie wyznaczała im zadania związane z przeprowadzką na dół.

Dziadkowie zrobili już bardzo wiele przez ostatni tydzień, przygotowując przeprowadzkę, ale i tak zapowiadał się pracowity dzień. Dziadek musiał ponadto kilka razy wychodzić na wysypisko, gdy słyszał klaksony podjeżdżających samochodów.

Wreszcie, kiedy wracając ostatni raz, powiedział do babci:

— Chyba lepiej przygotuj się na wcześniejszy wyjazd, Mercy. Holly straciła nadzieję, że uda im się wejść dziś do labiryntu.

— Pani Winton — ciągnął dalej dziadek — przesłała wiadomość przez syna. Potrzebują pomocy, żeby wszystko przygotować na czas. Panie Pigot i Eames mają grypę. Pani Winton będzie tu przejeżdżać około wpół do drugiej i cię zabierze.

— Ale to za wcześnie dla dzieci — powiedziała babcia.

— Oczywiście pojedę i im pomogę, ale one nie mogą jechać tam tak wcześnie.

— Pojadą z Hawkinsami. Pani Winton o tym pomyślała. Hawkinsowie będą tu za piętnaście czwarta i je zabiorą.

— W porządku. Bądźcie gotowi i nie każcie na siebie czekać. Zresztą, nie sędę, żeby coś się nie udało. To zbyt ważna okazja.

Holly ledwo mogła przełknąć lunch. Babcia mówiła, że to niesamowite, jak bardzo dzieci przeżywają takie zabawy. Śmiała się przy tym. Holly zastanawiała się, co babunia by pomyślała, gdyby wiedziała, że to nie zabawa, tylko perspektywa wejścia do labiryntu tak ich podnieca.

Objuczona pudłami z ciasteczkami babcia wyjechała za kwadrans druga. Jak tylko odjechała, Holly zwróciła się do bliźniaków. — Nie będziemy mieli potem wiele czasu, a zakładanie tych kostiumów chwilę trwa. Lepiej przebierzmy się teraz i tak wejdźmy do labiryntu.

Crock skinął głową. — To chyba dobry pomysł. Muszę mieć dużo czasu, żeby wejść w strój robota.

Dziadek poszedł do szopy pracować nad starym stołem, więc do przyjazdu Hawkinsów byli wolni. Judy też zgodziła się na propozycję Holly i potrzebowała trochę pomocy przy zapinaniu kostiumu. Maskę ze sterczącymi uszami całkowicie zakrywała jej twarz. Była czarna, ale postanowiła jej nie przemalowywać. Uważała, że wygląda jak mieszaniec Tomkita i błękitnego syjamczyka. Ogon beztrzesko kołysał się z tyłu, a dłonie wsunęła w jednopalczaste rękawiczki, które z łatwością mogła ściągnąć, gdyby potrzebowała wszystkich palców.

Holly naciągnęła kolorową szatę na sweter i jeansy. Musiała przy tym podwinąć rękawy swetra i podpiąć je agrafkami, żeby nie wysuwały się spod obszernych rękawów sukni. Wcześniej już zrobiła sobie odpowiednią fryzurę i teraz pozostawało jej jedynie dodać kolczyki i naszyjniki. Zdecydowała użyć szminki, z której nie korzystała już mama, aby zaczerwienić wargi i kropkami podkreślić linię czoła. Wyglądało to jak oryginalny tatuaż na czole i policzkach. Postać spoglądająca na nią z lustra z całą pewnością nie przypominała Holly Wade, bez względu na to czy tak wyglądała prawdziwa murzyńska księżniczka.

Obie dziewczynki pomogły Crockowi wbić się w kanciasty hełm. Wprawdzie narzekał, że nie widzi niczego, co nie znajduje się tuż przed nim, lecz Holly przekonała go, że to mu wystarczy i razem ruszyli w kierunku labiryntu.

Tym razem Tomkit poszedł z nimi. Bardzo interesował się ogonem Judy, naskakując na niego od czasu do czasu, jednak kiedy zbliżyli się do krzaczastej ściany, porzucił zabawę i krocząc na sztywnych nogach zbliżał się do wejścia, jakby rozumiał powagę chwili.

Holly doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że tuż przed nią wyrosła ściana splecionych gałązek, lecz bała się na nią spojrzeć. Nie wiedziała, jak się zachować, gdyby nie zobaczyła wyciętych kocich postaci, które wskazały im drogę do Tamar. Bała się, że zamiast nich dostrzeże potwory, które prowadziły ją wprost w objęcia Hagar. W dodatku dziewczynki przekonały się, że muszą dostosować swój krok do możliwości Crocka, który ledwo mógł chodzić w kostiumie robota.

Wreszcie Holly zdecydowała się podnieść oczy. Odczuła wielką ulgę. Choć krzaczaste koty nie były tak zielone, jak za pierwszym razem, to z całą pewnością wyglądały jak koty, a nie jak tamte długonose, groźne potwory. To był labirynt Tamar, nie Hagar.

Nie mieli zbyt wiele czasu. Tomkit zdecydowanie ruszył w głąb jednego z tuneli. Judy w swoim kostiumie przypominającym futerko Tomkita bez wahania ruszyła za nim. Crock skrzypiąc, starał się za nimi nadążyć, a Holly pilnowała tyłów i uwalniała brata z wystających gałązek.

Żywopłot nie stawał się coraz zieleńszy i nie robiło się coraz cieplej jak za pierwszym razem. Najwyraźniej w labiryncie panował październik, który wyparł lato. Wszystkie te kwiatki i krzewinki, które wydzielaly kiedyś tak słodkie zapachy, gdzieś zniknęły. Na szczęście nie było jednak muchomorów o groźnym wyglądzie.

— Nie możesz iść szybciej, Crock? — Holly niemal deptała mu po piętach.

— Staram się, jak mogę — usłyszała z głębi ciężkiego hełmu. — Ten kostium nie został stworzony do biegania.

Holly starała się powstrzymać niecierpliwość. Jeżeli nie uda im się zdążyć przed Hawkinsami... Cóż będą mogli wówczas uczynić? Judy znajdowała się w zasięgu jej wzroku. Musieli pamiętać, aby na każdym rozstaju skręcać w prawo. Zupełnie tak samo, jak za pierwszym razem, kiedy trafili do właściwego ogrodu.

Tym razem ogród wydawał się przywiedły i nieco zmrożony, choć środek stawku był przejrzysty. Rabaty zostały wcześniej skopane, gotowe przyjąć nowe sadzonki. Zresztą widać było na nich nieco wysuszone roślinki, gotowe rozkwitnąć z pierwszymi promieniami słońca. Ule sprawiały wrażenie opustoszałych, bez śladów

życia, stały opatulone słomianymi matami. Sam domek sprawiał wrażenie przygotowanego na zimowe mrozy.

Z komina wydobywała się smuzka dymu. Judy pędziła w stronę zamkniętych drzwi. Kto stał za nimi: Tamar czy Hagar? W tym momencie Holly nie wiedziała, co bardziej by ją ucieszyło.

Ostrożnie prowadząc Crocka przez ziołowy ogródek, Judy zastukała z ufnością, którą Holly uznała za niczym nie usprawiedliwioną. Jednak kiedy drzwi się rozwarły, stanęła w nich Tamar, nie Hagar.

Miała na sobie czerwono-brązową sukienkę, odzwierciedlającą barwy jesiennych liści. Na ramiona narzuciła grubą chustę w tym samym kolorze, jakby właśnie wychodziła. Na ich widok zatrzymała się zdumiona. Holly od razu uświadomiła sobie, że Tamar nie spodziewała się ujrzeć ich w kostiumach. Twarze Judy i Crocka zasłaniały maski, ale być może, zdoła choć ją rozpoznać.

— Tamar! — krzyknęła Judy, a Tomkit miauknął żałośnie.

— Tamar, to my! Judy, Crock i Holly — wskazywała wszystkich wyprostowanym palcem. — To my!

Tamar nagle uśmiechnęła się — Na szczęście potrafię ujrzeć prawdę pod przebraniem. Wejdźcie, najmilejsi. Niech was Bóg chroni, Bóg chroni!

Dom pachniał ziołami, był ciepły. Tomkit od razu wskoczył na stół, wachając zawartość ustawionej na nim miski. Holly była niecierpliwa. Tamar musi wiedzieć, zrozumieć, co jej grozi.

— Tamar... — zaczęła, kiedy Judy, walcząca z kocią maską, by móc odsłonić twarz, niespodziewanie znieruchomiła.

— Słuchaj, Tamar. Sexton Dimsdale zaraz się tu zjawi ze swymi ludźmi. Chcą spalić dom, chcą cię skrzywdzić! Jest właśnie wigilia Wszystkich Świętych. Tamar, musisz uciekać. Właśnie dziś mają cię zaatakować... — Judy była bliska łez.

Tamar spoglądała na nich spokojnie, na Judy, Crocka i w końcu na Holly. — Czarownica — powtórzyła powoli.

— To przez Hagar — wybuchła Holly. — To ona wręczyła truciznę Sethowi Elkinsowi, żeby podał ją swemu ojcu. Powiedziała, że to ułatwi im ożenek. To nie było dobre lekarstwo. Zabiło psa i Sexton Dimsdale zobaczył to na własne oczy. Można o tym przeczytać w starej księdze, która teraz jest w bibliotece. Sama to czytałam. Tamar, przecież to właśnie ty musisz...

Tamar przyglądała się bacznie Holly. — A cóż ty możesz wiedzieć o Hagar? — spytała niezwykle ostrym tonem.

Holly poczuła, jak rumieniec wypływa na jej twarz. — Byliśmy tu, spotkaliśmy się z nią. Powiedziała, że jestem do niej podobna i że muszę jej pomóc. — Holly przeknęła ślinę. Pod przenikliwym spojrzeniem Tamar czuła coraz większy wstyd, przyznając się do tego, jak chętnie wykonywała polecenia Hagar.

— Jak miałaś jej pomóc? — Surowa mina nie zniknęła z twarzy Tamar.

— Dała mi jakieś nasiona i kłaczce, żebym je zasadziła w naszym czasie.

— Uczyniłaś to?

— Tak. Tyle, że Judy zobaczyła, że te nowe rośliny zabijają zioła babci i te, które ty jej dałaś. Wyrzuciła ziemię z doniczek i zniszczyła złe rośliny.

Zobaczyli i usłyszeli, jak Tamar głęboko wciąga powietrze. Podeszła do dziewczynki i ujęła ją dłońmi pod brodę, podnosząc wyżej jej głowę. Dłuższą chwilę, nie mrugając, patrzyła jej prosto w oczy. Holly miała wrażenie, że Tamar potrafi dostrzec w niej wszystkie podłości, bunt, oszustwa, które doprowadziły ją do Hagar.

— To prawda, kochanie, posiadasz dar. Bardziej to ciężar niż dar, gdyż ku ciemnym sprawom ciągnie. Sama się przekonałaś. Powinnaś być wdzięczna swej siostrze, że przerwała urok rzucony na ciebie. Ciężko żyć na tym świecie ludziom

obdarzonym magiczną mocą. Oszczędnie muszą z niej korzystać i to jeno dla dobra innych, nigdy zaś własnego.

Posłuchaj, mała siostró, co stanowi prawo: “Kochaj wszelkie rzeczy w naturze. Nie pozwól, aby ktokolwiek kiedyś cierpiał przez uczynki lub myśli twoje. Z pokorą przyjmuj wolę ludzką i boską. Zadowolenie poznasz jedynie przez cierpienie, długie i cierpliwe, i przez szlachetność myśli i czynów. Mądrzy nigdy się nie starzeją.”

— Mówiłaś już to wcześniej. — Głos Crocka brzmiał głucho z czeluści hełmu. — To brzmi jak coś z kościoła.

— Nie z tego kościoła, który znasz, braciszku — odpowiedziała Tamar — bowiem to mądrość ludzi czczących moc starszą od każdego kościoła. Ty, siostrzyczko — znów zwróciła się bezpośrednio do Holly — nie staraj się sięgać tego, co przed tobą. Z czasem wszystko będzie ci objawione. Dziękuj też siłom dobra za to, że nie zasłaś w stronę zła tam, skąd nie ma powrotu.

— Tamar — Judy wyjęła dłoń z rękawicy, chwyciła kraj jej sukni i pociągnęła — proszę, musisz stąd uciekać. Ci ludzie są już blisko.

— Co mówią zapiski, które dotrwały do waszych czasów, o tym, co się dziś stało?

— Że kiedy rozmawiałaś z Sextonem Dimsdale pojawiły się jakieś demony, mężczyźni wystraszyli się i uciekli. Kiedy powrócili, dom i wszystko zniknęło! — odpowiedziała szybko Holly.

— To rzeczywiście wigilia Wszystkich Świętych, kiedy czas może odwrócić się w inną stronę, o ile moce będą wystarczająco potężne — powiedziała powoli Tamar. Mówiła to bardziej do siebie niż do dzieci. — Maleńka — zwróciła się do Judy — jak rosną roślinki, które ci podarowałam?

— Wszystkie już weszły — odpowiedziała Judy. — Niektóre są już takie duże! — pokazała palcami.

— A więc jest już łączące ogniwo! — Dzieci znów nic nie rozumiały, a Tamar odsunęła pelerynę, uwalniając ręce. Odwróciła się od nich w stronę stołu.

Jego blat tym razem był mniej zagracony niż poprzednio. Cztery czerwone świece wyznaczały kwadrat, a za nimi stały dwie czarne. Wewnątrz kwadratu leżał wieniec z kolorowych liści poprzeplatanych drobnymi kwiatkami: złotymi, purpurowymi i rdzawymi. Środek wieńca zajmowała metalowa miseczka wypełniona kawałkami brązowej substancji.

Tamar przyglądała się temu przez chwilę z dłońmi na biodrach. Przypominała nieco dziadka zastanawiającego się nad wyborem najlepszego narzędzia do wykończenia szczególnie trudnego mebla.

— Czy moja moc będzie wystarczająca? Skąd mam wiedzieć? Okaże się podczas działania. Jednak kiedy wybija godzina otwarcia wrót, przejście będzie możliwe o obie strony: z naszego świata i do niego. Jeżeli...

Holly ośmieliła się jej przerwać. — Musimy już wracać do naszego czasu. Będą nas szukać. Było już jednak za późno.

— Hej, wiédźmo! Pokaż swe wstrętne oblicze! Wszyscy wzdrygnęli się, słysząc ten okrzyk na zewnątrz domu. Judy stała najbliżej okna. Wyjrzała ponad parapetem, który był niemal na wysokości jej oczu.

— Ludzie z pochodniami! — krzyknęła.

Tamar odwróciła się od stołu. — Zostałam ostrzeżona — powiedziała spokojnie. — Wy zostańcie w ukryciu. Nie wiem, czy po tej stronie czasu ktoś może was skrzywdzić, ale lepiej nie próbujmy się o tym przekonać.

Bez pośpiechu podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła, a Holly i Crock stłoczyli się z Judy pod oknem. Na dworze zapadły ciemności. Ostre światło pochodni doskonale oświetlało ogródek zmarzniętych ziół. Mężczyźni szli zdeptując grządki, niszcząc ostatnie rośliny, które wciąż jeszcze sprawiały wrażenie żywych.

Holly zadrżała. Nigdy jeszcze nie widziała takiego wyrazu na ludzkich twarzach. Mężczyzna, który szedł o pół kroku przed grupą, trzymał w ręce szablę. Na obnażonej klindze odbijały się czerwone płomienie.

— Czegóż tu szukacie, sąsiedzi? — Tamar stała tuż przed nimi. Dzieci nie widziały jej twarzy. Holly przypomniała sobie jak otwiera się okno i pchnęła jedno skrzydło. Mogli teraz lepiej słyszeć, co mówiono.

— Ty wiedzmo. W swych garncach śmierć uwarzyłaś, śmierć przyjaciela naszego Increase'a Elkinsa!

— A gdzie to jest teraz pan Elkins, żeby samemu rzucić mi w twarz to oskarżenie, jako sprawiedliwość nakazuje?

— Pismo Święte sprawiedliwie cię ocenia, wiedzmo. Czyż nie mówi jasno: nie pozwólcie wiedzmom żyć między wami?

Ludzie stojący za plecami Sextona Dimsdale wydali z siebie groźny pomruk, potwierdzający słuszność słów swego przywódcy. Judy przycupnęła ze strachu, a Holly uchyliła się jak przed ciosem. Ten pomruk przeraził ją bardziej niż cokolwiek w życiu.

— Ty chcesz mej ziemi, panie Dimsdale. Chyba nie zaprzeczysz temu wobec tej kompanii, która nie raz słyszała, jak o tym mówiłeś? Czyż jest łatwiejszy sposób na osiągnięcie tego celu niż fałszywe oskarżenie rzucone na samotną kobietę? Pomyślcie o tym wy, którzy dzierzycie w dłoniach pochodnie. Widzę cię, Reubenie Fenester. Ciekawe, jak czułaby się teraz twa dobra żona, gdybym się nią nie opiekowała. O, jesteś i ty, Micahu Hawkinsie, który przyszedłeś do mnie z raną, której nikt nie mógł wyleczyć. Spójrz na rękę, w której trzymasz pochodnię. Widzisz na niej czystą bliznę?

A ty, Rupercie Briggs, masz synka, który żyje, a nie kolejne dziecko spoczywające w grobie. A ty, ty i ty... — Tamar uniosła rękę, wskazując mężczyznę po mężczyźnie. — Wszyscy jesteście mymi dłużnikami za uratowane życie i zagojone rany. Wszyscy idziecie za tym, który, pożądam własności prawnie mi przynależnej, rzuca oszczercze oskarżenie o czary. Pomyślcie o przeszłości, sąsiedzi...

— Nie słuchajcie jej! — krzyk Sextona Dimsdale zagłuszył dalsze słowa Tamar. — Czyż sam diabeł nie radzi tym, których umiłował, jak przekreślić myśli uczciwych ludzi, tak samo jak pokręcić ich ciała swym jadem? Słuchajcie jej, a poddacie się diabłu i jego sztuczkom. Czyż na własne oczy nie widzieliście, co stało się z psem, który wypił wywar przeznaczony dla Elkinsa? Wściekł się i toczył pianę z pyska tak, że trzeba było go zabić, żeby pana swego nie pogryzł. Co stałoby się z Elkinsem, gdyby to wypił? Może nawet i śmierć wydałaby mu się lepsza od cierpienia spowodowanego przez tę czarownicę. Znacie wszyscy Pismo Święte: czy możemy modlić się do Pana Boga sprawiedliwego, jednocześnie zgadzając się, by wiedźma żyła między nami? Jakie oczyszczające kary mógłby za to na nas zesłać?

Mężczyźni znów coś zamruczeli i postąpili krok do przodu. Holly nie była w stanie patrzeć na ich twarze. Przerazali ją tak, że robiło się jej niedobrze. Poczula, że ktoś szarpie ją za rękaw — to Crock.

Ciągnął też Judy za ogon.

— Chodźcie! — Głos brata brzmiał głucho i dziwnie z wnętrza głowy robota. Holly dostrzegła jego jarzące się oczy. — Chodźcie!

Ruszyła w stronę drzwi. Judy usiłowała się wyrwać, ale Crock pchnął ją przed siebie.

— Otwórz drzwi — syknął. — Wychodzimy!

Tam, na zewnątrz? Chyba oszalał. Tamar kazała im zostać w ukryciu. Przecież ci ludzie ich złapią...

— Ruszajcie! — Crock nie miał wątpliwości. — Słuchajcie — zadudnił z głębi

hełmu — kiedy Holly otworzy drzwi, wypadniemy na zewnątrz i będziemy wrzeszczeć jak opętani. Rozumiecie?

Dopiero wtedy Holly pojęła jego plan. W przebraniach, wrzeszczący ze wszystkich sił — prawdziwe demony.

Czyżby to oni mieli być owymi diablętami, które powstrzymały atak na Tamar? Tylko to się stało tak dawno temu. Czują w głowie natłok myśli, nad którym nie miała czasu zapanować.

Szarpnęła drzwiami, otwierając je szeroko. Zgodnie z poleceniem brata wybiegła na dwór, wydobywając z siebie najbardziej niesamowity wrzask. Crock ryczał głucho, poruszając się znacznie sztywniej i wolniej od dziewczynek. Judy miauczała nie gorzej od Tomkita, tyle że dużo głośniej.

Przez dłuższą chwilę oniemiałymi mężczyźni wpatrywali się w trzy niesamowite zjawy. Holly podskakiwała, wymachując rękami w powietrzu i zawodząc jak afrykańska szamanka, którą widziała w jakimś programie podróżniczym. Crock maszerował sztywnym krokiem robota, rycząc głucho. Judy miotała się jak wściekła kocica, wyciągając łapy w stronę Sextona Dimsdale, jakby miała zamiar go podrapać.

Pan Dimsdale zaczął się wycofywać. Za nim zakotłowało się. Mężczyźni nie wytrzymali, odwrócili się i zaczęli uciekać w popłochu, odrzucając pochodnie. Sexton Dimsdale krzyczał coś za nimi, lecz na widok zbliżającego się Crocka także rzucił się do ucieczki.

— Uważajcie na pochodnie! — krzyknął Crock. — Zasypcie je, bo będzie pożar!

Przez parę chwil Holly i Judy zajmowały się gaszeniem ognia. Crock w swym sztywnym stroju nie bardzo mógł im pomóc. Kiedy ugasili ostatnie iskry, wrócili do domu.

Tamar była już w środku, ale z nią była też... Holly skurczyła się w sobie. Chciała odwrócić się i uciec, czuła jednak, że gdyby to zrobiła, byłaby naprawdę zgubiona.

Hagar stała po drugiej stronie stołu, uśmiechając się i kiwając głową. — Niech tak się stanie, siostró!

— Doprawdy? — spytała Tamar. — Więc to zdołałaś przewidzieć. I cóż jeszcze?

— Ten Sexton Dimsdale będzie modlił się do swego Boga, aż klęcząc zetrze do krwi kolana, lecz moja klątwa go nie opuści. A także i to, droga siostró, że przejdę przez komnaty czasu do lepszych dni, bardziej odpowiednich do moich celów. Wówczas to ja, nie ty, będę Panią Mocy. I skorzystam z niej, siostró, oj, skorzystam!

— Wiele widziałaś...

— Wiele widziałam i wiele uczyniłam, siostró. Ta, która pewną ręką sięga po władzę i ma poczucie celu — którego ci brak — może zostać królową i władczynią! Nadchodzi moje królestwo! — Zielone oczy Hagar lśniły, jakby płonęły w nich ognie. — Tak, wciągnęłam cię do tego, ponieważ dopiero połączone moce, twoja i moja, mogą mnie doprowadzić tam, dokąd zmierzam. Użyjesz zaklęcia o wygięciu czasu, bo musisz to uczynić. Inaczej zginiesz. Potem zamieszkasz we własnej, zapomnianej kieszonce czasu. Znajdziesz tam tak miły ci spokój. Muszę na to zezwolić, bo jesteś mą krewną. Ja jednak pozostanę wolna, a Dimsdale będzie żyło pod klątwą. Dopóki labirynt czasu, który będzie odtąd naszą klątwą, nie zostanie całkowicie zniszczony, będę miała jedynie połowę życia.

— Musisz być bardzo pewna własnej mocy, mówiąc do mnie w ten sposób — powiedziała powoli Tamar.

— Czyż to nie Lewa Ścieżka zawsze okazywała się silniejsza od Prawej w historii ludzkości? Nad światem zapanuje ocean ciemności, ponieważ zrodzeni z Adama zawsze skłaniali się ku lękom i mrokom. Taka ich natura. Będziemy robić użytek z ich strachu. Hekate z Piekła zawsze wychodzi zwycięsko z bitwy...

— Możesz sobie wierzyć, w co chcesz, jednak złamałaś Prawo. Obawiam się, że

sama się przekonasz, że to nie błahostka, o której łatwo zapomnieć.

— Prawo? Istnieje więcej niż jedno prawo, siostrze. Dziś wigilia Wszystkich Świętych, kiedy zmarli będą chodzić ze swymi krewnymi i przyjaciółmi, kiedy Lewe Moce złością się najbardziej. Jednak jest to też czas, kiedy obie razem będziemy musiały użyć naszych zdolności, bądź zginąć całkowicie z rąk tych, którzy niczego nie rozumieją.

Powoli, z ociąganiem, Tamar skinęła głową. — Niech tak będzie.

Hagar roześmiała się. — Och, jak niechętnie to mówisz, siostrze. Nie jesteś zbyt mądra. Ja przewidziałam tę chwilę, napracowałam się, żeby do niej doprowadzić... — Obrzuciła Holly szybkim spojrzeniem i dziewczynka zorientowała się, że Hagar od początku wiedziała o jej obecności.

— Stara krew nigdy nie umiera, nawet w przyszłości — ciągnęła — są tacy, których duch rwie się do pracy, kiedy moc wzywa, którzy są gotowi jej posłuchać.

Tamar nie patrzyła na dzieci. — Zrobimy, co musi być zrobione. Choć to, co z tego wyniknie...

Hagar przerwała jej. — Co z tego wyniknie? Dla ciebie, siostrze, pokój i wieczne życie w swej kieszonce czasu. Może niekiedy uznasz takie życie za nudne, nie mając do kogo ust otworzyć. Wówczas pożałujesz, że nie jesteś wolna jak ja.

— Niczego nie pragnę — odpowiedziała Tamar — prócz tego, co mi się należy. Zresztą i ty nie możesz uzyskać niczego więcej.

— Jednak ja to przewidziałam i przygotowałam. Moja część bardzo mi odpowiada. Ale, ale, piasek kończy się w klepsydrze; czy możemy się już zabrać do pracy, siostrze?

Tamar milcząc skinęła głową. Hagar nachyliła się nad paleniskiem i szczypcami wyjęła z niego rozżarzony węgiel. Wrzuciła go do miski otoczonej wieńcem. Potem sięgnęła po jeszcze jeden, mniejszy węgielek i zapaliła nim świecę.

Z miski uniosła się smużka dymu, która gęstniejąc zaczęła się zawijać. Holly poczuła ciężki intensywny zapach, jakby to były perfumy. Chciała wyjść z tego domu, wrócić do świata, który знаła. Jednak nie mogła się nawet poruszyć. Dymu było coraz więcej, gęstniał tak, że po chwili nie widziała ani Tamar, ani Hagar stojących naprzeciw siebie po obu stronach stołu.

Słyszała cichy śpiew wydobywający się z oparów, choć nie była w stanie zrozumieć słów. A może jednak? Co jakiś czas zdarzało się jej coś usłyszeć, lecz natychmiast to zapominała. Czasami czuła dziwne pulsowanie w całym ciele, coś ciągnęło ją do chmury dymu. Zawsze jednak powstrzymywał ją strach.

Śpiew wznosił się wysoko pod sufit. Wydawało się, że uczestniczą w nim nie tylko Hagar i Tamar. Dołączały do niego inne, obce głosy. Holly spojrzała na Crocka, na Judy, ale stali przy niej, nie w dymie. Kto jeszcze był w chacie? Skąd przyszedł?

Przez chmurę przeświecały płomienie świec. Nagle dwie zewnętrzne, czarne, zgasty. Z dymu wydobył się krzyk, jękliwy skowyt. Z początku głośny, zamierał, aż nastąpiła cisza.

Chmura zaczęła się kurczyć, gęsta w środku, rzadsza na zewnątrz, odsłaniając coraz większą część pomieszczenia. Zwinęła się w kulę, która opadła na miskę i zniknęła.

Tamar stała na swoim miejscu. Zamknęła oczy, wyciągnięte ręce trzymała nad miską. Ale Hagar zniknęła!

Tamar zaczęła mówić, a to, co mówiła brzmiało jak modlitwa:

Straszny Panie, ty, ktorem jedną ręką dajesz życie, a pokój śmierci drugą, roztwórz swe wrota, przez które wszyscy przejść muszą o oznaczonej godzinie. Dawco pokoju i spoczynku, weź do siebie tę, która przychodzi wbrew swej woli. Pozwól, by w

oznaczonym czasie narodziła się na nowo, by co się stało, mogło się odstać, zło, zostało naprawione. I niech jej dusza wówczas stanie się tak piękna, jak jej twarz i ciało.

*Przez wszystkie moce lądów i mórz,
jak mówię: Niech to się stanie już.
Przez całą moc księżyca i słońca,
Niech wola ma spełni się do końca.*

W końcu otworzyła oczy i pochyliwszy się nad stołem, zdmuchnęła pozostałe świece. Kiedy odwróciła się do dzieci, była bardzo blada. Zachwiała się tak, że musiała przytrzymać się krzesła.

— Niech się stanie — powiedziała. — Bądź błogosławiona, Hagar, gdyż kiedyś byłaś piękną, szczęśliwą dziewczeczką. Niech to się powtórzy.

— Czy Hagar nie żyje? — spytała Holly, nie mogąc przez moment uwierzyć, że wszystko, co tu widziała i słyszała, zdarzyło się naprawdę.

Tamar zdrygnęła się, jakby zupełnie o nich zapomniała. Teraz spojrzała poważnie na Holly. — To, co nic niewiedzący ludzie zwą śmiercią, siostrzyczko, jest jeno bramą do innego świata. Hagar wierzyła, że wiążąc się z waszym czasem z pomocą tych potężnych roślin, jakie ci dała do wysiania, dosięgnie twego świata. Być może zdołałyby jej w tym pomóc, nie wiem, bo nie posiadam jej wiedzy. Ponieważ jednak owe rośliny nie rozkwitły, uwolniła się od tego świata, lecz do waszego nie mogła sięgnąć. W ten sposób powróciła tam, gdzie pierwszy raz rozjarzyła się iskra jej życia, a ja, ja również jestem wolna.

— A gdzie my jesteśmy? — spytała Holly, czując narastający lęk. Jeżeli Tamar zniknęła razem z domem, jak mówiły dawne przekazy, to i oni gdzieś się zagubili! Nigdy już nie wrócą do siebie! Miała ochotę wykrzyknąć z siebie strach.

— Wy jesteście silnie związani z własnym czasem. Nie bój się. Kiedy przejdziecie przez te drzwi, również będziecie wolni, nie licząc ograniczeń, jakie sami sobie narzucicie. Ja jednak będę wolna wobec czasu, tak jak Hagar, tyle że inaczej. Odtąd też Dimsdale uwolni się od klątwy, jaką rzuciła.

Judy zbliżyła się do niej. — Więc już nigdy cię nie zobaczymy?

Tamar uśmiechnęła się. Zmęczenie, cień bólu, zniknęły z jej twarzy. Już nie była zwyczajna. Stała się prawdziwą pięknoscią, równie ładną jak Hagar, choć inaczej. Rozpostarła szeroko ręce i roześmiała się, nie jak Hagar, złośliwie i z gniewem, lecz radośnie.

— Niełatwo zabawiać się czasem, dziecko. Nie, już się nie spotkamy. — Jednak... — Tamar pochyliła się i dotknęła palcem czoła dziewczynki — tobie zostawię te z mych umiejętności, które chciałybym z tobą dzielić. W swoim własnym czasie będziesz umiała leczyć, nawet jeżeli będziesz to robić zupełnie inaczej niż ja. Bądź ostrożna i najlepiej jak potrafisz dbaj o rośliny, które ci zostawiłam. Kiedy wyrosną i nabiorą sił, pomogą powrócić na ziemię tym, które w swej zachłanności człowiek skazał na zagładę. Błogosławione są wszelkie działania mające na celu odnowę, nie zniszczenie. Wzrost wiąże się z życiem jedynie wtedy, gdy jest prawdziwe zakorzeniony w ziemi i nie wywodzi się z wyobrażeń ludzi uważających, że są ponad pradałnymi prawami.

Tobie, zaś — zwróciła się do Crocka — mówię, że odwaga to dar potężniejszy od wszystkiego, co mogłabym ci ofiarować. Ale... — sięgnęła za siebie do stołu i wzięła odrobinę wosku, który spłynął z jednej ze świec — niech twe ręce poznają sztukę i stworzą rzeczy, które nie tylko będą dobrze służyć twym bliźnim, ale i obdarzone będą pięknem. Weź to i niech to będzie twój amulet, który da ci wiele dobra, lecz

jedynie dzięki twym własnym wysiłkom.

Dla ciebie, sestro — zwróciła się w końcu do Holly — mam dar, który zatrzymasz w swym sercu. Jeżeli dobrze się nim zaopiekujesz, pozwoli ci spełnić życzenia tego, czego tak bardzo pragniesz.

Podniosła ze stołu małą książeczkę, oprawioną w drewno z metalową klamrą. Holly wzięła ją niemal niechętnie. Kiedy ją otwierała, czuła się bardzo dziwnie, jakby wiedziała, że odtąd jej życie już nigdy nie będzie takie jak przedtem.

— Miłe spotkanie, miłe rozstanie. — Tamar naciągnęła pelerynę na ramiona. — Mamy niewiele czasu. Bądźcie błogosławieni do dni swych ostatnich.

Drzwi otworzyły się za nimi, choć żadne z nich nawet ich nie dotknęło. Próbowali się pożegnać, lecz nie potrafili znaleźć odpowiednich słów. Wyszli na zewnątrz, a wówczas...

Ogród, dom — wszystko zniknęło. Żywopłoty labiryntu otaczały ich ze wszystkich stron. Dostrzegli w nich jednak wyraźną przerwę, w którą pewnie wkraczał Tomkit. Na ich widok miauknął głośno. Holly pomyślała, że to sen. Nie miała najmniejszej ochoty o tym mówić, a Crock i Judy najwyraźniej dzielili jej uczucia.

Nagle Crock spytał: — Ciekawe, która jest godzina.

— Hawkinsowie — może już po nas przyjechali! — Judy ruszyła biegiem.

Holly zupełnie zapomniała o balu. Poczowała narastające podniecenie. Nie wolno im się spóźnić! Położyła dłoń na ramieniu Crocka popędzając go. Dokładnie w chwili wyjścia z labiryntu, usłyszeli klakson.

Hawkinsowie! Holly uniosła suknię, wcisnęła książkę za pasek jeansów i obiegnęła stodołę, pchając Crocka, który starał się, jak mógł.

XIV

Błogosławiona zieleń lawendy!

Było to zupełnie jak przebudzenie się z głębokiego snu. Bal w miasteczku sprawił, że niemal zapomnieli, co się stało. Kiedy Crock zdobył pierwszą nagrodę za najbardziej niezwykły kostium, wszyscy bardzo się ucieszyli. Dziadek przyjechał po nich ciężarówką w samą porę, byli tak zmęczeni, że razem padli na pakę. Po drodze jednak Judy nagle zaczęła śpiewać:

Lawenda jest niebieska, dilly, dilly!
Lawenda jest zielona,
Kiedy ja będę królem, dilly, dilly!
Ty będziesz królową.

— Tamar jest królową — powiedziała cicho. — Tam, u siebie, jest królową. Zrobię, co mi przepowiedziała. Będę leczyła ludzi, będę prawdziwą lekarką!

— Będziesz musiała długo się uczyć — rzucił Crock. — Powiedziała, że kłątwa zejdzie z Dimsdale. Ciekawe, czy to pomoże dziadkowi utrzymać wysypisko?

Holly siedziała z dłońmi splecionymi na podołku. Czuła twarde ucisk książki. Pytanie Crocka uświadomiło jej, że wyszli z kłopotów w labiryncie, żeby stawić czoło własnym problemom. Była bardzo zmęczona i teraz, kiedy opadło podniecenie wywołane balem, znów zaczęła się martwić.

— Musimy coś zrobić. — Dawna niecierpliwość, żeby znów działać, rozbudziła się na nowo.

— Co? — spytał Crock nie bez powodu. Judy, pogrążona w marzeniach, znów zanuciła melodię piosenki.

— No, cóż... — Holly właściwie nie zastanawiała się nad tym, co muszą teraz zrobić. Crock miał rację: Co mogli zrobić?

— Musimy coś wymyślić — powiedziała, zdając sobie sprawę z tego, że brzmi to zupełnie nieprzekonująco.

— W porządku, zastanowimy się. — Crock kołysał na kolanie głowę robota, z której przed chwilą pomogły mu się wydostać. — Dziadek i babcia, zachowywali się tak, jakby nic się nie miało zdarzyć. Jeżeli będziemy musieli się stąd wyprowadzić, dokąd pójdziemy?

Pytanie brata wyrwało Holly z marzeń. — Wyjechać stąd? Nie możemy tego zrobić, Crock. Musimy zajmować się roślinami Tamar i mieć ogród taki, jak ona. Obiecaliśmy!

— No więc? Ty także musisz trochę pogłótkować.

Nikt już nie śpiewał, przestali rozmawiać. Cóż można będzie zrobić, jeżeli mieszkańcy miasta zdecydują zlikwidować wysypisko i sprzedać grunt panu Reutherowi? Wszystkie młode drzewka dziadka, zioła babci, labirynt... Holly zeszywniała. Labirynt! To przecież coś niezwykłego. Przypuśćmy, że dałoby się go otworzyć, uporządkować, a w środku założyć zielony ogród? Babcia przecież zna wszystkie panie z klubu ogrodników. Chodziła na ich zebrania, a one zwracały się do niej z pytaniami na temat uprawy ziół. Judy dowiedziała się tego, zbierając materiały do swej pracy.

Czy zdołaby przekonać te panie do głosowania za ocaleniem labiryntu Dimsdale? Może zuchy i harcerze by ich poparli. Przecież często tu przychodzili. Był jeszcze pan Correy i pan Lem... Ilu ludzi stanęłoby w ich obronie?

Inaczej niż kiedyś, tym razem nie dzieliła się z bliźniakami swymi myślami. Musi najpierw opracować plan, dokładny plan, a wówczas im powie. Na razie miała jedynie pomysł.

Po powrocie do domu poszli na górę zdjąć przebrania. Tomkit leżał na łóżku Judy z głową na poduszce z labiryntem. Mruczał łagodnie przez sen.

— Ma miłe sny — zaśmiała się Judy. — Będzie jednak musiał się trochę przesunąć i pozwolić mi usiąść. — Podniosła kota tak delikatnie, że się nie obudził.

Poduszczyk wypadła z jej rąk i potoczyła się pod nogi Holly. Holly schyliła się po nią. Z jednej strony były jeszcze linie labiryntu, lecz drugą zdobiły drobne kwiatki wyszyte spłóviałymi nićmi, jakby były tam zawsze. Mapa drogi do Hagar zniknęła.

— Judy — Holly była zbyt zdumiona, żeby wierzyć własnym oczom. — Widzisz to co ja?

Judy z zainteresowaniem przyglądała się kwiatom. — To lawenda — wskazała na najdłuższą łądygę. — To pszczeli balsam, a to jest bardzo stary gatunek róży, kiedyś popularny. Tu mamy koper, ten zielony, a to słodkogorz z pomarańczowymi jagodami. Reszty nie znam, ale mogę sprawdzić w zielniku. To wszystko dobre rośliny, Holly, takie, jakie Tamar chciałaby widzieć w swoim ogródku.

— Ale droga do labiryntu Hagar zniknęła! — Holly nie pojmowała, jak siostra może tak spokojnie to przyjmować. Przecież wyszywanki nie mogą same się zmieniać i to w kilka godzin. W dodatku wszystkie te kwiaty wyglądały równie staro jak mapa labiryntu po drugiej stronie.

— Chyba musiała, nie uważasz? — powiedziała Judy spokojnie. — To była część magii Hagar. Odeszła wraz z nią. — Poglądziła palcem wyszytą łądyżkę lawendy. — Lawenda jest niebieska, a raczej lawendowa, a zanim pojawią się kwiatki, jest zielona. Babcia ją uprawia. Powiedziała mi, że kiedyś panna Elvery nauczyła ją robić lawendowe wachlarze na lato. Trzeba wziąć bardzo cienki lawendowy materiał i między dwie warstwy wszyć wysuszone łądygi jako żeberka. Latem spróbuję to zrobić. Zrobię też różane paciorki i inne rzeczy, które widziałam u Tamar — powiedziała rozmarzona. — Jest tyle rzeczy na świecie, które chciałabym poznać, Holly, tyle chciałabym wiedzieć!

Holly umyła twarz i rozczesywała nastroszone włosy.

Chciała znów być dawną Holly Wade, tu, w Dimsdale, a nie afrykańską księżniczką.

— Nikt nie może wiedzieć wszystkiego — rzuciła. — Nawet Tamar.

— Owszem — zgodziła się Judy. — Ale ona знаła rzeczy, o których dzisiaj nie mamy nawet pojęcia. Holly, przecież ona dała ci książkę. Może jest w niej coś ciekawego.

Holly spojrzała na górną szufladę komódki, do której przed chwilą schowała książkę, wciskając ją pod bieliznę. Miała mieszane uczucia. Chwilami miała ogromną ochotę ją otworzyć, ale częściej się tego bała. Obawiała się, że kiedy zacznie ją czytać, stanie się kimś zupełnie innym niż starą, znajomą Holly Wade.

— Mogłabyś zobaczyć — ciągnęła Judy. Przeszła przez pokój, człapiąc futrzanymi kapciami, żeby schować poduszczyk do kartonu z gałgankami. — To nie może zaszkodzić.

Trzeba będzie to zrobić. Nie mogła przecież przyznać się młodszej siostrze, że boi się otworzyć jakąś starą książkę. Żeby nie budzić podejrzeń, podeszła zdecydowanie do komódki i wydobyła książkę z szuflady. Przysiadła na łóżku i pierwszy raz dokładnie ją obejrzała.

Okładki zrobiono z cienkich deseczek, lecz grzbiet był skórzany. Tom był zamknięty metalową sprzączką. Holly nigdy nie widziała czegoś takiego. Nacisnęła zapinkę palcem niepewna, czy potrafi ją otworzyć, ale metalowe części dały się łatwo

rozdzielić.

Drżąc z niepokoju i ciekawości podniosła okładkę. Stronice również były niezwykle. Holly nigdy jeszcze nie widziała tak grubego papieru.

Zółte kartki pokrywało ręczne pismo, którego nie potrafiła odcyfrować. Przerzucając strony, trafiła też na rysunki — gwiazdy i krzyże dziwnego kształtu. Otaczało je pismo, jakby wyjaśnienia. Holly nie rozumiała ani słowa. Czula głębokie rozczarowanie. Z rosnącym zniecierpliwieniem przekładała kartki. Jedna była luźna i zsunęła się na łóżko. Zorientowała się, że to odrębna kartka, nie strona książki. Ktoś złożył brązowy arkusik papieru i wsunął go do tomiku. Kiedy go dotknęła, drobina papieru odpadła z krawędzi. Bała się, że zniszczy kartkę zanim przekona się, co na niej jest. Pomyślała, żeby przełożyć arkusik na wolną stronę albumu do zdjęć, ale trzeba to zrobić jak najdelikatniej.

— Co to jest? — Judy pochyliła się nad znaleziskiem.

— Nie dotykaj! Jest takie stare, że zaraz się rozpadnie. Spróbuję tego. — Odłożyła nieczytelną książkę i sięgnęła po album, otwierając go na pustej stronie. — Jeśli uda mi się rozłożyć tę kartkę nie niszcząc jej, tu ją włożymy.

— Pomogę ci — zaofiarowała się Judy.

Holly nigdy nie robiła niczego aż tak delikatnie. Tak właśnie musi pracować babcia, sklejjąc starą porcelanę. Na szczęście papier kruszył się głównie na obrzeżach i mogła rozłożyć kartkę niewiele tracąc. Był na niej jakiś rysunek, ale zanim go obejrzała, chciała umieścić ją bezpiecznie pod plastikową osłoną albumu.

Gdy to się wreszcie udało, podniosła go bliżej światła lampy. Był to rysunek labiryntu, dokładniejszy od mapki wyszytej na poduszce. W centrum przerywanych kręgów znajdował się niewielki ogród, taki sam jak przed domkiem Tamar, choć chatki nie było na obrazku. Zewnętrzne ściany labiryntu okalały rabaty kwiatowe. Niektóre wyglądały dziwnie z kwiatami zgrupowanymi w kwadraty i inne geometryczne kształty.

Obok wypisano wiele słów, być może nazwy kwiatów i krzewów rosnących na rabatach. Na dole dostrzegła napis wykonany znacznie większymi literami, które zdołała przeczytać: *Ogród, zaplanowany dla Dimsdale, roku Pańskiego 1683, przez pana Herberta Truelowa.*

Plan ogrodu, ogrodu Dimsdale, przygotowany przez ojca Tamar! Holly przesunęła palcem po plastikowej osłonie starego rysunku. — Przerysuję to do mojej pracy, Judy. Ale ten rysunek powinien znaleźć się w muzeum, żeby ludzie mogli go oglądać. Założę się, że nie ma drugiego takiego ogrodu, z labiryntem i tym wszystkim, w całym stanie Massachusetts, a może i w całym kraju! Ciekawe, ile z tego jeszcze pozostało?

— Jest labirynt, może jeszcze można tam wejść. — Judy zderzyła się z głową Holly, przysuwając się bliżej obrazka. — Babcia i dziadek mogą jeszcze coś pamiętać.

Holly ostrożnie wypięła kartkę z albumu. Kiedy dzwonek babci wezwał je na kolację, zabrała ją ze sobą. Zastanawiała się, co powie, kiedy spytają, skąd ma ten stary plan. Nie może powiedzieć o prezencie Tamar, ale przecież nie skłamię mówiąc, że znalazła go między kartkami jakiejś starej książki. Babcia wiedziała, że czasem przegląda zgromadzone na półkach książki, a niektóre z nich były naprawdę bardzo stare.

— Chyba niewiele jeszcze w siebie zmieścicie — powiedział dziadek, kiedy skończył modlitwę. — Widziałem jak się opychaliście na zabawie.

— Zjedli wszystko — dodała babcia. — Można by pomyśleć, że te wszystkie dzieciaki od dawna pościły.

Byłam z was dumna — ciągnęła dalej. — Panna Sarah, pani Beach i pani Hawkins

mówiły mi, jak bardzo podobają się im wasze kostiumy. Pani Dale nawet poprosiła mnie o wykrój stroju kota, Judy. Mówiła, że przygotowuje przedstawienie o kocie w butach na gwiazdkę i że nigdy w życiu nie widziała tak świetnego stroju. Tak, to była świetna zabawa.

Jednak dla Holly balik był już przeszłością. Teraz najważniejszy był dzień dzisiejszy i plan, nad którym pracowała. Czekala aż dziadek skończy zupę i zacznie jeść chleb z galaretką. Dłużej już nie mogła wytrzymać. — Dziadku, czy zostały jeszcze jakieś ślady po dawnym ogrodzie? Wiem, że labirynt zdziczał zupełnie, ale reszta?

Zastanawiał się dłuższą chwilę. — No, cóż, trudno powiedzieć. Rosną jeszcze stare bzy, teraz wielkie jak drzewa, ale nie są aż tak stare. Może parę dębów. Nie wiem.

Holly czuła się rozczarowana. Jeżeli zupełnie nic nie pozostało ze starego ogrodu, to nikt nie będzie zainteresowany jego rekonstrukcją. Jediną nadzieją pozostaje więc labirynt.

— Dziadku, a czy byłoby możliwe uporządkowanie labiryntu, odnalezienie dawnej drogi do środka?

— Labirynt! — babcia przyglądała się jej uważnie.

Dziadka jednak zainteresował ten pomysł. — To ciekawe, że właśnie teraz o tym mówisz, Holly. Nie dalej jak dziś rano przechodziłem obok niego. Zobaczyłem jakąś martwą gałązkę i pociągnąłem ją, sam nie wiem dlaczego. Zdołałem wyrwać skłębioną masę, zupełnie jakbym nagle coś odkorkował. Wewnątrz zobaczyłem ścieżkę, wybrukowaną ścieżkę. Nie była aż tak zarośnięta, jak myślałem.

— Panna Elvery — wtrąciła się babcia — zawsze powtarzała, że mamy się trzymać od niego z daleka.

— Panna Elvery umarła dawno temu, Mercy. Zresztą z daleka labirynt zawsze wyglądał groźnie. Nie był do niczego potrzebny. Jednak dzisiaj, no cóż, wydawał mi się nieco inny. Miałem wrażenie, że gdyby go nieco przyciąć i uporządkować, to można by go znów otworzyć.

Holly sięgnęła pod stołem plastikową kopertę spoczywającą na jej kolanach. — Dziadku, znalazłam coś, co przypomina mapę. Tak kiedyś wyglądał cały ogród. Znalazłam ją w starej książce. Wypadła spomiędzy kartek. Spójrz!

Wziął kartkę i przysunął ją do lampy. — Posłuchaj, Mercy. Pamiętasz tę książkę, którą dałaś panie Sarah, tę dużą, znaną w domu Winslowów, zanim go zburzyli, żeby wybudować nowy motel za rzeką? Były w niej takie dziwne obrazki przedstawiające ogrody i takie tam, różne rzeczy. To może z niej właśnie pochodzić.

Babcia wzięła kartkę, wbiła okulary na szczyt nosa i przyglądała się rysunkowi. — Rzeczywiście, Luther, to bardzo podobne.

— Chcę to skopiować do mojej pracy — oznajmiła Holly. — Dziadku, przecież takich labiryntów nie było wszędzie, prawda?

— Nie słyszałem o żadnym, nie licząc tego u nas.

— Więc byłoby ważne, pokazać ludziom coś takiego — upierała się Holly. — Ludzie z klubu działkowców, harcerze, goście przyjeżdżający na obchody urodzin miasta na pewno byliby tym zainteresowani. Tu jest napisane, że ten plan zrobiono w roku 1683. Jest prawie tak stary jak nasze miasto, strasznie stary.

Dziadek przestał jeść. Wyciągnął rękę i odebrał babci rysunek. Przysunął go sobie niemal do nosa, jakby chciał dokładnie obejrzeć każdy, nawet najmniejszy, szczegół.

— Zebranie rady miejskiej! — Babcia odezwała się pierwsza. — Luther, jeżeli zdołalibyśmy otworzyć labirynt, tak, jak mówi Holly, gdyby można go było pokazać...

Dziadek powoli skinął głową. — To dobry pomysł, Mercy. W poniedziałek z samego rana zobaczę, co da się zrobić.

— Trzeba skręcać w prawo, żeby dojść do środka — powiedziała Judy.
Holly przestraszyła się bezmyślnością siostry. Teraz pytają, skąd to wie.
Wydawało się jej, że babcia szykowała się do zadania tego pytania.

— Wiecie, skąd to wiem? — ciągnęła Judy, jeszcze bardziej pograżając się w oczach Holly. — Ponieważ na poduszce jest ten sam wzór. Poczekajcie.

Odeszła od stołu, popędziła w stronę drzwi i zniknęła w mroku.

— Chodzi jej o tę poduszczykę, którą gdzieś znalazłyście? — spytał dziadek.
Spojrzał pytająco na Holly, ale nie doczekał się odpowiedzi. Judy pospiesznie wróciła, niemal przewracając się na schodach. W ręce trzymała poduszkę, którą podała babci siedzącej najbliżej. Palcem pokazała przebieg przerywanych linii. — Spójrz na rysunek, a sama się przekonasz! Widzisz, to to samo. Jeżeli za każdym razem skręcimy w prawo, dojdziemy do środka!

— Ona chyba ma rację! — Babcia przesuwając palce po wyszytym wzorze, wstała i przez ramię dziadka obejrzała rysunek. — Labirynty nie były czymś powszechnym, Luther. Pani Holmes opowiadała nam o jednym takim, który widziała w Virginii podczas wycieczki klubu działkowców. To było coś niezwykłego. Ludzie przyjeżdżali z daleka, żeby go obejrzeć. Musieli płacić za wstęp właścicielowi ogrodu, a on wykorzystywał te pieniądze na utrzymanie go, zatrudniał ogrodników do przycinania i tak dalej. Luther, to się powinno spodobać radzie — zarabianie pieniędzy, szczególnie podczas obchodów rocznicy. Wszyscy w mieście zastanawiają się, jak zgromadzić fundusze na te uroczystości. Pan Correy chce uruchomić starą kuźnię i przyjąć kowala, który wykuje różne pamiątki. Sama słyszałam, jak o tym mówił. Idź i sprawdź ten stary labirynt i jeżeli uznasz, że można go potraktować jako atrakcję turystyczną, powiedz o tym panu Correyowi i panu Billowi. To da im dodatkowe argumenty na posiedzenie rady. Luther, w poniedziałek musisz zawieźć ten obrazek do panny Sarah. Ona na pewno nas poprze. Ja opowiem wszystko paniom Pigot i Holmes. Na pewno zdziwią się słysząc, co mamy tu pod bokiem i nie będą już musiały jeździć do Virginii.

Holly znów była zawiedziona. W końcu, to ona znalazła mapę ogrodu, a wszyscy zdawali się o tym zapominać. Potem pomyślała o dalszej części planu. Powie o nim pani Finch i pani Dale. Crock porozmawia z harcerzami. Będą musieli się postarać, sprawić, żeby jak najwięcej ludzi z miasteczka wzięło udział w posiedzeniu rady.

Pomyślała, że trudno będzie jej zasnąć tej nocy, tyle jeszcze musiała przemyśleć. Było jednak inaczej. Gdy tylko znalazła się pod kołdrą, zapadła w dziwny sen, taki, który pamiętała po przebudzeniu, co nieczęsto się zdarza,

Była w chatce Tamar. Czuła się, jak u siebie. Tamar też tam była, siedziała na wysokim krześle przy stole. Nie patrzyła na Holly i nie odzywała się do niej, jednak dziewczynka była pewna, że Tamar wie o jej obecności. To, co robiła, pochłaniało ją całkowicie i nie wolno jej było przeszkadzać.

Łokcie Tamar spoczywały na blacie stołu, dłońmi podtrzymywała brodę, wpatrując się w leżące przed nią lustro. Nie było w nim jednak ani odbicia jej twarzy, ani otaczających ją przedmiotów. Powierzchnię zwierciadła okrywała srebrna chmura, ruszająca się i zmieniająca kształty.

Holly czuła siłą woli Tamar, która chciała coś osiągnąć. Dziewczynka też spoglądała na zamglone lustro, ale kręciło się jej w głowie i nie mogła robić tego zbyt długo. Tamar natomiast siedziała nieruchomo, nie odwracając wzroku, tak nieruchoma, że wydawało się iż nie oddycha.

Chmura w zwierciadle nabierała kształtów. Przez moment Holly wydawało się, że dostrzeżga w niej wyraźny zarys twarzy, która natychmiast zniknęła. Tamar westchnęła i oparła się o krzesło. Zamknęła oczy. Holly pragnęła podejść do niej, lecz w tym sennym świetle nie potrafiła zrobić kroku. Ta twarz w lusterku Tamar. Czy to

możliwe, aby była twarzą jej ojca?

Jak tatuś mógł dostać się do domu Tamar? Choć Holly rozglądała się rozpaczliwie po pokoju, nigdzie go nie dostrzegła. Wówczas Tamar otworzyła oczy. Patrzała wprost na Holly, ściągając na siebie jej wzrok. Dziewczynka widziała wargi wypowiadające jakieś słowa. Choć ich nie słyszała, dobrze wiedziała, co znaczą:

*Przez wszystkie moce lądów i mórz,
Jak mówię: niech to się stanie już.
Przez całą moc księżyca i słońca,
Niech wola ma spełni się do końca.*

Potem jeszcze raz robiąc przerwy między słowami, jakby chciała wyryć te słowa w pamięci dziewczynki, powtórzyła: “Niech to się stanie!”

Tamar uniosła dłoń, poruszyła palcami w powietrzu, kreśląc znak, który przez moment rozjarzył się ogniem.

Holly usiadła na łóżku. Otaczały ją kompletne ciemności i tajemnicze odgłosy starego budynku, który każdej nocy, kiedy wszyscy już spali, dodawał sobie otuchy, ciesząc się, że nadal stoi, solidny i mocny.

Dziewczynka wyszeptwała ostatnie życzenie Tamar: “Niech to się stanie!” Nie miała najmniejszych wątpliwości, co do znaczenia tych słów. Przyjdzie jeszcze jeden telegram. No, może nie jutro czy w przyszłym tygodniu, a nawet miesiącu, ale na pewno przyjdzie. Tym razem będzie to dobry telegram. Wówczas ich własny mały świat znów się zmieni z mrocznego na słoneczny. Gdziekolwiek była teraz Tamar, użyła swych czarów dla tatusia. On wróci do domu!

Teraz ona, Holly, musi także zastosować czary dla Dimsdale. Nie miała mocy jak Tamar, a jedynie silną wolę i pomysłowość. Jednak to, czego pragnie, musi się spełnić!

W niedzielny poranek nie mogli obejrzeć labiryntu. Niedziela to dzień kościoła i Holly znów musiała poskromić swą niecierpliwość. Wiedziała też, że nie może podzielić się swym snem absolutnie z nikim, nawet z Judy. Czuła, że to mogłoby przerwać czary Tamar.

Po obiedzie dziadek wyglądał na niespokojnego. Nie zasiadł jak zwykle przy stole magazynów ogrodniczych.

Babcia nie wytrzymała i spytała: — Co cię gryzie, Luther? Wiercisz się, jakbyś szukał wczorajszego dnia.

— Wiem, że dziś jest niedziela, Mercy, ale chyba będę musiał rzucić okiem na ten labirynt. Nie, żeby pracować, tylko rzucić okiem. Sam nie wiem, co mnie napadło, ale po prostu muszę to zrobić.

Babcia nie od razu odpowiedziała. Wstała z krzesła, na którym siedziała, czytając “National Geographic”.

— To dziwne, ale i mnie ciągle to chodzi po głowie. W porządku, chyba wszyscy się tam wybierzemy. Jutro mam zawieźć przyprawę ziołową dla pani Holmes. Może będę mogła jej coś powiedzieć i namówić ją, żeby tu przyjechała jeszcze przed zebraniem rady.

Wszyscy udali się wraz z dziadkiem do miejsca, gdzie znalazł wyłom w ścianie labiryntu. Holly szukała kotów — strażników. Mimo że krzewy znacznie się rozrosły, była pewna, że gdzieś tam są. Nie bardzo wiedziała, jak zwrócić uwagę dziadka na ich ukryte kształty, ale miała nadzieję, że gdy je odnajdzie, razem postarają się przywrócić je do dawnej świetności.

Wejście było między tymi niewidocznymi jeszcze wartownikami. Widać było przez nie wyłożoną kamiennymi płytkami ścieżkę prowadzącą w głąb zielonego

tunelu, dostępniejszą, niż można by oczekiwać widząc zmierzwioną i przerośniętą ściany zewnętrznej. Nie wyglądała na niebezpieczną i odpychającą. Dziadek wszedł do środka.

— Zobaczmy — rzucił przez ramię — jak daleko można tędy dojść. Wygląda to lepiej niż z zewnątrz.

Wszedł w pierwszy zakręt. Ścieżka nadal nie wyglądała źle. Można by pomyśleć, że labirynt tylko czekał, aby tu przyszedli i zbadali go. Raz po raz babcia pochylała się, dotykając jakiejś zmarzłej łądyżki lub podnosząc uschły liść.

— Tu była kiedyś regularna ściana lawendy, Luther, krzyknęła podekscytowana. — Jest też mięta i chyba tymianek! Te krzaki dobrze je chroniły. Rozmaryn, patrzcie, prawdziwy rozmaryn!

Minęli kolejny zakręt. Przy czwartym zobaczyli wyraźnie sylwetki kotów. Dziadek stanął jak wryty na ich widok.

— A cóż to takiego? Patrzcie wszyscy, zobaczcie, jak przycięto te krzewy. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! — Nagle zamilkł na moment. — No, nie, pamiętasz te zdjęcia w “National Geographic”, Mercy? Ten ogród gdzieś w Anglii, gdzie wszystkie krzaki powycinano na podobieństwo ptaków i innych zwierząt. Jutro — coraz bardziej się podniecał — sprowadzę tu pana Correya. Ciekawe, co powie, kiedy to zobaczy.

— Może są jeszcze inne, tylko bardziej zarośnięte i przez to na razie niewidoczne — zasugerował Crock. — Może trzeba je przyciąć na nowo.

— Jasne! — dziadek energicznie pokiwał głową. — Trzeba się będzie dobrze zastanowić, jak to najlepiej zrobić, żeby ich nie uszkodzić. Tak, to trzeba będzie zrobić naprawdę dobrze.

Oglądając krzaczaste figury babcia podtrzymywała okulary na nosie.

— Czegoś takiego — ogłosiła poważnie — z pewnością nie było w tym labiryncie w Yirginii. To jest o wiele lepsze. Luther, możesz sprowadzić tu pana Correya, ale musisz także ściągnąć panią Holmes. Na pewno się zdziwi, że odtąd nie trzeba będzie jeździć aż do Virginii, żeby zobaczyć takie cuda!

Dziadek nie mógł rozstać się z kotami, lecz Holly popędzała go dalej. Choć była pewna, że w środku nie będzie już żadnego domu, chciała zobaczyć, co tam zastanie.

Minęli jeszcze trzy zakręty i znaleźli się na polance. Mimo że porastały ją gęsto zwiędłe rośliny, wyraźnie widać było zarysy uporządkowanego ogródka Tamar. Był też stawek skutu lodem.

Babcia rzuciła się na rośliny, w podnieceniu nazywając je na podstawie uschłych łądyg i listków.

— Luther, to po prostu jeden wielki ogród ziołowy. Oczywiście, wielu z tych roślin nie da się już uratować, ale sam popatrz, cóż tu rosło przez te wszystkie lata. Trudno uwierzyć, że to w ogóle możliwe, gdybyśmy nie byli pewni, że nikt się nimi tak długo nie zajmował. Teraz będę mogła się nimi zaopiekować. To zupełnie niesamowite!

Holly poczuła, że ktoś łapie ją za rękę. Odwróciła głowę i zobaczyła szeroki uśmiech Judy. Crock trzymał bliźniaczkę za drugą rękę i także się uśmiechał. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, Holly szepnęła: “Niech się stanie!”

Była teraz tak samo pewna, że Dimsdale zostanie uratowane, jak tego, że tatuś do nich wróci. Przypomniała sobie pożegnanie Tamar:

— Bądźcie błogosławieni! — Wypowiedziała te słowa na głos, ale ani babcia, ani dziadek nie usłyszeli jej. Tylko Judy i Crock poważnie skinęli głowami. — Kłątwa została wreszcie zdjęta z Dimsdale.

Koniec

XV

Jak zrobić różane paciorki Tamar i inne cuda

Różane paciorki

Wybierz w pełni rozkwitłe pąki róż o silnym zapachu; ciemnoczerwone są najlepsze. Wyrwij płatki i wrzuć do moździerza. Ugnieć je na gęstą pastę.

Uformuj paciorki z pasty i za pomocą igły naciągnij je na mocną nić. Możesz też schować je do przewiewnej torebki i wykorzystać do wykładania szuflad z bielizną. Najpierw jednak dobrze je wysusz. Zapach będzie się długo utrzymywał.

Pomarańczowe dodatki do herbaty

Weź sporą pomarańczę o grubej skórce i natnij skórkę na ćwiartki. Obierz owoc. Oстрыm nożem zdrap białą, wewnętrzną część skórki tak dokładnie, jak potrafisz. Potem potnij ją na małe kwadraty o boku około jednego centymetra.

Wbij goździk w każdy kwadracik. Wysusz. Przechowuj w zamkniętym słoju lub puszcze. Kiedy wrzucisz go do gorącej herbaty, nabierze ona specjalnego smaku.

Liście mięty w cukrze

Zerwij liście mięty przed rozkwitnięciem kwiatów. Wybieraj listki średniej wielkości, a nie te duże z dolnej części łodygi ani te małe z górnej. Umyj je i osusz na papierowym ręczniku.

Weź białko z jednego jajka i lekko roztrzep, aż się spieni. Zanurzaj listki w pianie i obtocz w cukrze.

Rozłóż arkusz folii aluminiowej i nastaw piekarnik na najniższą temperaturę. Połóż liście na folii i trzymaj w piekarniku aż wyschną. Przechowuj w szczelnie zamkniętej butelce lub słoju. Można je jeść jak cukierki albo dodać do gorącej lub zimnej herbaty.

Aromatyczna kulka

Wybierz dojrzałą pomarańczę średniej wielkości. Za pomocą taśmy samoprzylepnej podziel ją na dwie połówki. Kup dwa pudełka goździków.

Zrób dziurki wykałaczką i wbijaj w nie goździki tak, żeby całkowicie zakryły skórkę.

Zerwij taśmę i na jej miejscu zawiąż wstążkę, żeby można było zawiesić na niej kulkę. Jeżeli umieścisz ją w szafie, przez długi czas będzie wydzielala przyjemny, korzenny zapach. Takie kulki często zawieszano w szafach z pościelą.